



MOTYW 13  
50 stron

MOTYW 25  
1 MOTY

13 autorów

50 stron

1 MOTYW

13 autorów

1 MOTYW

250 stron 13

**250 stron**  
**13 autorów**  
**1 MOTYW**

Antologia

# Kryminalna 13

pod redakcją Macieja Śłużyńskiego

[RW2010, 2014]



# Spis treści

SŁOWO WYJAŚNIAJĄCE

Anna Klejzerowicz PODWÓJNY TRUP

Marta Guzowska OKNO NA SKLEP KOMPUTEROWY

Katarzyna Bonda SUKNIA ŚLUBNA

Adrianna Michalewska TRUP NA CMENTARZU

Romuald Pawlak STARY LÓD

Jacek Skowroński PRZELOTKA

Konrad Staszewski BILET W JEDNĄ STRONĘ

Alicja Minicka STRACH

Katarzyna Rogińska ŚPIĄCY POLICJANT I SAMOBÓJCA

Iwona Mejza ALIBI

Agnieszka Krawczyk ŚMIERĆ POETY

Marcin Rusnak NIEZWYKŁE ŚLEDZTWO DOKTORA JUNGA

Agnieszka Hałas TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIE BERNADETY

# SŁOWO WYJAŚNIAJĄCE

Drogi Czytelniku!

Masz przed sobą prawdopodobnie pierwszą taką publikację na świecie, a prawie na pewno – pierwszą taką w Polsce. Na czym polega jej wyjątkowość? Jeśli jeszcze się nie domyśliłeś – spieszę z wyjaśnieniem.

W połowie roku ubiegłego wpadliśmy w redakcji na pomysł zorganizowania konkursu na powieść kryminalną. Pomysł wydawał się niezły, ale miał dwie wady. Po pierwsze – nie wiedzieliśmy, jaką mamy przyznać nagrodę, oprócz gwarancji publikacji w naszej Oficynie, po drugie – nie mieliśmy jury, którego ocenie moglibyśmy poddać nadesłane prace.

Ale dwa miesiące później pojawił się pomysł szalony, jako uzupełnienie do tego niezłego. A gdyby tak... Pomysły szalone są doskonałe, o ile da się je zrealizować. Ten się zrealizować udało, o czym świadczy ta właśnie publikacja.

Zebraliśmy w jednym miejscu trzynaście opowiadań. Namówiliśmy trzynaście osób, żeby zechciały zamieścić swoje opowiadania w niniejszej antologii. Poprosiliśmy tych autorów i autorki, aby zostali „trzynastoma gniewnymi” i wzięli na swoje barki udział w pracach profesjonalnego, kompetentnego i niezależnego jury. I najważniejsze – przekonaliśmy ich, żeby zechcieli pośrednio ufundować połowę nagrody...

I tak powstała niezwykła antologia „Kryminalna 13”, z której cały dochód ze sprzedaży przeznaczony zostanie na sfinansowanie kampanii reklamowej dla wybranej przez jurorów najlepszej nadesłanej powieści.

Dlatego z dumą i wielką przyjemnością mamy zaszczyt ogłosić pierwszy konkurs, organizowany przez Oficynę wydawniczą RW2010. To konkurs otwarty na powieść kryminalną, którego szczegóły znajdziecie w regulaminie, a regulamin – na końcu antologii.

Mamy także sponsora, firmę pwn.pl, która wszystkim autorom prac zakwalifikowanych do finału przekaże – za naszym pośrednictwem – skromny upominek, czyli Uniwersalny Słownik Języka Polskiego PWN na pen-drive.

Medialny patronat nad konkursem objęła redakcja „Świtu ebooków” oraz serwis literacki „Książka zamiast kwiatka” <http://kawiarenkakzk.blogspot.com/>, platforma „Maszyna do pisania” <http://maszynadopisania.pl/>, serwis „E-fantastyka” <http://efantastyka.pl/>, „Kawiarenka kryminalna” <http://www.kawiarenkakryminalna.pl/>, Portal Rynku Wydawniczego Wydawca <http://www.wydawca.com.pl/>.

Wszystkich zainteresowanych konkursem zapraszam do wzięcia udziału. Wszystkim, którzy zakupili niniejszą antologię – bardzo pięknie dziękuję w imieniu Autorów, przyszłego laureata, całej redakcji oficyny wydawniczej RW2010 i oczywiście swoim własnym.

Zapraszam do lektury opowiadań kryminalnych, sensacyjnych, z tajemnicą, czasem z fantastyczną nutą, tekstów na wskroś współczesnych oraz sięgających w

przeszłość, a nawet dotyczących wydarzeń i postaci historycznych. Przed Wami ponad 250 stron, 13 autorów i jeden motyw...

*Redaktor prowadzący*

*Maciej Śłużyński*

*Poznań, 13 stycznia 2014r.*

# **Anna Klejzerowicz**

## **PODWÓJNY TRUP**

### ***Tytułem wstępu***

*Na samym początku swojej pracy dziennikarskiej natrafiłam na historię tak dziwną, makabryczną i groteskową, że po namyśle zdecydowałam się przytoczyć ją tutaj dosłownie, w oparciu wyłącznie o zebrany wówczas materiał. W tym miejscu dodam tylko, że owo doświadczenie uczyniło ze mnie reportera. Żaden późniejszy temat nie mógł już bardziej mną wstrząsnąć – otrzymałam swój zawodowy chrzest. Przyszłam do tej roboty kompletnie zielona, a tu od razu, niemal na dzień dobry: trup. I to podwójny...*

### **Relacja Rzeczniczki Pogotowia Ratunkowego w mieście X**

Wspomnianej nocy trafił do nas pacjent w stanie zagrożenia życia, z objawami silnego zatrucia, na które składały się: bóle brzucha, nudności, wymioty, biegunka, poważne odwodnienie organizmu, a także zmiany skórne, zapalenie błon śluzowych, wypadanie włosów oraz niedowład mięśni. W trakcie dalszych badań wykryto również inne, poważniejsze dolegliwości, potwierdzające wstępną diagnozę. Wspomniany pacjent – mężczyzna w wieku 65 lat – zgłosił się do nas sam. W poczekalni zemdlął. Lekarz dyżurny zajął się nim natychmiast i wkrótce potem mężczyzna trafił na oddział intensywnej terapii. Jednocześnie, z uwagi na niewyjaśnione okoliczności zatrucia, podjęliśmy decyzję o natychmiastowym powiadomieniu policji.

### **Relacja Rzecznika Komendy Głównej Policji w mieście X**

Na podstawie badań medycznych poszkodowanego stwierdziliśmy możliwość zatrucia substancją groźną dla życia. Nie wykluczaliśmy hipotezy samobójstwa, braliśmy jednak pod uwagę również możliwość nieszczęśliwego wypadku. Policja zrobiła wszystko, co w jej mocy, by wyjaśnić okoliczności zażycia trucizny. Kontakt z pacjentem był początkowo poważnie utrudniony; mężczyzna pozostawał w stanie ciężkim, jednak dzięki staraniom lekarzy mogliśmy odebrać jego zeznanie.

### **Zeznanie Wiktora W.**

Postanowiłem zabić moją żonę. Tak, owszem, dobrze zrozumieliście. Chciałem ją zabić od dawna. I zrobiłem to. Nie żałuję. Nie mam żadnych wyrzutów sumienia. To była naprawdę podła kobieta. Ile razy czułem za plecami jej ciężki oddech, smród potu, alkoholu i niemytego ciała, ile razy słuchałem zrzędliwego powarkiwania, a także znosiłem okrutne złośliwości, skierowane przeciwko mojej osobie – tyle razy miałem ochotę chwycić siekierę i rozwalić jej łeb od razu, natychmiast. Uwolnić świat od jej istnienia. A zarazem ją uwolnić od świata, który sprawiał jej tylko ustawiczny ból, gdyż to babsko nienawidziło wszystkiego, co żyje, co się rusza, co oddycha. W tym sensie mój uczynek był więc aktem miłosierdzia.

Ona nienawidziła wszystkiego i wszystkich, a ja nienawidziłem jej. Tak jak kiedyś ją kochałem. Jednak to było dawno temu, zanim zaczęła nadużywać alkoholu i niszczyć moje życie. Zanim zrozumiałem, że tak naprawdę była potworem w ludzkiej skórze. Choć nawet tej skóry nie potrafiła długo uszanować...

Przeszedłem niedawno na emeryturę; przez całe życie pracowałem jako wychowawca w schronisku dla nieletnich, i teraz marzyło mi się choć kilka lat świętego spokoju – szczególnie że ostatnio chorowałem. Nigdy nie mogłbym go osiągnąć z tą koszmarną babą u boku. Rozwód? Rozwód oznaczałby nieuchronnie podział majątku, czyli utratę niewielkiego domu, jaki posiadaliśmy we wsi Y. Ona by w życiu nie odpuściła, a sprzedaż nie wchodziła dla mnie w rachubę. Kochałem ten dom, w którym ulokowałem nie tylko wszystkie swoje oszczędności oraz lata pracy, ale także uczucia. Jedynie na nim – poza spokojem – jeszcze mi zależało. Był całym moim życiem. Ona nic w niego nie zainwestowała. Ani złotówki. Ani grama serca. Ani jednej dobrej myśli. Nic.

Dlatego zdecydowałem się zabić żonę i dokładnie przygotowałem plan morderstwa. Wszystko przemyślałem. Postanowiłem zrobić to latem, gdy ludzie zazwyczaj wyjeżdżają na urlopy. Najpierw rozgłoszę wśród sąsiadów, że my także wyjeżdżamy, ostentacyjnie zapakuję rzeczy do bagażnika, po czym w noc poprzedzającą wyjazd zabiję ją, ukryję zwłoki, a o świcie wyjadę. Jakiś czas później zgłoszę oficjalnie zaginięcie małżonki – zupełnie gdzie indziej. Świadkowie, zasugerowani moimi działaniami, poświadczyliby przecież, że razem wyjechaliśmy. Siła sugestii jest ogromna.

Wróciłbym później spokojnie do mego ukochanego domu, udając żałobę. I odtąd żyłbym sobie jak u Pana Boga za piecem...

\* \* \*

Trzeba było tylko przekonać żonę do rzekomego wyjazdu, żeby późniejsze relacje się zgadzały. Nie miała na to ochoty, co było zresztą do przewidzenia. Ale w końcu zgodziła się, gdy jej obiecałem luksusowy hotel, drogi alkohol i dużo dobrego jedzenia. Jedynie to ją w życiu interesowało.

– Tylko sobie nie myśl, że będę gdzieś spacerować, oglądać, zwiedzać i tak dalej – zrzędziła. – Żadne takie! Mam to w dupie. Jak luksus, to luksus. Tyłka nie ruszę z apartamentu, no chyba że na basen, a ty lepiej zrób wszystko, żebym była zadowolona. Bo jeśli okaże się, że to pieniądze wyrzucone w błoto, to mnie na długo popamiętasz...

– Bez obaw. Będziesz miała to, na co zasługujesz, moja droga – odparłem, uśmiechając się w duchu.

Tak też się stało. Żona chwaliła się przed sąsiadkami, na jakie to luksusowe wczasy zabiera ją ten nieudaczny mąż („cha, cha, cud się stał, chyba staremu, głupiemu piernikowi emerytura służy”); a ja, możliwie najhałaśliwiej – i jak najbardziej na widoku – czyniłem przygotowania do naszego „wyjazdu”. Szorowałem samochód, pompowałem koła, zamontowałem nawet dodatkowy bagażnik na dachu. Potem nosiłem walizki i inne kłopoty. W przeddzień namówiłem żonę, żeby osobiście zaniósła zapasowe klucze do sąsiadki, by tamta podlewała u nas kwiatki oraz doglądała obejścia podczas naszej nieobecności. Zwierzęt i tak nie mieliśmy, bo jak wspomniałem, żona nienawidziła wszystkiego, co żyje i co mogłoby czegoś od niej żądać albo oczekiwać. Dzieciaków także nigdy nie chciała mieć, twierdząc, że tylko srają, szczają i wołają jeść.

– A po cholere! Kogo obchodzi jakieś głupie kwiaty! – prychnęła.

– Idź – doradzałem obłudnie. – Lepiej, żeby ktoś pilnował domu przed złodziejami.

Kwiatki jej nie przekonały, złodzieje owszem. Niechętnie, ale w końcu ustąpiła. Zatarłem ręce...

Poszliśmy razem, wręczyliśmy klucze, a przy okazji pożegnaliśmy się z najbliższymi sąsiadami.

– W takim razie szerokiej drogi, kochani. – Uścisnęli nas serdecznie. – Długa jazda przed wami.

– Nie bezpośrednio. Po drodze zahaczamy jeszcze o Mazury – wtrąciłem.

– A, bo macie tam działkę? No to słusznie, trzeba doglądać swego!

– Pańskie oko konia tuczy – powiedziała moja żona z zadowoleniem.

– To kiedy konkretnie wyjeżdżacie?

– Jak najwcześniej rano – odparła stanowczo. – Wiecie, że z mojego Wiktora kierowca do dupy (ileż pogardy zabrzmiało w jej głosie!), więc wolę dotrzeć do celu za dnia. Jeszcze mi życie miłe.

(Aż ciarki poczułem! Ale nie zmiękłem).

\* \* \*

Wszystko było więc dopięte na ostatni guzik, hotel w górach zarezerwowany, choć nigdy nie mieliśmy tam dojechać. Jeszcze nie zwariowałem, żeby tak forsą szastać.

Byłem spokojny. Nie zawahałem się ani przez chwilę. Miałem pewność, że dobrze robię. Nocą, kiedy zasnęła, roztrzaskałem jej głowę ciężkim żelaznym świecznikiem. Nawet nie drgnęła. W ogóle nie zauważyła, że przeszła na drugą stronę. Z pewnością nie można powiedzieć, by się męczyła.

Miałem już wykopany dół, osłonięty przed ludzkim wzrokiem starą szopą i drzewami – przygotowałem go sobie wcześniej, pod pozorem budowy fundamentów drewnutni, i przykryłem papą. Noc była jasna, lecz to mi nie przeszkadzało. Wieś spała, a z ulicy nikt i tak nie mógłby niczego dojrzeć. Zalety mieszkania na uboczu. Nasz dom stoi na końcu wsi, graniczy tylko z lasem.



Zakopałem ciało – razem z narzędziem zbrodni, czyli wspomnianym starym świecznikiem – utwardziłem teren walcem i w to miejsce przewiozłem taczką stos kamieni, które sobie latami zbierałem, by kiedyś, w przyszłości, ułożyć z nich schody, prowadzące na wyższy taras ogrodu. Obok leżało drzewo na opał. Wszystko wyglądało więc bardzo naturalnie; nikt by się nie zorientował, że pod spodem jest jakiś grób.

Wyjechałem przed świtem. Wreszcie czułem się wolny. Nie bałem się, nie żałowałem swojego czynu.

Ani przez chwilę.

Pojechałem prosto na działkę, którą posiadam od dawna, w samym lesie, nad jednym z mazurskich jezior. Od czasu do czasu wybierałem się tam na ryby. Zwykle sam. Żona, jak mówiłem, nie lubiła się nigdzie ruszać. W ogóle nic nie lubiła robić. W domu, poza pieleniem grządek, to tylko przed telewizorem by wysiadywała, chlejąc, co popadło, i wyzerając te swoje obrzydliwe gotowe dania prosto ze słoików. Że niby na diecie była. Ogrodem się zajmowała dla pieniędzy – warzywa i owoce sprzedawała do skupu. Bo z serca to nic, gdzież tam.

\* \* \*

Teraz też byłem sam i – przyznaję – ten stan rzeczy bardzo mi odpowiadał. Prowiant zabrałem na co najmniej tydzień, nie musiałem nikomu pokazywać się na oczy. Stąd zamierzałem rozpocząć po kilku dniach „poszukiwania” małżonki.

Tutaj, wśród bezmiaru wód, łódek i tysięcy nagich ciał, naprawdę łatwo zaginać... Moglibyście jej szukać do końca świata.

\* \* \*

Przez kilka dni cieszyłem się swoim szczęściem, błogim spokojem, wolnością. Jednakże była to najwyraźniej radość na wyrost: wkrótce potem poczułem się gorzej. Fizycznie gorzej. Wspominałem już, że ostatnimi czasy w ogóle nie najlepiej się czułem; sporo i przewlekłe chorowałem. Ale teraz dopadło mnie coś naprawdę paskudnego. Cierpiałem na potworne bóle brzucha, dolegliwości jelitowe, w dodatku włosy (a dumny byłem z tego, że mimo siwizny nie wyłysiałem tak jak większość moich rówieśników) zaczęły mi wychodzić dosłownie garściami. Słabłem, przewracałem się, mięśnie odmawiały mi posłuszeństwa. Pomyślałem sobie wtedy po raz pierwszy, że oto kara za mój... grzech.

Choć myślę, że dobry Bóg i tak powinien był mi go odpuścić. Jeśli istnieje, z pewnością wie, ile wycierpiałem – w końcu sam postawił tę potworną babę na mojej drodze. A może to ona osobiście mści się na mnie z za grobu? Cóż, to do niej podobne. Jak by nie było, księdza wołać nie zamierzam. To już wam wolę wszystko do samego końca opowiedzieć.

Gdy mój stan był już tak zły, że nie mogłem funkcjonować, resztką sił dowlokłem się do samochodu i ruszyłem do najbliższego miasta, na pogotowie. Jak dojechałem, sam nie wiem. Cud, że nie rozbiłem się po drodze. Tak pewnie byłoby dla mnie lepiej.

Nie tak to wszystko miało wyglądać. Chciałem jeszcze choć trochę pożyć, bo do tej pory kiepsko mi jakoś szło. Teraz już mi wszystko jedno. Domu tylko szkoda.

Dopilnujcie, by trafił w dobre ręce. Ale niech nikt się nie dowie, że ona... tam leżała, w tym dole. Niech nowi mieszkańcy nie mają do mnie o to żalu. Pewnie niczego by nie zrozumieli, wystraszyliby się tylko, może nawet zrazili. A to taki piękny dom i piękne miejsce do życia...

Jeśli o mnie chodzi, nadal niczego nie żałuję. Ani trochę. Tak, zrobiłbym to po raz drugi. Choćby dla tych kilku dni swobody.

Powiedziałem już wszystko. Teraz dajcie mi spokój. Źle się czuję, muszę nareszcie odpocząć...

### ***Komentarz dziennikarski***

*Obiecałam Państwu czysty tekst bez zbędnych komentarzy, jednak na sam koniec winna jestem czytelnikom przynajmniej krótkie wyjaśnienie. Opieram się przy tym wyłącznie na informacjach z policyjnego śledztwa.*

*Ponieważ Wiktor W. wkrótce zmarł, sprawę zamknięto. Jego zeznanie zostało sprawdzone i – niestety – okazało się zgodne z prawdą. Odnalezione na terenie posesji ciało okazało się szczątkami jego małżonki, Jadwigi W., lat 67.*

*Przyczyną śmierci Wiktora W. było zatrucie arszenikiem. Substancję tę odnaleziono w prowiancie, który znajdował się w domu państwa W. oraz w tym, który pan W. zabrał ze sobą w podróż. Zawierały go zapasy kawy, alkoholu, konserw domowej roboty, herbaty, mąki i przypraw. Nie mógł go wykryć, ponieważ arszenik jest bezbarwny, nie posiada także smaku ani zapachu. W trakcie autopsji wykryto go w znacznej ilości w organizmie mężczyzny.*

*Według lekarzy mężczyzna był systematycznie podtruwany od dłuższego czasu, najprawdopodobniej przez żonę, która z racji uprawiania ogrodu mogła bez trudu zdobyć nawet duże ilości tej trucizny. Jest ona powszechnie dostępna w handlu. W zasadzie każdy może ją kupić w pierwszym lepszym centrum handlowym.*

*Przypuszczalnie Jadwiga W. tygodniami, a może nawet miesiącami, kontrolowała podawane mężowi dawki, by odwlec w czasie ostateczny efekt: powolną śmierć, sprawiającą wrażenie naturalnej i – szczególnie w jego wieku – niebudzącą wątpliwości. Chorował przecież, leczył się regularnie na różne schorzenia.*

*Gdy Wiktor W. został sam, zaczął spożywać truciznę w większej ilości, co spowodowało szybkie nasilenie objawów. Lecz mężczyzna i tak żył z wyrokiem śmierci: poza wymienionymi objawami, zdiagnozowano u niego nieuleczalną niewydolność nerek, uszkodzenia wątroby oraz układu nerwowego – także skutki długotrwałego kontaktu z arszenikiem.*

*Tak więc, planując zabójstwo żony, nie miał pojęcia, że praktycznie sam jest już martwy.*

*To ona zamordowała go pierwsza.*

# Marta Guzowska

## OKNO NA SKLEP KOMPUTEROWY

Za pierwszym, drugim, trzecim, a nawet za czwartym razem, kiedy Sebastian słyszał: „No, stary, to sobie odpoczniesz na urlopie”, tylko się krzywił w nieszczerym uśmiechu. Od mniej więcej piątego razu był to już grymas. A później miał po prostu ochotę dać dowcipnisiowi w mordę. Ale co by to dało? Co by to dało...?

Urlop? Pobudka o szóstej. Szybko butelka, bo Myszka się drze. Przewinąć. Przebrać. Agnieszka gania po domu w staniku, szuka całych rajstop i pyta wściekła, kto ruszał jej kolczyki, więc lepiej zejść jej z drogi. Zrobić kawę. Zrobić sobie śniadanie, bo Agnieszka kupuje tylko drożdżówkę w drodze do pracy. Wypić kawę. Zjeść śniadanie, i to szybko, bo Myszka zaraz włączy syrenę i trzeba będzie ją usypiać. Znowu przewinąć, bo kupa. Uśpić. Siedzieć koło niej, gdy śpi, bo ostatnio coś często jej się ulewa i zaczyna się krztusić (przynajmniej można przeczytać gazetę i przelecieć przez kilka internetowych portali). Wyjąć zupkę z zamrażalnika. Odgrzać zupkę. Wystudzić zupkę. Wmusić zupkę w Myszkę, która zębkuje i nie chce jeść. Wytrzeć po zupce podłogę i Myszkę. Wstawić pranie. Nastawić zmywarkę. Pobawić się z Myszką, bo czepia się nogawki spodni dresowych i wyje „tati, tati”. Wyjąć pranie. Powiesić pranie. Przewinąć. Znowu uśpić Myszkę, która ma system spania na raty. Znowu godzina przerwy, pod warunkiem, że ten idiota sąsiad, który od pół roku remontuje mieszkanie, nie będzie akurat wiercił. Przewinąć, druga kupa tego dnia i do tego rzadka, jeśli będzie trzeba zadzwonić do lekarki. Podać obiad (dzięki ci, Panie, za słoiczki dla niemowląt i pal licha ich pieruńską cenę). Wyjść na spacer. Zrobić przy okazji zakupy. Wrócić ze spaceru. Przewinąć. Podać podwieczorek. Pobawić się. Przygotować kąpiel. Wykąpać. Przebrać w piżamkę. Agnieszka w domu. Zrobić kolację Myszkę. Zrobić kolację Agnieszce. Zrobić kolację sobie. Nakarmić Myszkę (Agnieszka zje sama, ha, ha). Przewinąć, bo znowu kupa (czyli jutro definitywnie dwie godziny u lekarki, bo kolejki straszne, wszystkie dzieciaki z okolicy chorują). Dać butelkę. Uśpić. O Boże, koniec.

Potem mógł jeszcze poczytać albo kochać się z Agnieszką, ale na pierwsze nie miał siły on, a na drugie – zazwyczaj ona. Jeśli tak miał wyglądać urlop, to życzył tym wszystkim dowcipnisiom z pracy, żeby spędzili na urlopie całe życie.

A najgorsze było to, że podjął się siedzenia z dzieckiem w domu na ochotnika. To prawda, że Agnieszka zarabiała więcej, ale nie tylko o to chodziło. Kontakt z dzieckiem i te rzeczy. Kontakt z Myszką rzeczywiście był fantastyczny. Ale Sebastian często łapał się na rozważaniu, czy ten kontakt naprawdę byłby gorszy, gdyby wracał z pracy po osiemnastej, jak każdy normalny ojciec w tym kraju.

Nie, to nie było najgorsze. Najgorsze było, że tak strasznie tęsknił za pracą. Okej, może pisanie tekstów popularnonaukowych dla średnio poczytnego tygodnika to nie praca w Pentagonie, ale w redakcji byli ludzie, dorośli ludzie, do których można gębę otworzyć i usłyszeć w zamian coś innego niż „pa pa tati tati”.

Nie mógł się wycofać, to jasne. Faceci się nie wycofują. Faceci pokonują trudności

i wychodzą zwycięsko z przeciwności losu. Nawet z takich przeciwności losu jak przesunięcie (z niejasnych przyczyn) porannej drzemki, które owocuje całonocnym rykiem. Faceci dają radę.

Ten z naprzeciwka też świetnie dawał sobie radę, tak świetnie, że Sebastiana skręcało z zawiści. A skręcało go za każdym razem, kiedy spacerował po mieszkaniu z wrzeszczącą (zabkowanie jest bolesne) Myszą na rękach, bo Facet nie zasłaniał okien i Sebastian (na trzecim piętrze) też nie.

Facet miał sklep komputerowy. Przez okno wyglądało, że prowadzi tam też punkt konsultingowy dla komputerowych tępaków, niepotrafiących się obchodzić ze sprzętem, za który zabulili ciężką kasę. Interes najwyraźniej szedł nieźle, bo Facet zatrudniał nawet sekretarkę (teraz mówi się chyba asystentkę). A Sekretarka miała blond włosy i duży biust, i dobrze o tym wiedziała.

Nad sklepem Facet miał mieszkanie. Tam, co prawda, w oknach tkwiły rolety, ale półprzezroczyste, i zimą, kiedy światło paliło się praktycznie non stop, wszystko było widać jak w chińskim teatrze cieni. Przez rolety widać było jeszcze jedno: Facet nie posiadał dzieci. Ani małych, ani dużych, ani w ogóle żadnych. Posiadał za to narzeczoną, brunetkę. Biust Brunetki był mniejszy od biustu Sekretarki, ale za to ślicznie się uśmiechała. (Uśmiechu Sebastian nie namierzył przez rolety, spotkał Brunetkę, jak kiedyś wychodziła z domu. Uśmiechnęła się ślicznie do Myszy i pomachała jej, a potem zerknęła na zegarek na pomarańczowej żelowej bransoletce. Sebastian widział kiedyś podobny zegarek na wystawie i chciał go kupić Agnieszce, ale zdaje się, że zegarek nie pasował do korporacyjnego image'u). Do największych zalet Brunetki należało to, że była narzeczoną dochodzącą i że Facet mógł mieć święty spokój, kiedy tylko chciał.

Nic dziwnego, że Sebastiana skręcało, kiedy spacerował po mieszkaniu z Myszą w ramionach i gapił się tępo w okna naprzeciwko. Facet wstawał, kiedy Sebastian miał już za sobą dwie butle z mlekiem, co najmniej pół drzemki i – zazwyczaj – jedną kupę. Sklep otwierał, kiedy Sebastian próbował wmusić w Myszę zupę, łyżka po łyżce. Sekretarka pojawiała się po zupie, a pierwsi klienci (nie było ich zbyt wielu, to trzeba przyznać) zaczęli spływać w trakcie wyjmowania prania z pralki. Jeszcze zanim Sebastian wetknął Myszy smoczek w dziób na drugą drzemkę, Facet robił sobie przerwę na lunch. Z tą przerwą bywało różnie, czasem wracał po pół godzinie, ale zdarzało się, że Sebastian natykał się na niego na ulicy dopiero wtedy, kiedy siłował się z wózkiem, Myszą i zakupami. Brunetka pojawiała się w czasie owoców ze słoiczka na podwieczorek. Rzadko zaglądała do sklepu, przeważnie od razu szła na górę. Czasem Brunetka i Facet wychodzili razem wieczorem, zazwyczaj pomiędzy kaszką a butelką na dobranoc. Ale częściej Brunetka zostawała.

Agnieszka przyłapała kiedyś Sebastiana, jak gapił się w okna po przeciwnej stronie ulicy.

– Podglądasz sąsiadów? – spytała. – Już tak źle z tobą?

Sebastian nie wiedział, co odpowiedzieć, ale odpowiedź Agnieszki nie interesowała, bo miała do spakowania dokumenty na zebranie zarządu następnego dnia. Więc pokręciła tylko głową i poszła grzebać w papierach, a Sebastian został, gdzie stał, z Myszą na rękę.

Pora roku ułatwiała obserwację. W lecie, przez liście, nic by nie widział. Ale była

zima; Myszę należało opatulać w wózku śpiworkiem, a w niektóre dni dodatkowo kocykiem.

Na początku sądził, że się myli, w końcu dzieliły go od Faceta dwie szyby okienne, ulica i różnica wysokości trzech pięter. Ale im dłużej patrzył, tym bardziej nabierał przekonania, że ma jednak rację.

To były drobiazgi: Sekretarka niżej pochylała się nad Facetem, kiedy podawała mu kawę albo dokument do podpisu, a czasem przysiadła na jego biurku, zamiast stać obok. Nosila rozpuszczone włosy, chociaż wcześniej ściagała je w kucyk. Sposób, w jaki się poruszała, też się zmienił.

Odwrotny proces zachodził piętro wyżej. Brunetka, która wcześniej pojawiała się codziennie, teraz zaczęła opuszczać niektóre dni. Kilka razy widział, jak sylwetki Brunetki i Faceta stały naprzeciwko siebie i wymachiwały rękami. A raz Facet Brunetkę uderzył. Brunetka ukryła twarz w dłoniach, a Facet odwrócił się i podszedł do okna. Odsunął roletę i spojrzał prosto na Sebastiana. Sebastian dał krok do tyłu. Przytulił mocniej Myszę i poszli budować wieżę z klocków. To znaczy Sebastian budował, a Myszka rozwalala z radosnym piskiem.

Następnego dnia Brunetka przyszła wcześniej, Sebastian minął się z nią, kiedy wychodzili z Myszą na spacer i po zakupy. Dlatego nie widział, co się działo, ale kiedy wrócił, przewinął Myszę i usiadł przy oknie, żeby dać jej owoce ze słoiczka, Brunetki już nie było. Za to Sekretarka została dłużej niż zwykle i tym razem to ona siedziała na krześle, a Facet na krawędzi stołu. Długo rozmawiali, a Sekretarka potrząsała głową, aż jej włosy fruwały z lewa na prawo i z powrotem. Klienci im nie przeszkadzali, bo do tego sklepu w ogóle rzadko ktoś zaglądał.

Następnego dnia Brunetka przyszła później, już po kąpaniu, tuż przed kaszą. Nie weszła na górę, Facet kłócił się z nią na dole, w sklepie. W pewnym momencie chwycił ją za ramiona, a potem rzucił na krzesło. Brunetka – znowu – ukryła twarz w dłoniach.

I to był ostatni raz, kiedy Sebastian ją widział.

Następnego dnia nie przyszła. Ani następnego. Ani jeszcze następnego. Za to zaczął padać śnieg. Oblepił drzewa przed domem. I Sebastian nic już nie mógł zobaczyć. Doprowadzało go to do szału.

Sąsiadce z piętra niżej, którą spotkał na schodach, zdążył tylko powiedzieć:

– Widziała pani może, czy w domu naprzeciwko...

Sąsiadka zerknęła na niego podejrzliwie i zatrzasnęła za sobą drzwi od mieszkania.

– Chciałem ją tylko o coś zapytać – poskarżył się wieczorem Agnieszce.

– Daj spokój. – Agnieszka zmywała makijaż i pod oczami miała czarne kręgi jak panda. – Ludzie teraz tacy są. Godzinami siedzą na fejsie, a sąsiadowi nie powiedzą dzień dobry.

– Myślisz, że ta stara baba siedzi na fejsie? – zdziwił się Sebastian, ale Agnieszka nie odpowiedziała, bo pochyliła się do lustra, żeby wyjąć soczewki.

„Właściwie mam to gdzieś – zdecydował Sebastian. – Co mnie obchodzi jakiś facet ze sklepu i jego problemy z narzeczoną”.

Ale następnego dnia Myszka wrzuciła grzechotkę w śnieg. Sebastian dobrze wiedział, jaki będzie ryk, jeśli natychmiast nie dostanie jej z powrotem, więc

zamierzał tylko wytrzeć ją o spodnie, wbrew zaleceniom Agnieszki, która zabawki rzucone na ziemię kazała odkładać, a w domu polewać gorącą wodą. Ale nie dał Myszy grzechotki. Podniósł ją i wpatrywał się w zegarek, który leżał w śniegu obok. Damski zegarek. Na pomarańczowym żelowym pasku.

„Pewnie zgubiła – pomyślał. – Po tym, jak się z nim pokłóciła. Nie miała głowy szukać i leżałby tu do wiosny, gdyby nie Mysza...”.

Pochylił się niżej i odgarnął śnieg. Bransoletka była zapięta.

Sebastian podniósł zgubę i stał jak głupi, trzymając w jednym ręku zegarek, a w drugim grzechotkę.

Bransoletka była ciasna. Za ciasna. Żadna kobieta nie ma na tyle drobnych dłoni, żeby taka ciasna bransoletka mogła się ześlizgnąć.

„To na pewno nie jej – uznał Sebastian. – Mało to ludzi ma podobne?”.

I dalej gapił się na zegarek, chociaż było jasne, że jeszcze chwila i Mysza włączy syrenę.

Pod domem zatrzymała się taksówka, a Sebastian odwrócił się dokładnie w chwili, kiedy Facet podszedł do bagażnika i wyciągnął stamtąd wielką walizę.

Wtedy Sebastian popełnił pierwszy błąd. Zamiast schować zegarek do kieszeni albo rzucić go z powrotem w śnieg, stał i nadal trzymał go w ręku.

Facet spojrział najpierw na swój własny zegarek, a potem przeniósł spojrzenie na Sebastiana. Przerzucił walizę do drugiej ręki, podszedł i wyjął żelową bransoletkę z jego dłoni.

– Dziękuję – powiedział. – Moja narzeczona od dwóch dni go szuka. Oddam jej.

Sebastian nic nie odpowiedział, bo przestały go słuchać struny głosowe. Wydał z siebie tylko coś w rodzaju chrząknięcia, które każdy mógł sobie dowolnie zinterpretować.

– Dziękuję – powtórzył Facet, grzeczny jak przystało na właściciela prywatnego biznesu. A ponieważ nie doczekał się reakcji, pogrzebał w kieszeni, wyciągnął klucz i otworzył drzwi.

Sebastian zerknął się na Myszę. Patrzyła za odjeżdżającą taksówką. Więc dał jej tę cholerną grzechotkę i zabrał do domu, na podwieczorek i zabawę w turlanie się po podłodze.

Następnego dnia Sebastian popełnił drugi błąd. Począł, aż Facet wyjdzie (to nie było trudne do ustalenia, skoro przez cały boży dzień tkwił przed oknem), wsadził Myszę w wózek i zabrał ją na drugą stronę ulicy. Zawsze wystawiał Myszę na pierwszą linię strzału w kontaktach z sekretarkami i w ogóle innymi kobietami; tym razem numer też zadziałał bez pudła. Sekretarka zaczęła gruchać i nie przestawała nawet wtedy, kiedy Sebastian opowiadał o swoim problemie z odzyskaniem przypadkowo skasowanych plików. Pozwoliła Myszy pociągnąć się za długi blond kosmyk i wyjaśniła, cały czas patrząc na Myszę, nie na Sebastiana, że szefa nie ma, ale będzie później i „jeśli pan sobie życzy, to się z panem skontaktuje”. Sebastian rozejrzał się uważnie po całym sklepie, a nawet nachylił się i pomacał wykładzinę podłogową. Nic nie znalazł. Czego się zresztą spodziewał, plam z zaschniętej krwi? Wyprostował się więc, powiedział Sekretarce, że mieszka niedaleko, więc może wpaść w każdej chwili, zabrał Myszę i poszli.

Facet był łatwy do namierzenia na fejsbuku. Wystarczyło wstukać nazwę firmy z

tabliczki koło domofonu, a reszta to banał. Stronę chyba założył wtedy, kiedy wszyscy zakładali, a potem o niej zapomniał. Kilka zdjęć firmy („Nowo otwarty sklep ze sprzętem i oprogramowaniem, gdzie nikt nie czuje się zaniebany. Przyjdź, zapytaj. Nie ma głupich pytań, są tylko głupi sprzedawcy, którym nie chce się tłumaczyć. Nam się chce. Zapraszamy”). Uśmiechnięty Facet na tle jakichś rozgrzebanych komputerów. Zdjęcia Sekretarki nie było.

Z prywatnych – dwie fotografie z Brunetką na plaży, chyba egzotycznej, bo w tle widniały palmy. I kilka zdjęć z nart, ale z powodu gogli i kasków trudno było dojść, kto jest kim.

Dzięki podpisom pod zdjęciami („z Anką w Egipcie, ludzie, ale tam jest morze!”) i przez listę znajomych łatwo dotarł do strony Brunetki (Anki, Anki!). Tu znalazł o wiele więcej. Było tak dużo, że aż się przelewało. Anka najwyraźniej cierpiała na manię dokumentowania każdego dnia, czasem po kilka razy. Na zakupach („och, jaki boski sweterek, ale za to cena!”), u przyjaciół („ impreza była super, myślałam, że nie wstanę rano do pracy”). I oczywiście z Robertem. Z Robertem w Egipcie (ta sama fotka, która ostatecznie utwierdziła Sebastiana w przekonaniu, że to właśnie ta Anka, a nie inna, bo w końcu internet pełen jest Anek, które czują się w obowiązku opowiedzieć bliźnim o każdej minucie swojego życia), z Robertem na spacerze, z Robertem na kawie, z Robertem na zakupach, a raz nawet, co wprawiło Sebastiana w zdumienie, z Robertem na wystawie (nie dowiedział się, co to była za wystawa, bo cały kadr zdjęcia wypełniali Anka i Robert).

I tak codziennie.

Z wyjątkiem kilku ostatnich dni.

Sebastian sprawdził. Od soboty nie było ani jednego wpisu.

Wpisu Anki, rzecz jasna. Były wpisy jej znajomych: „Anka, hop hop, gdzie jesteś?”, „Anka, gdzie się ukrywasz?”, „Romantyczny wypad z Robertem? :-)))))) Podziel się z nami”.

I wtedy Sebastian popełnił trzeci błąd.

Wysłał wiadomość do Roberta. Nie ze swojego konta, aż taki głupi nie był. Założył sobie nowe. „Gdzie jest Anka?”. Tylko tyle.

Już w chwili, kiedy naciskał „wyślij”, złapał się na tym, że kieruje nim nieuzasadniona ciekawość. Zamierzał sprawdzić, jak Facet (czyli Robert) zareaguje, to po pierwsze. A po drugie chciał się dowiedzieć, dlaczego Facet taszczył wtedy z powrotem do domu taką wielką walizę, w której z łatwością mógł się zmieścić człowiek. I dlaczego ta waliza była taka lekka, jakby w środku nic nie było – już nic nie było.

A ten cholerny śnieg na drzewach nadal zasłaniał wszystko.

Brunetka (Anka) zniknęła. W śniegu przed domem leżał jej (*chyba jej*, poprawił się w myślach Sebastian) zegarek z nierozpiętą bransoletką. Facet przywiózł do domu wielką pustą walizę. A raz, gdy Sebastian przechodził pod oknem firmy, zobaczył, jak Facet i Sekretarka całowali się z dobrą minutę bez przerwy, aż Myszka zaczęła piszczeć, żeby już się ruszył.

To wszystko dało się wytłumaczyć bardzo prosto. Facet i Brunetka pokłócili się o Sekretarkę. Brunetka sobie poszła. Może wcześniej zdjęła zegarek (bo wylądowali ostatni raz w łóżku, na pożegnanie?) i Brunetka nie bawiła się w zakładanie, tylko

wepchnęła go do kieszeni. A przy wejściu jej wypadł, może jak sięgała po chusteczkę do nosa, bo płakała.

Proste? Proste.

Tylko kto, zdejmując zegarek, zapina bransoletkę?

A Facet przytargał do domu wielką pustą walizę, bo wcześniej odwiózł w niej wszystkie rzeczy Brunetki.

Albo wywiózł w niej z mieszkania zwłoki Brunetki. Bo w kłótni ją zabił. Celowo lub niechcący.

Sebastian nie mógł przestać o tym myśleć.

Wielka waliza.

Zapięta bransoletka.

Zniknięcie Brunetki (Anki, Anki!) z fejsbuka.

Tylko co on miał z tym zrobić? Iść na policję? Żart. Wyśmialiby go, jeśli w ogóle by wysłuchali. A może jeszcze na niego by coś znaleźli.

To co miał zrobić? Przecież był tylko zwykłym facetem, do tego bez roboty. Ojcem na tacierzyńskim.

Sebastian zamknął klapę laptopa. W mieszkaniu było ciemno i tak cicho, że słyszał popiskiwanie Myszy z drugiego pokoju. Ona czasem tak śmiesznie piszczła przez sen.

Podszedł do okna. Naprzeciwko też było ciemno, ale wydawało mu się, że widzi cień sylwetki dokładnie na wprost niego. Wpatrywał się w ten cień, próbując dojrzeć, czy naprawdę stoi tam Facet i patrzy na niego, czy to tylko jego, Sebastiana, omamy wzrokowe.

Usłyszał kroki Agnieszki w przedpokoju i za chwilę w łazience zapaliło się światło. Przez sekundę Sebastian stał podświetlony od tyłu, teraz on był figurą w chińskim teatrze cieni. A potem zanurkował pod parapet. I wiedział już, że Facet wie, że on wie.

Następnego dnia Facet wyszedł ze sklepu dokładnie wtedy, kiedy Sebastian przepychał wózek przez zaspę pod jego drzwiami. Zupełnie jakby na niego czekał. Długo nie musiał czekać; Sebastian i Mysza, ze swoim planem dnia, byli przewidywalni jak szwajcarskie koleje. Sebastian uważał, że tylko regularny rozkład zajęć zapewnia dziecku dobre ramy do rozwoju.

Facet zatrzaskał drzwi i podszedł do nich – Mysza akurat próbowała ściągnąć sobie czapkę, chociaż było minus jeden. Sebastian przytrzymał jej rączkę i jednocześnie walczył z wózkiem, więc odwrócił się dopiero wtedy, kiedy usłyszał „dzień dobry”.

– Moja narzeczona bardzo się ucieszyła, że znalazł pan jej zegarek – powiedział Facet.

Mysza znowu szarpnęła za czapkę, a Sebastian znowu ściągnął jej rękę w dół.

– Ma pan śliczną córeczkę – mówił Facet. – Skończyła już roczek? Jak ma na imię?

Sebastian nie odpowiedział, a Mysza wykorzystała moment jego nieuwagi, zdjęła czapkę i wymachiwała nią tryumfalnie. Sebastian jak automat wyjął czapkę z dłoni Myszy i naciągnął z powrotem na jej główkę.

– To pewnie niełatwo tak cały dzień opiekować się dzieckiem – kontynuował Facet. Uśmiechnął się do Myszy. Dziewczynka zmierzyła go od góry do dołu



spojrzeniem przeznaczonym dla obcych, którzy do niej nie gruchają. – Niech się pan o nią dobrze troszczy.

Sebastian nigdy nie był mocny w wymyślaniu na poczekaniu błyskotliwych ripost. Ale Facet nie czekał na odpowiedź, po prostu odszedł, nawet nie mówiąc „do widzenia”.

Sebastianowi trzęsły się ręce, kiedy próbował otworzyć kluczem drzwi do klatki schodowej, i trzęsły mu się nadal, kiedy dawał Myszy owoce ze słoiczka. Wieczorem nie mógł usnąć, przewracał się z boku na bok, ale lękał się podejść do okna. Bał się, że zobaczy tam Faceta; jeszcze bardziej się bał, że Facet zobaczy jego. A najbardziej bał się o Myszę. Ten strach był tak silny, że na samą myśl nie mógł zaczerpnąć tchu.

Następnego dnia Agnieszka wróciła z pracy, kiedy Mysza siedziała w wannie. Sebastian polewał jej plecki, a Mysza chichotała.

– Znasz tego faceta z naprzeciwka? – Agnieszka ściągnęła żakiet i rzuciła go na pralkę. – Tego, co ma sklep z komputerami? Spotkałam go przed chwilą. Powiedział, że często cię widzi, jak spacerujesz z Myszą. Mówił, że bardzo mu się podoba nasz partnerski układ.

– Mówił coś jeszcze? – Sebastian przeciągnął ręką po spodniach od dresu, bo Mysza chlapnęła wodą i bryzgi poleciały na niego.

– Zachwycił się Myszą. Ale każdy się zachwyci Myszą, bo – Agnieszka pochyliła się nad wanną – moja Myszka to super dziewczynka. Prawda, Myszko?

Mysza chlupnęła, używając obu rąk i obu nóg.

– Cholera, zaleje mi spodnie do pracy. Mama pójdzie się przebrać, córeczko. Zostań tu z tatusiem. – Agnieszka wybiegła z łazienki. – Fajnie jest znać sąsiadów, nie? – krzyknęła z przedpokoju. – Może jednak nadciągnie renesans więzi międzyludzkich. Może powinieneś się z nim zakumplować, nie siedziałbyś tak ciągle sam.

„I co ja mam zrobić? – pomyślał Sebastian. – Co ja mam teraz, kurwa, zrobić? Co ja mam teraz zrobić, do kurwy nędzy? – głowił się, wpatrzony w czarny sufit, nasłuchując cichutkiego popiskiwanego Myszy przez sen. – Nie wyprowadzę się stąd, bo jak? Co powiem Agnieszce? Że facet z naprzeciwka, ten miły sąsiad, pokłócił się z narzeczoną, a ja podejrzewam, że ją zamordował, jak w tym filmie Hitchcocka?”. Agnieszka popukałaby się w czoło. A właściwie nie, popatrzyłaby mu z troską w oczy, a potem przytuliłaby go i zaproponowała seks.

„Nic nie mogę zrobić. Nic nie mogę, kurwa, zrobić! Ale co, jeśli...”.

W tym momencie strach o Myszę chwycił go za gardło tak mocno, że Sebastian nie mógł nawet skończyć myśli.

„A jednak możesz, kretynie”.

Sebastian podskoczył, bo nowa myśl pojawiła się tak nagle i była tak wyraźna, jakby usłyszał w ciemności obcy głos. Agnieszka przekręciła się na drugi bok. Sebastian oparł głowę o poduszkę i pozwolił głosowi kontynuować w jego głowie.

„Popełniłeś trzy błędy, tak? Trzy wielkie błędy. To nie rób ich więcej”.

Łatwo powiedzieć... Sebastian skrzywił się. Jednak kolejna myśl była tak klarowna, że poczuł, jak skacze mu puls.

Następnego dnia nie mógł się doczekać, kiedy Mysza wypije butlę i zaśnie. Wszedł na fejsbuka i do wszystkich znajomych Anki wysłał wiadomość: „Słuchajcie,

Anka zniknęła. Od kilku dni próbuję się z nią skontaktować, nie odbiera telefonu i nie odpowiada na fejsie. Czy ktoś z Was ma z nią kontakt”. Opatrzył wiadomość trzema znakami zapytania, potem zamyślił się chwilę i dorzucił jeszcze trzy wykrzykniki.

Anka miała strasznie dużo znajomych i wszyscy zaczęli się przerzucać tekstami w stylu: „Ja też nie mogę się do niej dodzwonić”, „Nie ma jej, to prawda”, „To do niej niepodobne, coś musiało się stać”, „Może wypadek” i „Trzeba zgłosić na policję”. Sebastian dał im dwa dni; i tak za dużo, bo po dobie temat zniknięcia Anki wyczerpał się. Po dwóch dniach wrzucił nowy wątek: „Widziałem ją ostatnio u Roberta, ale on nie chce na ten temat rozmawiać. Unika mnie, a kiedy go spotykam, zachowuje się agresywnie. Chodźmy do niego wszyscy, jak przyjdzie kilkadziesiąt osób, będzie musiał z nami porozmawiać”. Dostał w odpowiedzi: „Super pomysł!”, „Tak, chodźmy”, „My też się martwimy o Ankę. No to kiedy?”. „Najlepiej w sobotę rano – odpisał. – Większość ludzi wtedy nie pracuje, a on prawie na pewno będzie w sklepie, bo mają otwarte. Pasuje Wam w sobotę o 12?”. Wszystkim pasowało. Sebastian nie miał złudzeń: większość znajomych Anki oleje sobotę i dwunastą, ale nie potrzebował wszystkich. Kilkanaście osób w zupełności wystarczy, właściwie wystarczy nawet kilka. Kilka obcych osób, których on nie zna i które nie znają jego.

W sobotę Agnieszka była w domu, ale Sebastian z przyzwyczajenia wstał o szóstej, dał butelkę Myszy, zrobił śniadanie, przygotował następną butelkę i ułożył Myszę do pierwszej drzemki. O dziesiątej, kiedy Mysza się obudziła, powiedział Agnieszce, że wychodzi. Agnieszka odpowiedziała, że ona też planowała wyjść, bo koniecznie musi sobie kupić nową spódnicę do pracy. Sebastian odparł, że jeśli ciągle będzie siedział w domu, to zwariuje, a Agnieszka może wziąć na zakupy Myszę, co on robi codziennie. I że Agnieszka powinna się starać o lepszy kontakt z córką, bo niedługo Mysza w ogóle zapomni, że ma matkę. Kłótnia zajęła im dwadzieścia minut i o dziesiątej trzydziści Sebastian był już za drzwiami.

Począł na klatce schodowej do za dziesięć jedenasta. Ryk Myszy słyhać było aż na dole, ale w końcu się uspokoiła. Sebastian skoczył jeszcze na chwilę do piwnicy; tuż przed jedenastą przeszedł na drugą stronę ulicy i wkroczył do sklepu.

Jak zwykle było pusto. „Z czego ten facet żyje, skoro nigdy tu nikogo nie ma?” – przemknęło Sebastianowi przez głowę, ale tylko przelotnie, bo musiał się skupić na czymś innym.

– O, to pan – ucieszyła się Sekretarka. – A gdzie malutka? Dzisiaj z mamusią? Sebastian przytaknął.

– Szefa znowu nie ma – oznajmiła i poprawiła włosy. – W sobotę zawsze jeździ po towar. Będzie za – zerknęła na zegarek – jakąś godzinę.

„Wiem – chciał odpowiedzieć Sebastian. – W końcu tyle już sterczę przed tym oknem, że znam rozkład dnia twojego szefa na pamięć”.

Ale nic nie powiedział. Podeszedł bliżej i uderzył Sekretarkę w głowę młotkiem, który wziął z piwnicy.

Sekretarka nawet nie jęknęła. Oczy uciekły jej w głąb czaszki, osunęła się z krzesła na wykładzinę i znikła z pola widzenia ewentualnych przechodniów na ulicy. Z domu naprzeciwko i tak nikt jej nie mógł zobaczyć przez ten cholerny śnieg na gałęziach.

Wszystko stało się bardzo szybko i Sebastian był pewien, że nikt go nie zauważył. Ale dla pewności rozejrzał się za kluczem. Nigdzie go nie znalazł, więc podparł drzwi

krzesłem. Potem postąpił chwilę w głąbi sklepu, niewidoczny z zewnątrz, i poobserwował ulicę. Przez tych kilka minut nie przeszła ani jedna osoba, nie przejechał ani jeden samochód. Sobota, wiadomo. Wszyscy tkwią w galeriach handlowych od rana do nocy.

Później udusił Sekretarkę. Nie wiedział, w jaki sposób Facet zamordował Brunetkę (Ankę, Ankę!), a chciał, żeby wyszło podobnie. Facet musiał ją albo udusić, albo walnąć mocno w głowę, bo pistoletu nie miał na pewno, a nóż... Nie, facet taki jak Facet na pewno nie szukałby w czasie kłótni noża po szufladach. Udusił ją lub walnął, to jasne. Więc Sebastian, na wszelki wypadek, zrobił i jedno, i drugie.

Udusił Sekretarkę dłońmi w rękawiczkach, młotek też cały czas trzymał przez rękawiczkę. Ostoniętą ręką otworzył i zamknął drzwi, przystawił krzesło. Na głowie miał czapkę; przecież był środek zimy. Prawdopodobieństwo, że zostawił jakiś DNA, było niewielkie. A zresztą przecież to sklep. Gdyby ktoś zaczął szukać, brodziłby w DNA różnych klientów po kolana. Sebastian miał nadzieję, że policja się do tego szukania przyłoży i znajdzie DNA Brunetki. Może też krew. Na przykład w walizce.

Zostawił Sekretarkę tam, gdzie leżała, wsadził młotek z tyłu za pasek spodni i spojrzał na zegarek. „Cholera, ale ten czas leci, już wpół do dwunastej. Niedługo zaczną się schodzić znajomi Anki”. Rozejrzał się jeszcze raz, sprawdzając, czy nie zostawił śladów. Nie zostawił. Odsunął krzesło, wyszedł ze sklepu i zamknął za sobą drzwi.

Wrócił do domu, zaniósł młotek do piwnicy i poszedł na górę.

– Przepraszam, kochanie – powiedział od progu. Agnieszka, w spodniach od dresu i staniku, zatrzymała się w pół kroku z Myszą uczeploną nogi. – Po prostu musiałem na chwilę wyjść, odetchnąć świeżym powietrzem. Chcesz, żebyśmy razem poszli do galerii handlowej po tę spódnicę?

Agnieszka uśmiechnęła się trochę niepewnie, bo nie wiedziała, czy kłótnia została właśnie ostatecznie zakończona. Za to Mysza zawyła ze szczęścia i wyciągnęła łapki w stronę tatusia. Sebastian podniósł ją i przytulił.

I znowu miał to uczucie, że wszystko jest w porządku. Tym razem nie popełnił przecież żadnego błędu. A zresztą, kto by go podejrzewał? Przecież był tylko zwykłym facetem, do tego bez roboty. Ojcem na tacierzyńskim.

# Katarzyna Bonda

## SUKNIA ŚLUBNA

*Większość rzeczy nie zdarza się,  
lecz ta się zdarzy.*

Philip Larkin

Dzwonek domofonu rozległ się cztery razy, zanim usłyszała zdyszany damski głos:

– Kto tam?

Milczała. Skóra pod kolanami znów zaczęła ją piec. Powstrzymała się jednak przed podrapaniem. Myślała, że ten głos jest miękki, aksamitny, choć zbyt piskliwy jak na jej gust.

– Halo – głos nadal był tylko lekko zniecierpliwiony.

Otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, ale rozległ się trzask odkładanej słuchawki. Bez wahania wcisnęła numer jeszcze raz. Tym razem osoba odebrała zaraz po pierwszym dzwonku. Była już wyraźnie zła.

– Żarty sobie stroisz?

Ewa uśmiechnęła się z wyższością. Nie od razu odpowiedziała. Chwilę wsłuchiwała się w oddech kobiety po drugiej stronie słuchawki i czuła, jak swędzenie pod lewym kolaniem wyraźnie się wzmaga.

– To pani auto? Czerwona micra na Czereśniowej? – odezwała się uprzejmie. Wiedziała, że jej głos wzbudzi w pisklaku respekt. Dodała już łagodniej: – Zastawiła mnie pani.

Głos zmiękł, spokorniał.

– Mąż zaraz zejdzie. Proszę poczekać. Adam!

Ewa odwróciła się tyłem do domofonu i zapaliła papierosa. Nie zdąży spalić całego, ale przynajmniej zajmie czymś ręce. Wpatrywała się w ciąg aut zaparkowanych na chodniku pod blokiem. Granatowe, czarne i zielone zlewały się w szarości zmierzchu. Czerwona micra stała pod jedyną czynną w okolicy latarnią. Była zaparkowana prawidłowo.

– Proszę pani! – usłyszała i aż podskoczyła z przestrawienia. Odruchowo odwróciła się w tamtym kierunku. Nikogo jednak nie dostrzegła. Z płyty domofonu znów dobiegał głos kobiety. Wznosił się na wysokie tony ze wschodnim zaśpiewem, była w nim jednak podejrzliwość sprytnego dziecka. – Skąd zna pani numer naszego domu?

Ewa nie była łaskawa odpowiedzieć. W bramie stanął już mężczyzna, potrząsał kluczykami do auta. Rozciągnęła usta w uśmiechu na jego widok.

\* \* \*

Kiedyś, gdy była mała, wzięła najlepszy obrus mamy – wykrochmalony i uprasowany, używali go tylko na Wigilię. Nasypała do środka skórek od chleba, pokruszyła ciastek, dorzuciła dżemu i miodu, bo zauważyła, że lubią słodcyce, i postanowiła założyć hodowlę faraonek. Obserwowała je: jak się mnożą, pracują, budują gniazdo. Opiekowała się nimi. Jej mama odkryła to i bardzo się zdenerwowała. Wszystkie jej podopieczne wylądowały w koszu.

Na żywopłocie wokół szkoły pasły się biedronki. Złowiła je do słoika. Słoik zakręciła, żeby nie uciekły. Wszystkie się udusiły.

Ślimak uciekł. Ktoś go rozdeptał.

Kilkanaście gupików mieszkało w sporym, okrągłym słoju. Chciała go wyczyścić, niedokładnie wypłukała – zatrwały się resztką płynu do naczyń.

Żółwia przywieźli z Jugosławii. Potrafił byćilkanaście dni sam w domu. Rodzice kupili nową wykładzinę i razem z małą Ewą wyjechali na weekend, żeby klej wysechł – tylko na dwa dni. Żółw wszedł pod wykładzinę i zatrzał się, zwierzaczek.

Miała pieska, nawet dwa. Pierwszego przywiózł do schroniska leśnik. „On długo nie pożyje – powiedział, wskazując na malutkiego jamnika. – To jest zwierzę do uśpienia”. Wzięli go do domu, dała mu na imię Gucio. Miał wadę serca, szybko umarł. Drugiego psa już kupili, też jamnika. Kali się nazywał. Cierpliwy i oddany. Mogła go „męczyć”, nigdy nawet nie warknął. Traktował ją jak swojego szczeniaka – bronił przed obcymi, nikt nie mógł do niej podejść, tak ją kochał. Ten żył dłużej, ale miał słaby kręgosłup – po kilku latach dysk mu wypadł i na spacerzy trzeba było go wynosić, męczył się. Rodzice tego nie wytrzymali. Pies usnął jej na rękach.

Na studiach, w ramach terapii, hodowała pająka. To był jeden z tych dużych, tupiących. Miał wielki brzuch. Lubiała go. Łapała srebrzyki z wanny, żeby miał co jeść. Po kilku tygodniach zdechł. Nie miał imienia. Zdzichu na niego mówiła.

Leżeli na kozetce w pogotowiu, kiedy mu to wszystko opowiadała. Pomiedzy drugą a trzecią nad ranem czasami naprawdę nic się nie działo. Spytał ją o wspomnienia z dzieciństwa. Powiedziała mu te, które przysły jej do głowy jako pierwsze. Nie planowała go straszyć. Ale zmarkotniał, spiął się. Czuła, jak ciało mu tężeje. Jeszcze ją obejmował, czuła jego bliskość, ale już tylko fizycznie. Myślami błądził gdzie indziej. Nie odważyła się zapytać, gdzie uciekł od niej.

– Ludzie uważają, że śmierć jest czymś złym, ale myślę, że to wynika z egoizmu – kontynuowała i złapała się na tym, że nie mówiła o tych sprawach z nikim. A Adamowi chciała powiedzieć. Chciała powiedzieć mu o wszystkim. Był jej, tak bardzo jej.

Nagle wstał. Rozprostował spodnie i zaczął się ubierać. Jeszcze coś mówiła, ale on już pochylił się, szukając skarpetki. Z kieszeni wypadł mu stetoskop. Widziała jego wygięte w łuk barczyste plecy, zaczątki tłuszczu na brzuchu, które o dziwo wcale jej nie przeszkadzały. Podniósł głowę i spojrzał na nią dziwnie, z obawą.

– Przestań – powiedział, poprawiając zmierzwiłone włosy. Uważała, że powinien je krócej ściąć; zakola nie dodawały mu uroku. Wstała i choć był już prawie całkiem ubrany, a ona całkiem naga, objęła go i pocałowała najczulej, jak potrafiła. Chwycił ją w pasie, tak jak lubiała, przyciągnął do siebie jednym zdecydowanym ruchem.

– Jesteś taka piękna. Taka młoda. Nie myśl o tym wszystkim – szeptał, całując ją, jakby w ten sposób próbował zmienić temat rozmowy. Nie dawała się. Nie była

pisklakiem, który gotuje, sprzęta i nosi ondulowaną kulę zamiast włosów. Była najmądrzejszą kobietą, jaką znał, tak w każdym razie mówił.

– Jeżeli odchodzi ktoś, kogo kochamy i kto nas kochał, to osoba, która zostaje przy życiu, myśli: straciłam miłość, bliskość, ciepło, bezpieczeństwo, straciłam obiekt, który mogłam kochać. Jestem zdania, że to czysty egoizm – dokończyła i jednym ruchem znów rozpięła mu spodnie. Nie opierał się, ale z ulgą odsunął się, kiedy dyspozytorka wezwała ich przez radiotelefon. Zawał na Ordynackiej. Nie mieli już ani chwili. Od ponad roku wszędzie jeździli razem.

Ewa wciągnęła majtki, dzinsy, zaczęła zapinać guziki bluzki.

– Rozmawiałaś z nią?

Odwrócił głowę.

– Znów miała grypę? – Uśmiechnęła się z politowaniem. – Czy może twoja matka zrobiła jej przykrość?

Wyciągnął rękę, by pogłodzić ją po porcelanowej twarzy, ale się odsunęła. Chwyciła fartuch. Narzuciła go na plecy. Długie ciemnoblonde włosy ściągnęła w ciasny kucyk.

– Kiedy? – zapytała lekceważąco.

– Porozmawiam z nią – zapewnił niezbyt przekonująco.

Winda podjechała. Skinęła głową pielęgniarzom, którzy mieli jechać z nimi tą samą karetką.

\* \* \*

Basen był opustoszały, lecz nie pusty. Ewa była zdziwiona – liczyła na to, że o tej porze nikogo tu nie zastanie. Na torze zewnętrznym jakaś starsza pani dryfowała ze styropianową deską. Miała świetną figurę, fioletowe okulary do pływania i ruchy anemika. Oprócz niej otyła dziewczyna w nieokreślonym wieku w neonowym kostiumie z napisem „Rape me” poddawała swe obłe kształty masażom z bąbelków. Ewa wskoczyła do chłodnej wody i bez zatrzymywania przepłynęła kilka długości w tę i z powrotem.

Kiedy się wynurzyła, zobaczyła u krawędzi basenu gumowe klapki. Znała je – różowe palmy bahama i zbyt duże wycięcie na palce. Nienawidziła ich kiedyś. Z gracją wyskoczyła na brzeg.

– Skąd ty je bierzesz? – Zaśmiała się.

Ratownik spieszył się. Cofnął stopy. Podał jej ręcznik.

– Zaraz zamykamy – odparł.

Skinęła głową i zdjęła czepek. Włosy rozsypały się na plecach, tworząc pelerynę.

– Nadal ich nie ścinam, choć już dawno nie jestem w tobie zakochana – powiedziała bez uśmiechu. – Jak sprawy?

– Nie mogę ci jeszcze oddać – przeszedł od razu do rzeczy. – Sąd przyznał jej wyższe alimenty. Musiałem się znów zapożyczyć. Załatwiła mnie na cacy.

– Wiem – skinęła głową. – Ale jeśli coś dla mnie zrobisz, anuluję ci dług. A może i dopłacę.

Wpatrywał się w nią zaniepokojony.

– Nie bój się. Nic, czego byś nie potrafił. Chodzi o mały liścik. A potem się zobaczy.

Przecież nie namawiam cię do mokrej roboty. – Wybuchnęła śmiechem w momencie gdy dziewczyna z jacuzzi z wielki pluskiem wskoczyła do basenu.

\* \* \*

Trzeci dyżur z rzędu spędzała sama. Syn Adama dostał świnki. Nie widzieli się od tygodnia. Najpierw się martwiła, bo zamiast niego jeździła całą noc, od porodu po zejście narkotykowe, z zasadniczą Ireną, zwaną pieszczotliwie Milaczką. Irena nigdy za nią nie przepadała. Podobnie jak za pracę w pogotowiu.

– Podchodzisz zbyt emocjonalnie, Ewka. To nieprofesjonalne – rzuciła jej, kiedy dotarli na miejsce wypadku. Ewa nie mogła oderwać wzroku od martwego ciała młodego motocyklisty, którego nie zdołali uratować. Zmarł Irenie na rękach, mimo podanego tlenu i szybkiej akcji reanimacyjnej. Chwilę potem zamknęli go w czarny worek. Suwak zacinał się. Ewa wiedziała, że jego zmasakrowana twarz zostanie z nią na zawsze. Wtedy wybrała numer do ratownika i próbowała odwołać akcję z listem.

– Za późno, załatwiłem sprawę. – Rozłączył się.

Choć dyżur skończyła przed szóstą, nie mogła zmrużyć oka przez cały dzień. Tabletki nie zadziały, pod kolanami miała krwawe rany. Musiała się drapać nocami. Teraz, kiedy tylko przymykała oczy, śnił się jej ten czarny worek i ten wadliwy zamek. Nie była w stanie go dopiąć, a motocyklista się uśmiechał. Doszła jedynie do tego, że nie ma ani chwili do stracenia. Miała już trzydzieści trzy lata, własne mieszkanie, pracę, dwie specjalizacje i żadnego życia poza tym. Rodziców odwiedzała coraz rzadziej. Matka w kółko pytała, czy ma jakąś sympatię. Co miała jej powiedzieć? Wstała i zadzwoniła do domu. Odebrał ojciec. Zerknęła na zegarek, powinien być w pracy. Wykładał popołudniami na Politechnice.

– Cześć, tatusiu – mruknęła.

– Cześć, księżniczko! – huknął do niej basem i słyszała, jak woła z głębi mieszkania mamę. Chwila ciszy, bez słowa oddał jej słuchawkę. Tak to zawsze wyglądało.

– Stało się coś? – Mama była zaniepokojona. – Nie jesteś w pracy?

– Chcę ci coś powiedzieć – zaczęła, a może tylko pomyślała, bo mama zaraz zaczęła o jedzeniu, kuzynce, która była znów w ciąży i do niczego nie dojdzie, bo ma dopiero dwadzieścia trzy lata i trzecie dziecko w drodze oraz żyją w wynajętym mieszkaniu po babci. Wysłuchiwała tego wszystkiego i umówiła się, że przyjedzie na obiad. Matka bardzo się ucieszyła. Obiecała zrobić gołąbki. Z sosem pomidorowym, z prawdziwych działkowych pomidorów.

– Takie jak lubisz – dodała uradowana.

– Nie przyjadę sama – odparła Ewa. – Teraz nic nie powiem, niespodzianka. To będzie pewien mężczyzna.

W słuchawce rozległ się gwałtowny okrzyk radości. Mama dostała słowotoku, mówiła coś o obrusie, bluzce z kołnierzykiem i tatowej koszuli. A potem zamilkła. Bo i Ewa milczała.

– Wszedł już? – odgadła jej myśli Ewa.

– Ma spotkanie – odparła sucho matka. – Tak, służbowe.

– O tej godzinie? – dopytywała się Ewa. I zaatakowała: – Miała przecież wyjechać.

– Tak – przytaknęła matka. – Miała. Siedemnaście lat temu.

Milczały ze zrozumieniem, aż w końcu Ewa odłożyła słuchawkę.

Tego dnia wzięła wolne i poszła nad rzekę. Nie miała sił spotkać się z Adamem, chciała, by to on ją odnalazł. By trochę pocierpiał. Snuła się tam kilka godzin, aż zapadł zmierzch. W krzakach leżały zużyte prezerwatywy i kilka puszek po tanim piwie. Kiedy było już ciemno, niemal biegiem dotarła na przystanek. Zmartwiła się, że może dzwonił, kiedy jej nie było. Może zostawił wiadomość. Może się nagrał, choć nigdy tego nie robił. Uświadomiła sobie, że nigdy nie był u niej w domu, nigdy nawet nie spędzili razem całej nocy. Zrobiło się jej smutno. Ale była tak zmęczona, że momentalnie zasnęła. Nawet skóra pod kolanami nie swędziała, w każdym razie niczego nie pamiętała.

\* \* \*

List był krótki. Zawierał może trzy zdania. Wyklejka z gazety, kartka w kratkę wydarta z zeszytu. Informował Adama, że jego żona ma romans. Nie znała dokładnie jego treści. Ratownik miał sam ją wymyślić i podejrzewała, że była to bardzo uproszczona informacja. Ale tylko dlatego Adam zadzwonił. Tylko dlatego odważył się złamać swoje zasady, bo to on je ustalił: „żadnych kontaktów poza pracą, bez zobowiązań”. Choć się zgodziła, to nie były jej zasady. On je wyznawał i właśnie złamał. Dlatego ucieszyła się; również dlatego, że usłyszała jego głos.

– Czy wiesz... – wychrypiał. Czuła, że jest zdruzgotany. Z trudem składał zdania. – Ja nie wiem, jak ona mogła. Kiedy?

– Podejrzewasz kogoś? – zapytała.

– Podpisał się jako „Życzliwy”. Pewnie jakiś sąsiad, może ktoś ze znajomych. Zrobiłem jej awanturę. Kłamliwa suka.

– Przestań. Ludzie są podli – powiedziała ciepło. – Kochanie, za bardzo się przejmujesz.

– To nie o to chodzi. Ludzie o tym wiedzą, tylko ja jestem... jeleniem.

– A ona? Co ona na to?

– Wyparła się.

– Chcesz przyjechać? – zapytała. I powstrzymując drżenie w głosie, dodała: – Pogadać?

– Teraz nie mogę. Muszę zostać z małym. Ada pojechała do matki. Śmiertelnie obrażona, jak się domyślasz.

– Jakbyś chciał pogadać...

– Wiem, dobrze, że jesteś.

– Jestem.

Odłożył słuchawkę.

\* \* \*

Kiedy jednak następnego dnia znów nie pojawił się w pracy, poszła do kadr i zapytała, ile wziął zwolnienia. Nie mogła zadzwonić, więc milczała. On też się nie odzywał. Jedynie raz poprosił, czy – jeśli jest na dyżurze – nie podwiozłaby mu kilku koszul z pracy. Odkąd Ada się wyprowadziła, nie miał w czym chodzić. Zażartował



nawet, żeby przyjechała i zrobiła mu pranie. Odmówiła, twierdząc, że nie jest praczką, tylko lekarką. Jeśli szuka gospodyni, niech taką zatrudni.

– Szkoda – mruknął. – Lekarza mam już w domu, jeden wystarczy, ledwie z nim wytrzymuję. – Zaśmiał się, choć ona pozostała poważna. – Przydałaby się damska ręka, chyba będę musiał iść do Ady po łaskę – mruknął.

Chciała zapewnić, że przecież ma jeszcze ją, też jest kobietą, ale zamilkła w porę.

\* \* \*

Tęskniła tak bardzo, że zaczęła wachać jego fartuch, a raz użyła jego pieczętki jak własnej. Dobrze, że miała pracę. Kiedyś zarzekała się, że nigdy nie poświęciłaby jej dla związku. Nie chciała małżeństwa, dzieci, tego wszystkiego, co wiązało się z bliskością, uzależnieniem. Zresztą, choć skończyła kolejną specjalizację chirurga i czekał na nią etat w największym miejskim szpitalu, wciąż starała się nie wypaść z pogotowia. Lubiła tę adrenalinę. Umiała szybko podejmować decyzje, była mistrzynią diagnozy. Prawie nigdy nie myliła się w dawkach leków, co zdarzało się nawet ordynatorowi. Pielęgniarki ją lubiły, nie stwarzała problemów, nie piła, nie wzywała ich bez powodu. Dlatego kiedy w czwartek ostatecznie podjęła decyzję, poprosiła je o pomoc w zorganizowaniu czarnego worka na zwłoki. Bez zbędnych pytań skierowały ją do pielęgniarza, z którym wszystko dało się załatwić. Przekazał jej worek między jednym wyjazdem do pacjenta a drugim.

– Na co on pani? – zagaił, błyskając zębami. Zauważyła, że brakowało mu piątki z lewej strony.

– Koleżanka potrzebuje na suknię ślubną – odparła i ruszyła jak fryga do pracy.

Nad ranem dowiedziała się, że Adam już nie wróci. Złożył wypowiedzenie. Przenosi się do innego szpitala. Postanowił zadbać o rodzinę, tak w każdym razie plotkowały pielęgniarki. Ponoć przez pracę był prawie co drugi dzień na dyżurze, jego żona sobie kogoś przygruchała. Ale jej wybaczył, postanowił znów o nią zawalczyć, rozkochać w sobie. Ktoś ich widział na lodach z synkiem. Śliczniutka ta Ada, z nową ondulacją, tylko powinna przytyć. Taka chudzina, wiatr ją może przewrócić.

– Durna ja, całe życie myślałam, że skok w bok rozbija związek – skwitowała Irena. I zwróciła do Ewy: – Ucz się, dziecko. Puściła się, a on jeszcze bardziej ją kocha.

\* \* \*

Ratownik obiecał oddać pełną kwotę z odsetkami, całe osiem tysięcy, do przyszłej środy. Wiedziała, że ich nie ma. Po prostu bał się, że nie da rady. Nie tego, że go złapią. Jeszcze nie teraz. Był tchórzem, dlatego się rozstali. Kiedy jednak obiecała, że z nim pojedzie i pomoże załatwić sprawę, zgodził się. Od kolegi pożyczył terenowe auto. Ona wzięła worek. Był idealny. Zamek się nie zacinał. Mieli też pasek; brązowy, z prawdziwej wężowej skóry.

– Potem się go wyrzuci – wyjaśnił. I dodał, że nie wie, kto zostawił go kiedyś na basenie. – W każdym razie nie będzie go szkoda.

Zatankowała do pełna. Kupiła mu też zgrzewkę piwa, a sobie dwie paczki papierosów. Pojechali razem w piątek.

Matka Ewy zaczęła gotować kapustę na gołąbki. Zmusiła męża, by został na

weekend, bo córka przyjedzie z narzeczonym. Zgodził się. Jakoś się wytłumaczył kochance. Matka była zbyt szczęśliwa, by kruszyć o to kopie. Zresztą wiedziała, że przed Ewką, swoją małą księżniczką, zawsze grał świętego tatusia.

\* \* \*

Ada odebrała domofon po pierwszym dzwonku. Rozpoznała ją, choć przecież nigdy się nie widziały.

– Znów nie może pani wyjechać? – Zaśmiała się. – To dziwne, że zawsze panią zastawia.

I zaraz dodała, że męża nie ma. Pojechał samochodem do miasta. Musiało jej się coś pomylić. Była teraz zimna jak stal.

Ewa milczała. Sięgnęła do kieszeni, pasek leżał tam spokojnie, zwinięty w kłębek niczym wąż. Wreszcie powiedziała bardzo spokojnie:

– Wiem, że go nie ma. Musimy pomówić. To ważne.

– Teraz? – zapytała z grzeczności Ada.

– To zajmie tylko chwilę.

– Gotuję zupę. Może za dziesięć minut?

Ewa miała już dosyć tej gry. Wyjęła zapalniczkę i włożyła do ust papierosa. Nie dla zajęcia rąk; musiała się skupić. Skóra pod kolanami zagoiła się zupełnie, nic jej nie swędziało. Czuła, jak pulsują jej skronie. Znów zastrzyk adrenaliny, jak w pracy, na zdarzeniu, kiedy musiała kolejny raz ratować komuś życie. Szybkie decyzje, policzalny świat. Liczyła się tylko chemia i matematyka. Emocje wyłączone. Nie przeszkadzały. Tylko wtedy nie swędziało. I tak było właśnie teraz.

– Mamy romans – mruknęła. – Od ponad roku. Chyba nie sądzisz, że przesiadywał tyle czasu w pracy.

Ada krzyknęła do matki, że za chwilę wraca. Narzuciła na plecy zieloną parkę.

\* \* \*

Ciało Ady ukryli w krzakach. Ewa sprawnie rozplątała pasek z szyi martwej kobiety. Ondulacja wciąż była idealna. Potem kazała wjechać ratownikowi dokładnie w miejsce schadzek, które ze wszystkich stron osłaniały chaszczce. Dziś nie było tam żadnej prezerwatywy, bezdomni musieli też wybierać puszki. Z tego miejsca widok na rzekę zachwycał. Przykryli trupa gałęziami. Ada spała tam prawie rok. W tym czasie uchodziła za osobą zaginioną i poszukiwaną, a Adam formalnie wciąż był żonaty. Rodzice Ewy nigdy nie ugościli go na obiedzie.

\* \* \*

Gotowała sos pomidorowy do gołąbków, kiedy usłyszała szmer. Obejrzała się zaniepokojona. Synek Adama podszedł do niej i pokazał rysunek. Był na nim mężczyzna, dwie kobiety (ciemna i blondynka) oraz dziecko. Wszyscy trzymali się za ręce. Uśmiechnęła się, poprawiła fartuch. Wytarła ręce w ścierkę.

– To ja? – Wskazała napis „mama”. Chłopiec pokręcił głową. Wskazał drugą kobietę. Napisał koślawymi literami: „jego koleżanka”.

– To ty. Ale zanim wróci mama, możesz tutaj mieszkać – odparł rezolutnie. Zamrugnęła powiekami i pochyliła się, by go ucałować. Wybiegł z kuchni, zanim dotknęła ustami jego czoła.

Może dlatego sięgnęła po telefon. Minęło jedenaście miesięcy, a Ady nadal szukano bez skutku. Wiedziała, że nie będą mogli stwierdzić przyczyny zgonu. Nawet w tak doskonałym worku ciało musiało rozłożyć się dokumentnie. Sądziła, że nic jej udowodnią, a nie było czasu do stracenia. Wkrótce kończyła trzydzieści cztery lata i wciąż była panną.

– Jest sprawa. – Zadzwoiła do dyżurki miejskiego basenu. – Potrzebują małej wypowiedzi. Dalej sobie poradzą.

– Nie – odparł. – Jesteśmy kwita.

– Wisisz mi jeszcze odsetki – powiedziała bardzo spokojnie. – Nie rozumiesz. Chcę zjeść gołąbki z rodziną.

\* \* \*

Jeden z jamników Ewy – Kali, zeszkakiwał z czegoś, dysk mu wypadł i był sparaliżowany. Próbowali go leczyć różnymi sposobami, między innymi nagrzewać lampą w podczerwieni, na zmianę z zimnymi kompresami. Była wtedy w szkole średniej. Tak bardzo chciała mu pomóc, że zamiast naświetlać go z półmetrowej odległości, przystawiła lampę na dziesięć centymetrów. Spaliła mu całą skórę, odchodziła płatami, aż na wierzchu zaczęły sterczeć kości kręgosłupa. Myślała, że robi dobrze – przecież nie wyrywał się, nie piszczał, nie skomlał. Lekarz powiedział, że nic nie czuł. W niej wina została do dziś.

– To była najgorsza rzecz, jaką w życiu uczyniłam – powiedziała śledczym, kiedy ją zatrzymywali.

*Opowiadanie jest inspirowane prawdziwą historią opisaną szerzej w książce Polskie morderczynie Katarzyny Bondy (MUZA, 2013). Wszelkie dane personalne zostały zmienione. Wszelkie fakty, detale oraz motywacje są prawdziwe.*

# Adrianna Michalewska

## TRUP NA CMENTARZU

Mała kaplica pogrzebowa cmentarza komunalnego nie robiła dobrego wrażenia. Witraże w drzwiach wejściowych były wybite i ktoś zapobiegliwy zastąpił je matowymi szybkami. Dwa z lewej strony, o rozmiarach kilku centymetrów na kilkanaście, zwyczajnie zasłonięto kawałkami płyty pilśniowej. Ciemna posadzka z granitu pamiętała jeszcze czasy cesarza Wilhelma II. Zimna i brudna jak cesarskie intencje mroziła stopy ludzi, którzy zgromadzili się w kaplicy, aby pożegnać Piotra Andrzeja Potulnego, magistra inżyniera geologa z Powiatowego Biura Badań Terenowych.

Niewielka budowla znajdowała się na sporym wzniesieniu w centrum Wałbrzycha. Przy bramie, za którą rozpoczynała się brukowana ścieżka prowadząca do kaplicy, po lewej stronie była dawna willa, obecnie IV Komisariat Policji. Na nieco zapuszczonej posesji stały dwa radiowozy i kamienne ławeczki w stylu nieokreślonym, lekko zabrudzone pleśnią i mchem. Całość wyglądała, można rzec: romantycznie, jeżeli ktoś lubi chłodne dni, nisko wiszące chmury i stare budynki. Moim zdaniem otoczenie było przygnębiające. Od cmentarza siedzibę komisariatu oddzielał kamienny mur, za którym, lekko ocieniona starymi kasztanowcami, wznosiła się cmentarna kaplica.

Zmarły spoczywał dostojnie w małej urnie ustawionej na niewielkim ciemnym postumencie pośrodku sali. Jeżeli można tak powiedzieć o prochach, czyli tym, co pozostało po kremacji zwłok. Ten widok wywołał u zaproszonych gości niepokój i, nie ma co ukrywać, wątpliwości. No bo jak tu pożegnać zmarłego, gdy nie ma on ani ręki, ani nogi, ani ciała w ogóle? Gdzie przyklęknąć, przed kim pochylić głowę? Nic. Granitowa puszka na proch i koniec. A kwiaty gdzie składać? Przed, z boku, od góry nakrywać nimi urnę? Zupełnie nie wiadomo, co robić.

Magister inżynier Potulny zmarł nieoczekiwanie przed tygodniem. Pozostawił po sobie małżonkę Annę i syna Jakuba. Anna siedziała w pierwszym rzędzie zgromadzonych żałobników, odziana w czarną suknię przykrytą z wierzchu niedługim futerkiem z karakułów. Na świeżo zaondulowanych lokach miała czapeczkę nieokreślonego koloru. Lekko podpuchnięte oczy wskazywały na to, że Anna przepłakała kilka ostatnich nocy, co zważywszy na okoliczności, wydawało się zrozumiałe. Nigdzie jednak nie było widać Jakuba.

Przed kaplicą, poniżej schodków prowadzących do jej wnętrza, zgromadzili się goście.

– Kuba nie przyjdzie? – Grubawy trzydziestolatek nerwowo przebierał nogami. – Cholera, ale bym zapalił.

– Ani się waż. – Jego starszy brat, równie okrągły, tęsknie spojrział w kierunku alejki, z której spodziewali się przybycia księdza. – Co ty myślisz, że ja sam bym się nie sztachnął? Ale ciotka by nas oskubała, jakby zobaczyła.

– Pójdę za bramkę i za trzy minuty będę z powrotem.

– Jasne. A w tym czasie przyjdzie proboszcz i co? Stój na dupie, jak ci dobrze.

– Chyba siedź na dupie...

– Nie mędrkuj, tylko stój.

– A Kuba gdzie? W Jukej? – Młodszy nie dawał za wygraną. Skoro już poproszono go o transport urny w ten lodowaty dzień, miał chyba prawo wiedzieć, dlaczego Kuba Potulny, rodzony syn zmarłego, a jego brat cioteczny, nie pojawił się na pogrzebie. Chyba on powinien trzymać urnę. Skoro to jego ojciec miał być pogrzebany, to wypadałoby, żeby przynajmniej uczestniczył w tym wydarzeniu. – Nie puścili go ze zmywaka?

– Idioto. Kubas jest informatykiem. Kasę trzepie. Po księdza pojechał. Dotarło? – Nawet o ton nie podniósł głosu i nie zmienił kamiennego wyrazu twarzy. Starszy brat Łopacki był spokojny jak bryła lodu i nie zamierzał ekscytować się tym, że jego mądraliński kuzyn pojechał na Wyspy zarabiać i realizować się zawodowo. Tylko taki baran jak Dareczek Łopacki mógł się tym podniecać.

Zimno było jak na Syberii, więc potupali butami o zlodowaciałą kostkę, czekając na księdza, który jak nie przyjeżdżał, tak nie przyjeżdżał.

Bracia Łopaccy od zawsze żyli przyćmieni urokiem i wdziękiem osobistym swego kuzyna. Jakub uczył się dobrze, Jakub dostał się na studia, Jakub mówił płynnie dwoma obcymi językami i wreszcie: Jakub dostał pracę za granicą. Janusz i Dariusz, zwany Dareczkiem, z bólem pokończyli szkoły, z języków obcych znali jedynie kilka nieparlamentarnych zwrotów po angielsku, a pracy szukali, ze zmiennym szczęściem, na lokalnym gruncie. Starszy z braci od sześciu lat pomagał w prowadzeniu małej hurtowni budowlanej i utrzymywał żonę, zaś młodszy jeździł na tirach. Nie dziwi zatem, że Potulni byli dumni z syna, podczas gdy siostra Potulnego, Ilona Łopacka, po cichu oskarżała męża o kiepskie geny, z powodu których jej synowie nie zrobili kariery.

Chłopcy przez lata regularnie spotykali się na wakacjach i przy okazji różnych rodzinnych uroczystości, zachowując stosowne relacje, czyli bracia Łopaccy uczciwie i bez wstydu tłukli Jakubka cichaczem, a ten milczał dyplomatycznie, świadom tego, że w razie przedwczesnej skargi czeka go jeszcze większy łomot. Obiecywał sobie jednak zemstę.

– No i, kurna, nie ma Kubasa. – Dareczek odruchowo sięgnął do kieszeni po papierosa.

– Przecież po księdza pojechał. Cholera, nie truj. Coś ty taki nerwowy?

– Bo mi się chce palić.

– To szybko, idź. Jak zobaczysz, że idą, to wracaj, bo nam matka łby pourywa.

Młody Łopacki nie czekał na specjalne zaproszenie i pognął za bramę wjazdową, gdzie zanurzył się w gołe krzaki.

Po kilku minutach, ciągnących się jak wieki, na końcu alejki prowadzącej do podwyższenia, na którym stała kaplica cmentarna, pojawił się ciemny samochód. Pisk opon obwieścił koniec jazdy i po chwili w bramie stanęli ksiądz i wyczekiwany Jakub Potulny. Obaj byli w ciemnych płaszczach i mieli jednakowo nażelowane fryzury. Z daleka wyglądali jak bracia, choć Potulny nie miał sutanny. Na twarzy pierwszego widniało zawodowe współczucie, na twarzy drugiego zakłopotanie. Zbliżali się jak fatum do szczątków Piotra Andrzeja Potulnego.

Nieoczekiwanie tuż za nimi pojawiły się dwie kobiety: jedna starsza, druga w nieokreślonym wieku (równie dobrze mogła mieć trzydzieści jak sześćdziesiąt lat). Staruszka dziarsko stąpała w kierunku kaplicy, mocno wspierając się na drewnianej lasce. Gdy zrównała się z mijanymi mężczyznami, stanęła, spojrzała w osłupieniu na księdza i głośno zwróciła się do młodszej towarzyszki:

– Janka, co to ma być? Zamawiałam księdza proboszcza.

– No co też... Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. – Zakłopotana Janka skłoniła z szacunkiem głowę. Ksiądz patrzył zdezorientowany to na wystraszoną Jankę, to na niezadowoloną staruszkę, po czym niepewnie odparł:

– Na wieki wieków...

– Miał być ksiądz proboszcz. Dobrze pamiętam. Piotruś jest moim chrześniakiem i nigdy bym nie pozwoliła, aby chował go ktoś niższej rangi. Nie w mojej rodzinie – oznajmiła z mocą starsza pani.

– Był... – Kuba Potulny postanowił wtrącić słowo.

– A ciebie kto się pyta? – Matka chrzestna zrobiła krok do przodu i oparła laskę na bucie Janusza. Ten syknął z bólu, co nie zrobiło na kobiecie wrażenia.

– Może jednak pójdziemy. – Duchowny poczuł nagle, że robi mu się zimno. Dzień był w końcu chłodny.

– Bez proboszcza się nie ruszę. – Staruszka mocniej wsparła się na lasce.

– Auuu! – Janusz zawył i spróbował wyszarpnąć przygwożdżoną do ziemi stopę, ale nadaremnie.

– Ciociu, ciocia da spokój. – Kuba postanowił zabrać głos. – Ksiądz proboszcz chory może, a babcia takie rzeczy.

Na poparcie tych słów ksiądz energicznie pokiwał głową. Może nieco zbyt energicznie jak na potwierdzenie prawdy.

– Skoro akurat tak wypadło... – Nestorka rodu niechętnie cofnęła narzędzie udreki z nogi Janusza i spojrzała łaskawiej na zakłopotanego i lekko wystraszonego duchownego. – Eufemia Potulna jestem. Kazimiera Eufemia Potulna, mecenasowa.

– Bóg zapłać. – Ksiądz był coraz bardziej zagubiony i z tęsknotą spoglądał w kierunku kaplicy, w której zaczęli się już gromadzić żałobnicy.

Jakub stanowczo ujął księdza pod ramię i obaj skierowali się ku schodom. Nie uszli jednak więcej niż kilka kroków, gdy ogłuszający huk spłoszył wrony siedzące na ogołoconym z liści kasztanowcu. Ptaki zerwały się z krzykiem i przez chwilę krążyły na tle bladego nieba. Po chwili zrobiło się upiornie cicho.

Przepychając się i pokrzykując, zgromadzeni bliscy oraz znajomi zmarłego wylegli z ponurej, zimnej kapliczki – i stanęli, jak postacie zatrzymane w stop-klatce. Patrzyli pytająco, z niedowierzaniem, wreszcie ze zgrozą. Zimne powietrze zgęstniało i zrobiło się tak mroźne, że drobiny lodu były prawie widoczne, zanim wraz z tlenem zniknęły w ustach żałobników.

U podnóża małych kamiennych schodków, które jakiś fachowiec obmurował zaprawą, teraz spękaną i obsypującą się, leżał Jakub. Nad nim pochylał się ksiądz. W upiornej scenerii, cicho i bez niepotrzebnych słów, ranny zamknął oczy i umarł. Od strony alejki biegł ku nim Dareczek, nerwowo upychając po kieszeniach papierosy i zapalki.

– O matko!... – krzyknęła Janka i spojrzał bezradnie na Łopackiego. – O matko –

powtórzyła, jakby chciała się upewnić, że wciąż potrafi mówić. Lodowate cmentarne powietrze zastygło. Oczy Janiny uciekły gdzieś w górę i osunęła się bezradnie na ziemię. Eufemia spojrzała na nią ze zdumieniem i zawołała:

– Niech ktoś się ruszy! Tu potrzeba policji. Nie widać, że go zabili?

Ta prosta konkluzja pobudziła do działania Janusza, który natychmiast zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Zderzył się z nadbiegającym bratem i pokazując ręką na bramę oraz na rozciągającą się za nią alejkę wjazdową, dawał do zrozumienia, że zabójca strzelił właśnie stamtąd. Zresztą od bramy już biegło w ich stronę dwóch mężczyzn w mundurach. Niewzywani, spełnili życzenie matki chrzestnej Eufemii.

Ciemne chmury wystawały zza nagich gałęzi kasztanowca. Wrony zamilkły i przypatrywały się zgromadzonym, od czasu do czasu srając na żałobników i nowe zwłoki.

\* \* \*

– A więc co się wydarzyło pod kaplicą? – Śledczy Adam Jarski z trudem panował nad ziewaniem. Przesłuchiwał już dwunastą godzinę i niewiele zyskał. Nikt nic nie wiedział.

– Stałem z bratem na zewnątrz. Mogę zapalić? – Dareczek nie mógł już tego znieść. Był zmęczony i strasznie potrzebował nikotyny.

– Nie.

Dariusz westchnął i posłusznie kontynuował:

– Stałem i czekałem. Chciało mi się palić, a księdza wciąż nie było. W końcu przyszedł. Kuba, czyli syn wujka Piotra, go przywiózł. Z daleka to ja nawet nie wiedziałem, kto jest kim?

– Co ma pan na myśli?

– Kubas taki wystrojony przyjechał. Czarny płaszczyk do ziemi, a ksiądz w sutannie i też jakimś płaszczu, czy kurtce. Szli tak we dwóch, jak zjawiała się ciotka Eufemia. Gadała i gadała. Ksiądz jej się nie podobał. Proboszcza zamawiała.

– Proboszcza?

– Tak, chciała proboszcza, a przyjechał taki młody. I ciotka się wściekła. A potem ktoś strzelił. Zza płotu. Ale tak bardziej od drugiej strony, od tego parkingu. – Pytany niespokojnie poklepał się po kieszeni, jakby chciał się upewnić, że ma w niej papierosy.

– Skąd pan wie?

– No bo jak leciałem do nich, to wtedy Kubas już leżał, a strzelali od mojej strony.

– Przecież stał pan z nimi w alejce. – Jarski zatrzymał wzrok na Dareczku, który momentalnie się spocił. – To gdzie pan stał?

– Dobra – skapitulował. – Poleciałem za bramę, w krzaki zajarać. Ale tam z boku nic nie widać, więc pomyślałem sobie, że od razu... no ten... sikać mi się zachciało. Jak zapinałem spodnie, to znowu wyjąłem fajki i wtedy huknęło.

– Czyli w chwili strzelaniny pan był poza cmentarzem?

– Tak jakby, byłem w krzakach...

– Kto to może potwierdzić?

– Co potwierdzić? – Dareczek wyraźnie się zirytował. – Jak człowiek leje, to mu świadkowie nie są potrzebni.

Jarski był zmęczony. Przesłuchiwany nie potrafił mu pomóc. Nie wiedział niczego o wrogach ofiary. Mama braci Łopackich też nie miała nic do dodania. Nie dalej jak godzinę temu tylko chlipała, siedząc na tym samym miejscu co teraz jej syn. Ten jednak był bardzo rozdrażniony. Widać odstawienie papierosów dawało mu się mocno we znaki.

– Niech pan podpisze. – Podsunął Łopackiemu protokół i dodał: – Gdyby cokolwiek pan sobie przypomniał...

– Powiem, powiem. – Kiwając energicznie głową, Dareczek zerwał się z plastikowego krzeselka. Wetknął papierosa w usta i szybko udał się do drzwi. Trzaśnięciu towarzyszył szcęk uruchamianej zapalniczki.

Jarski wstał i podszedł do automatu z kawą. Po chwili do pokoju zawitał komisarz Marek Mądry, bardziej doświadczony w łapaniu zabójców. Kilka lat spędził w Chicago; „wałbrzyski Borewicz”, jak za jego plecami szydzili koledzy.

Podsumował osiągnięcia, patrząc w raport. Mieli tyle, co nic. Na pogrzebie Andrzeja Piotra Potulnego doszło do morderstwa. Zabójca strzelał z okolic bramy wjazdowej na cmentarz. Przeszukano teren. Broń nietypowa, pocisk w laboratorium. Zginął syn zmarłego. W uroczystości uczestniczyli: żona zmarłego (podczas zabójstwa była w kaplicy), ksiądz (na schodach), siostra zmarłego (w kaplicy), jej synowie Janusz i Dariusz (przed kaplicą). Ci akurat nie mogli strzelać. Były jeszcze krewna zmarłego Eufemia Potulna i jej córka Janina, niezamężna. Też znajdowały się na terenie cmentarza w miejscu uniemożliwiającym oddanie strzału.

– Wszyscy przesłuchani? – Mądry zapatrzył się w okno, za którym wyraźnie było widać drogę od bramy cmentarnej do kaplicy.

– Została ta Janina. Musiała odwieźć matkę, która za bardzo się wzruszyła. Obiecała, że szybko wróci.

– Gdyby tak mieli tu monitoring...

– Gdyby. A mamy tylko jedną kamerkę skierowaną na kaplicę. Nic nie ujęła. Nawet nie widać, jak denat dostał. Kompletna kłapa wywiadowcza. – Jarski siorbnął kawy i zadumał się.

Nie miał w swojej karierze zbyt wielu wykrytych zabójstw; niewykrytych zresztą też. Po prostu tutaj – na terenie, który obejmowała jego komenda – ludzie się nie zabijali. Kradli, awanturowali się, czasem obijali sobie gęby, ale trupów nie było. No, może kilka, od czasu do czasu jakiś idiota za bardzo machnął nożem przy kłótni o butelkę siwuchy. Ale strzały z za krzaka? To zupełna nowość. I na dodatek zero świadków. Zimny dzień nie zachęcał do spacerów, zwłaszcza po cmentarzu. Zresztą taka zasada, że jak odbywa się pogrzeb, to ludzie się nie kręcą. Każdy woli odczekać.

Nawet w szkole muzycznej po drugiej stronie ulicy nie było dzisiaj zajęć. Jakaś masakra – ze złością popchnął kubek na środek biurka. Resztką kawy chlupnęła i otoczyła naczynie burą kałużą. Jedna plama więcej na starym blacie. Żadnych inspiracji, nic.

– Jest już ta Janina Potulna – dyżurny zameldował przez interkom. Przynajmniej to ciągle działało.

– Idę po nią. – Śledczy wstał powoli i ruszył w kierunku dyżurki.



Marek nie zareagował. Wiedział, że może zostać. Adam czasami pozwalał mu uczestniczyć w przesłuchaniach. Rewanżował się tym samym. Zawsze to jakieś doświadczenie.

Kobieta, którą komisarz Adam Jarski wprowadził do pokoju przesłuchań, sprawiała wrażenie zagubionej i bardzo zmęczonej. Szary płaszcz, podobny beret i lekko podniszczone kozaki na płaskiej podeszwie nie dodawały jej uroku. Brak makijażu postarzał. Jednak w jej twarzy było coś takiego, co sprawiało, że robiła wrażenie osoby zdecydowanej, zarówno w poglądach, jak i w działaniu. Nieproszona usiadła na plastikowym krzeselku i odłożyła na bok torebkę. Mądry przez chwilę przyglądał się skórzanej, eleganckiej walizeczce, rozszerzanej ku dołowi. „Bardzo praktyczna” – pomyślał.

– Janina Potulna, urodzona w Suwałkach, dnia dwunastego marca 1954 roku – Jarski odczytał dane z dowodu osobistego.

– Stan cywilny?

– Wolny.

– Związek z zastrzelonym Jakubem?

– Jaki związek? – Zszokowane spojrzenie przesłuchiwanej podkreśliło niestosowność zadanego pytania.

– Czy znała pani ofiarę? – poprawił się szybko.

– Trochę, był młodszy, wyjechał za granicę...

– Jak długo przebywała pani na cmentarzu, zanim padł strzał?

– Może dziesięć minut. Przyszłam z mamą, porozmawialiśmy chwilę z księdzem i już miałyśmy wejść do kaplicy, gdy od strony bramy ktoś strzelił. Jakub został postrzelony w tył głowy i upadł. Ksiądz pochylił się nad nim, ale Kuba już nie żył. To straszne nieszczęście. – Spuściła wzrok i ukryła dłonie pod blatem stołu.

– Rzeczywiście... – Jarski zamyślił się przez chwilę. – Dosyć dokładnie pani wszystko zapamiętała.

– Jestem z natury bardzo poukładana. – Poderwała wzrok.

– Co jeszcze pani zauważyła?

– Nic, to już wszystko.

– Z której strony padł strzał?

– Jak mówiłam, od strony bramy. – Oddech Janiny był urywany. Na policzki wystąpiły czerwone plamy.

– Był tam ktoś?

– Nikogo nie zauważyłam.

– Dobrze, bardzo dziękuję za zeznania. Zaraz panią odprowadzę do dyżurki. Proszę tymczasowo nie opuszczać miasta. A gdyby pani sobie cokolwiek przypomniała..

– Zadzwoń. – Podniosła się szybko, uderzając kolanami w blat.

– Oczywiście. – Jarski podszedł do kobiety i podał jej torebkę. Wzięła ją bez zastanowienia i skinąwszy głową Mądremu – zapatrzonemu w okno – wyszła z pokoju.

– Zamknij ją. – Komisarz Mądry odwrócił się od okna i spojrzał na protokół przesłuchania. Leżał na wierzchu, przykrywając segregator zawierający pozostałe zeznania. – Prewencyjnie. Kłamie. I chyba – zamyślił się – coś w niej jest nie tak...

– Ta torebka.

– Torebka? – Marek spojrział ze zdumieniem na Adama.

– Zobacz, cała ubrana na szaro, taka nijaka, nudna do bólu. Stara panna z pretensjami. A tu taka torebka. Skóra, elegancja. W dodatku pusta. Wiem, bo podniosłem. Moja Anka ma dużą torebkę, bo nosi w niej pół domu. Ta tutaj była prawie pusta. Po co komu pusta torebka wielkości worka na kartofle? A widziałeś, nowa. Stara panna w szarym płaszczu z elegancką torebką.

– Ale po co miałyby zabijać kuzyna?

– Tego nie wiemy. Jeszcze...

Za oknem zaczęło padać. Drobny, zimny deszcz lekko zacinał o brudne szyby komisariatu, tworząc na ich powierzchni zacieki. Kilka wron obsiadło drzewo stojące przy murku i gapiło się na śmietnik, licząc na jakieś ukryte w nim smakołyki.

\* \* \*

Drzwi plebanii na Piaskowej Górze, w robotniczej dzielnicy Wałbrzycha, były zamknięte na głucho. Przerobione ze starej stodoły pomieszczenie nie wyglądało bogato. Wręcz przeciwnie – skromnie, jakby tu myślano wyłącznie o Słowie Bożym. Żadnych zbędnych ozdób, tylko skrzynki na kwiaty, teraz puste, bez widocznych zaniedbań w postaci suchych badyli. Czysto, schludnie i bardzo oszczędnie. Zamiecionego, częściowo wybrukowanego podwórza nie zdobiła żadna ławka ani roślina. Jedno wysokie drzewo, zza płotu od strony kościoła, rzucało cień na budynek.

Komisarz Jarski ponownie nacisnął dzwonek i wreszcie z oddali dało się słyszeć odgłos kroków. Po chwili w drzwiach stanął, podpierając się laską, starszy ksiądz.

– Szczęść Boże! – zawołał dosyć gromko. – Panowie do mnie? Nie ma gosposi, nie ma kościelnego, nie ma nikogo. Ja jestem.

– Szczęść Boże. – Marek pierwszy wszedł do przedpokoju. Wewnątrz plebania wyglądała jeszcze skromniej niż z zewnątrz. Stare linoleum pokrywające podłogę było jednak czyste i zadbane. W budynku panował chłód. – Ksiądz proboszcz, prawda?

– Proboszcz, proboszcz. – Staruszek uśmiechnął się życzliwie. – Nie kto inny jak stary, kulawy proboszcz bez widoków na biskupi kapelusz.

– My w sprawie strzałów na cmentarzu i zabójstwa Jakuba Potulnego. Komisarz Jarski i komisarz Mądry.

– A tak, paskudna sprawa. Tadziu, ksiądz wikary, dopiero co tu przyjechał. Pół roku nie minęło i taka sprawa. Bardzo to przeżywa. Porządny jest, za mamoną nie biega. Dzisiaj to wiadomo, gazety pewnie policja czyta, to wie, co to się porobiło.

– Chcielibyśmy zapytać o kilka spraw związanych z tym pogrzebem.

– Siądźmy sobie w kuchni. Tam najcieplej. Herbatkę zrobię. – Ksiądz zakrzętała się przy kuchence. Szklanki w wiklinowych koszyczkach szybko pojawiły się na stole obok szklanej cukiernicy. Jak na człowieka poruszającego się o kuli, w kuchni radził sobie dobrze. Widać było, że nie nawykł do obsługi.

– A ksiądz wikary na plebanii?

– Pojechał do kurii. Też go przesłuchują...

– Kto był poproszony o egzekwie Piotra Potulnego?

– Pani Potulna prosiła o Tadzia, czyli o księdza Tadeusza. To zrozumiałe. Ja nie wyglądam zbyt reprezentacyjnie.

– Na pewno? Księżę proboszczu, to bardzo ważne. Pani Potulna zapewnia, że na ceremonii miał być ksiądz proboszcz. Nawet rodzina to słyszała.

– Nie, dobrze pamiętam. Zdziwiło mnie to nieco, bo Piotruś Potulny jeszcze u mnie do pierwszej komunii stawał. No ale skoro sobie tak zażyczyli...

– A kto zabierał księdza Tadeusza na cmentarz?

– Kubuś, syna Piotra. Taki zawsze cichy... To chyba nie było szczęśliwe dziecko. Policjant spojrział na księdza pytająco.

– Widzisz, synu, chłopcy biegają, krzyczą, figle płatają. Jabłka kradną, mysz podrzuca. A Kubuś nic. Taki jakby zastraszone się wydawał, aż dziw brał. Kilka razy z nim rozmawiałem, ale nic z tych rzeczy, nikt mu krzywdy nie robił. On prostu nadmiernie ambitny był. Choć miły.

Adam dopił herbatę i wstał. W drodze do drzwi zapytał jeszcze:

– A pani Eufemia to telefonicznie zamawiała wizytę księdza na cmentarzu?

– Nie. – Staruszek szeroko otworzył drzwi. Lodowate powietrze przeszło ich do szpiku kości. – Była osobiście. I nie Eufemia, tylko Janka. Jej córka.

\* \* \*

Adam Jarski nie lubił schabowych. Wolał pierogi. Najlepiej takie ze skwarkami, z dowolnym nadzieniem. Schabowy go denerwował. Musiał kroić mięso, które często było za twarde albo zbyt suche. Do tego żona zawsze podawała mu kotlety z ziemniakami i buraczkami, które tworzyły na powierzchni talerza czerwone plamy. Buraczki barwiły mięso, co też nie wyglądało dobrze. Dlatego siedział teraz nad talerzem i kroił schabowego z wyraźnym niezadowoleniem. Już miał powiedzieć coś na ten temat, gdy Anka Jarska nagle zaczęła mówić:

– A wiesz, Adasiu, że ta Marysia Kozłowska, córka tych spod dwójki, co to wyjechała na stypendium do Ameryki, w straszne kłopoty się wpakowała.

– Co ty powiesz? – Jarski uprzejmie kiwnął głową i wrócił do żucia mięsa.

– Już ci mówię. – Anka uznała, że mąż pragnie poznać całą historię ze szczegółami, zatem rozsiadła się wygodnie na kuchennym taborecie i rozpoczęła opowieść. Adam ledwie rejestrował jej relację. Marysia pojechała na stypendium i dobrze sobie radziła. Szybko dostała pracę i zarabiała dużo. Ta Kozłowska zawsze była z niej dumna. Aż tu nagle taka historia. Mało dziewczyny nie zabili. Tak jej ta emigracja nie posłużyła. Podobno amerykańska policja objęła programem ochrony świadków. Kozłowska nie chce mówić wszystkiego. Tyle co w warzywniaku powtarzała...

Adam patrzył na żonę jak zahipnotyzowany. Nadgryziony kotlet leżał na talerzu. Nagle wstał, ucałował żonę i ruszył do przedpokoju. Założył kurtkę i wyszedł. Zanim zatrzasnął drzwi, wyjął z kieszeni telefon.

– Co ja z nim mam. – Anka westchnęła i sięgnęła po talerz męża. Buraczki zrobiły na nim wielką, czerwoną plamę.

\* \* \*

Anna Potulna otworzyła drzwi swojego niewielkiego domu na wzgórzu. Jako jeden z kilkunastu podobnych powstał w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia i wymagał poważniejszego remontu. Kobieta miała zaczerwienione oczy. Widać było, że dużo ostatnio płakała. Śmierć męża i syna musiały nią potężnie wstrząsnąć.

– Pan komisarz – westchnęła. – Proszę.

Jarski wszedł do przedpokoju. W mieszkaniu czuć było lekko stęchlizną. Drewniana boazeria na ścianie nie pasowała do nowoczesnych, niedawno osadzonych drzwi prowadzących do pokoju.

– Byliśmy w trakcie remontu, kiedy mąż umarł. Zostałam z tym sama – wytłumaczyła się z bałaganu w domu. – Podać panu kawę?

– Nie, dziękuję. – Jarski szybko przeszedł za gospodynią do salonu. Pomieszczenie umeblowano w stylu kolonialnym. Ciężkie meble nie pasowały do kwiecistej tapety na ścianach.

– Czy pani syn mógł mieć jakieś zatargi z mafią?

– Chyba nie. Jakub skończył szkoły w Anglii i normalnie tam pracował. Nawet żony jeszcze nie miał. Taki był zajęty. Płaszcz i garnitur kupiliśmy ledwie trzy dni temu, bo nie miałyby w czym na pogrzeb ojca pójść. Jak on ładnie w tym wyglądał. Jak nie on.

– Jest pani pewna, że w dniu śmierci pani syn wyglądał inaczej?

– Inaczej nie. Raczej elegancko. Dumna z niego byłam. A teraz zostałam sama. Panie władzo, co teraz? Sama w tym domu. Gdyby nie szwagierka i jej chłopcy, to bym chyba oszalała... – Oczy kobiety były pełne łez. Nawet nie szukała chusteczki, tylko otarła je brzegiem rękawa.

– To bardzo dziwne. – Jarski wpatrywał się uporczywie we wdowę, jakby jakaś myśl nie dawała mu spokoju. Po chwili pożegnali się i wyszedł, mijając w drzwiach Ilonę Łopacką z siatką pełną jarzyn.

– Rosół będzie – powiedziała spokojnie.

Adam uklonił się i ruszył w stronę samochodu zaparkowanego przy ulicy.

\* \* \*

Eufemia Potulna siedziała w wielkim pluszowym fotelu i patrzyła karcącym wzrokiem na Adama. Małe trzypokojowe mieszkanie na Piaskowej Górze urządzone zostało ze smakiem. Nad fotelem, na kremowo pomalowanej ścianie wisiał obraz. Pan Jezus na krzyżu w stylu El Greco. Adam starał się go omijać wzrokiem.

– To o co w końcu chodzi? – Eufemia wwierciła wzrok w komisarza i zastygła, oczekując na odpowiedź.

– Czy pani córka, Janka, dużo podróżuje?

– Janka? Janka nigdzie nie podróżuje. Siedzi ze mną. Nie wyjeżdżała ostatnio z Polski. Towarzyszyła mi jedynie w pielgrzymce do Lichenia. Ale to w Polsce, może Pan był?

– Niestety. I zawsze tak było?

– A skąd ja mam wiedzieć?

– Jak to? Córka chyba nie ukrywała przed panią, co robi?

Eufemia Potulna nagle jakby zapadła się w sobie. Westchnęła ciężko i oparła dłoń na poręczu fotela.

– Janka nie jest moją córką. Kiedy zaczęłam chorować i zrobiłam się po prostu stara, rodzina wynalazła mi opiekunkę. Janeczka mieszkała w Łomży, ale jej rodzice pochodzili z Ukrainy, ona nie była z polskiej rodziny.

– Proszę mówić – zachęcił Jarski, czując, że wszystkie kawałki układanki zaczynają do siebie pasować.

Historia była złożona. Janina Potulna miała ponad trzydzieści lat, gdy przyjechała do Wałbrzycha.

– Nikt tak o mnie nie dbał jak ona. – zapewniała Eufemia. – Aby oszczędzić jej kłopotów z wizą, adoptowałam ją. Widzi pan, ja nie miałam dzieci. Wszystko, co mam, zapisałam Piotrowi, mojemu chrześniakowi. Potem pojawiła się Janka i czasami nawet myślałam, żeby zapisać jej mieszkanie w spadku. Bo gdzie ona się podzieje, gdy ja umrę? Piotruś zapewniał mnie jednak, że nie wyrzuci Janeczki. Bo przecież miał dom, a Kuba w Anglii dobrze sobie radził. Chociaż ostatnio to chyba nie bardzo się zgadzali...

– Kłócili się?

– Nawet nie. – Starsza pani nabrała powietrza i zamilkła na chwilę. – Widzi pan, Janeczka miała kiedyś w Łomży ukochanego. To był żonaty mężczyzna. Niestety nie zamierzał się rozwieść i ona wyjechała. Znalazła pracę u mnie. Ale chyba nie zapomniała o dawnej miłości. Potem Piotruś mi powiedział, że tamten owdowiał i szuka Janeczki. Był tu, w Wałbrzychu.

– Rozmawiała pani o tym z córką?

– Drogi panie – staruszka spojrzała nań z naganą – o takich rzeczach się nie mówi ot tak. Janeczka nie podejmowała tematu, więc i ja nie próbowałam.

– Co jeszcze powiedział pani Piotr Potulny?

– Że Janka oszalała i chce tamtego mężczyznę poślubić.

– Co w tym szalonego?

– A to, że ów człowiek jest przestępcą, po którym Janka mogła się spodziewać tylko kłopotów. Podobno własny syn od niego uciekł. Piotr zdobył jego namiary, ale nie zdążył się z nim skontaktować. A może zdążył? Nie wiem, bo umarł. Ale oto sama Janka. – Zgrzyt klucza w drzwiach oznajmił przybycie przybranej córki Eufemii.

Gdy stanęła w progu pokoju, Jarski zauważył niepokój, jaki odmalował się na jej twarzy. Wyglądała, jakby z trudem powstrzymywała chęć natychmiastowej ucieczki. Upłynęło kilkanaście sekund, zanim opanowała emocje i usiadła na sofie w pobliżu okna. Szara poświata zza firanki nadawała jej obliczu upiorny wygląd. Mieli oto przed sobą postarzałą, zmęczoną kobietę, która bardzo chciała sprawiać inne wrażenie. Bezpieczne życie, które wiodła, mogła zamienić na przygodę pełną pasji. Ale najpierw musiała stawić czoła przeszkodom. Odetchnęła trzy razy i spokojnym głosem zapytała:

– Panowie w sprawie...?

– Kim jest dla pani ksiądz Tadeusz Nowacki? – Jarski z przykrością zauważył, że na twarzy Janiny opanowanie ustępuje miejsca panice.

– To nasz wikary.

– Dlaczego wbrew woli matki nalegała pani, aby to ksiądz Tadeusz odprawiał

egzekwie na pogrzebie Piotra Potulnego?

– Ja nie... – zachnęła się kobieta, ale Jarski przerwał jej ostro:

– Niech pani nie kłamie! Dlaczego chciała pani, aby ksiądz Tadeusz pojawił się na cmentarzu? Mam pani powiedzieć? On miał zginąć, prawda? Ale tak się nie stało.

– Janka, co to znaczy? – Staruszka z trudem wstała z fotela i podeszła dwa kroki w kierunku kanapy. – Janka, co to znaczy? – powtórzyła.

Ku zaskoczeniu wszystkich Janina Potulna zerwała się gwałtownie i wyciągnęła obie ręce do Jarskiego.

– Może mnie pan aresztować – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Nic nie powiem.

– Bardzo dobrze. – Komisarz ujął ją pod ramię i popchnął lekko w stronę drzwi. – Zapraszam na komisariat. Zobaczymy, czy dalej będzie pani kryła mordercę.

\* \* \*

W zaciszu plebanii Anna Potulna i ksiądz proboszcz wpatrywali się z niedowierzaniem w komisarza Jarskiego. Zapadał zmierzch i w pokoju robiło się ciemnawo. Mała paprotka na stoliku przy regale pełnym książek drżała lekko, gdy raz po raz ksiądz ze zdumieniem podnosił ręce do góry. Jakby wzywał Opatrzność na świadka tej potwornej zbrodni.

Ksiądz Tadeusz Nowacki składał właśnie zeznania w sąsiednim pokoju. Podczas gdy komisarz Mądry ustalał to, co już potwierdziła Janina, Jarski spotkał się z proboszczem i matką zamordowanego Jakuba.

– Jakub Potulny zginął, ponieważ z daleka, patrząc od strony bramy prowadzącej do cmentarza, wyglądał podobnie jak ksiądz Tadeusz. Zabójca wiedział, że ma strzelić do mężczyzny w płaszczu, który szedł po lewej stronie. Ale Eufemia Potulna zatrzymała ich, gdy zmierzali do kaplicy, i to spowodowało, że ksiądz stanął z prawej strony. Dzięki temu ocalił życie.

– Panie komisarzu. – Anna otarła łzy i poprawiła brzeg sukni, jakby te gesty dodawały jej odwagi. – Mówił pan, że to Janka. Owszem, często kłóciła się z Piotrem. Ale nie rozumiem, dlaczego ksiądz Tadeusz?

– No cóż. – Jarski spojrzał ze współczuciem na kobietę. W ciągu tygodnia straciła męża i syna. – Janina Potulna miała wiele lat temu romans. Kiedy okazało się, że jest w ciąży, postanowiła zniknąć. Usunęła ciążę, ale wciąż utrzymywała kontakt z ojcem dziecka. Nazywa się Witalis Gudczenko. Biznesmen z Ukrainy. Bandyta i złodziej. Oskarżony o zabójstwo, ukrywał się od lat. Syn zabitego przez Gudczenkę człowieka wstąpił do seminarium. Los chciał, że trafił na naszą parafię. Kiedyś spotkał ich oboje i bandyta go rozpoznał. Pechowo dla księdza Tadeusza on sam nie widział, z kim ma do czynienia. Niemniej od tego czasu stanowił dla Gudczenki ogromne zagrożenie. Janina nie chciała wyjeżdżać z Wałbrzycha. Liczyła na to, że po śmierci Eufemii to jej przypadnie mieszkanie i sprawy jakoś się ułożą. Dlatego pogorszyła swoje relacje z Potulnym. Domagała się, aby nakłonił ciotkę do zmiany testamentu.

– To tylko mieszkanie – szepnęła Anna.

– Nie tylko – zaprzeczył Jarski. – Pani Eufemia zgromadziła niezłą sumkę. Janina chciała wszystko. Pieniądze, mieszkanie i Gudczenkę. Na pewno jednak nie chciała

zabić Jakuba.

– Kto strzelał na cmentarzu? – Anna wbiła w Jarskiego zmęczone oczy.

– Gudczenko. Przyjechał za Janką, która przyprowadziła matkę.

– Co z nimi teraz będzie?

– Zobaczmy. – Jarski powoli podniósł się i skierował ku drzwiom. – Ta ich miłość szkodzi światu.

Kiedy wychodził z plebanii, było już ciemno. Bury kot przebiegł przez podwórze i zatrzymał się pod nogami komisarza. Zamiauczał głośno. Komisarz pogłaskał zwierzaka i ruszył w stronę radiowozu. Musiał jeszcze dzisiaj przygotować raport. Zanosilo się na deszcz.

# Romuald Pawlak

## STARY LÓD

### I

Stary von Roningen w pierwszej chwili nie uwierzył swemu rozmówcy.

– Nikt ostatnio nie zginął – rzekł twardo, z ukosa spoglądając na myśliwego. – Nic mi o tym nie wiadomo.

Był zły, że ktoś śmie przeszkadzać mu w wieczornych rozmyślaniach. A ponadto rozdrażniła go lektura „Kandyda”. Tę nową książkę Woltera polecił baronowi jeden z przyjaciół – i była to najgorsza krzywda, jaką mógł Roningenowi uczynić. Niby autor namawiał do rozumnego działania, ale prześmiewczy ton wzbudził odrazę w starym arystokracie. Miał coraz mniejszą ochotę do żartów, spoglądając na zachodzące wszędzie wokół zmiany.

Baronowi rzadko zdarzało się rzucić ze złości książką o ścianę komnaty. Dzieło Woltera dostąpiło tego zaszczytu. A że baron celował w kominek, tom zaszczenie szczył w płomieniach. Wcale to jednak nie uspokoiło starca.

Treitsche, młody barczysty mężczyzna w zielonej kurcie, podszytej od wewnątrz zimowym futrem rysia, leniwie wodził spojrzeniem po komnacie, w której przyjął go pan zamku. Można by pomyśleć, że gościa zainteresowały portrety znamienitych członków rodu Roningenów, w tym zwłaszcza Josepha Antonia, cenionego kapelmistrza na książęcym dworze w Salzburgu. On jednak przyglądał się myśliwskim trofeom przedzielającym poszczególne obrazy. Jego szczególną uwagę przyciągnęła głowa wielkiego wilka, największego basiora, jakiego kiedykolwiek widział. Podbiegłe krwią ślepią połyskiwały dziko, jakby bestia gotowała się do skoku, zamierzając wgryźć w gardło pochwyconej ofiary. Preparator znakomicie wykonał swoją robotę.

Chrząknięcie barona wyrwało młodego myśliwego z milczącego zachwyty.

– To nikt z naszych – wyjaśnił Treitsche cierpliwie. – W ogóle pewnie nikt z tutejszych, baronie. Ten człowiek wygląda, jakby lód wypluł go po stu latach albo i więcej. Dlatego przyszedłem.

Roningen znany był w okolicy z kolekcjonowania dziwadeł o rodowodzie zarówno naturalnym, jak i wykonanych ludzką ręką. I dobrze za nie płacił.

A Treitsche bardzo potrzebował gotówki. Jesienią chciał się żenić. Charlotta postawiła ultimatum: w tym roku albo nigdy. I choć zrobiła to w żartach, zwykłych przekomarzaniach, chłopak dobrze wiedział, że dziewczynie pilno do weseliska. Kawalerów wokół niej kręciło się wielu, a życie w górach takie, że decyzje trzeba podejmować szybko.

Baron znów chrząknął.

– Gdzie dokładnie znaleźliście ciało?

Młody myśliwy uśmiechnął się lekko. To on znalazł zamarzniętego nieszczęśnika.



W przeciwieństwie do von Roningena i jemu podobnych nie lubił ciągnąć za sobą towarzystwa, wcale nie czuł się z nim bezpieczniej niż samemu. Wolał, gdy ludzkie zapachy i rozmowy nie zakłócały odwiecznej melodii gór. Treitsche czuł się łowcą, drapieżnikiem, nie zaś błaznem, szpetnym karłem zabawiającym arystokratów, przewodnikiem po ich fanaberiach.

– Tuż obok Ostrogi, panie. Ze dwadzieścia kroków, nie więcej – wyjaśnił.

Ostroga była wysoką skałą, obok której płynący lodowiec ścieśniał się niby język zwinięty w rurkę. Ludzie woleli tam nie chodzić, bo granit mocno zwietrzał, ciągle osypywały się z niego drobne kamyczki. W każdej chwili skalna iglica mogła runąć.

– Ciało przykryłem śniegiem i gałęziami – dodał myśliwy. – Wilki nie rozwłóczą. Ale z rana trzeba by ruszyć.

Roningen skrzywił się z niechęcią. Nie miał już sił wędrować gdziekolwiek. Stary zamkowy lekarz, Detlef, smarował go od jakiegoś czasu cudownym wilczym sadłem, ale noga i tak puchła, rwała, przypominając o swoim istnieniu szarpiącym bólem.

– Wykop ostrożnie ze śniegu i przynieś do zamku – zażądał. – Chcesz paru moich ludzi do pomocy czy wolisz swoich?

Treitsche pomyślał o pieniądzach.

– Swoich, panie. Ale rzecz jasna trzeba im będzie zapłacić.

Baron wzruszył ramionami, spoglądając w bok sali, gdzie stało kilka starych, pokrytych patyną zbroi. Sprawiały wrażenie, że wystarczy je trącić, a rozsypią się ze szczękiem po marmurowej podłodze, szczątkami pamiętającymi krwawą bitwę zaścieną geometryczną mozaikę pod nogami.

– Za milczenie, owszem – mruknął.

Treitsche roześmiał się lekko, zadziwiając samego siebie nagłym przyplływem odwagi.

– Znasz braci Ravensburgów, panie. Nie mielią jęzorem bez powodu.

Stary pan zamku skinął głową, z trudem skrywając narastające znużenie tą zbyt długą rozmową.

Jego wzrok mimo woli pobiegł w stronę jednego z portretów, skąd Anzelm von Roningen, założyciel rodu, surowo spoglądał na swoich potomków. „Rozsądek i cierpliwość. Wiara, odwaga i rozum. Tymi pięcioma cnotami kierujcie się w życiu, je nieście w przyszłość” – zanotował na łożu śmierci jako motto dla swoich dzieci.

Dobre, sprawdzone rady, nie żadne tam podniosłe słowa sklerotycznego starucha, który chce, by go dobrze zapamiętano! Anzelm był zwykłym chłopem, po równi przejętym wiarą, jak i nadzieją wzbogacenia się kosztem pogan. U boku Fryderyka II wyruszył na obcą ziemię ze zwykłą kosą, bo przecież żadnego chłopca nie stać na porządny miecz. Gdy powrócił po prawie dwóch latach, w pochwie u pasa miał dobre ostrze, a w ręku pergamin z nadaniem szlachectwa oraz tego spłachetka tyrolskiej ziemi, osieroczonej po ubiciu przez muzułmanów poprzedniego, pozbawionego krewnych właściciela.

Teraz ze swego honorowego miejsca na ścianie pilnował, aby jego potomkowie strzegli fundamentów, na których wzniesiona została świetność rodu. Ręce trzymał założone za plecami. Wyglądał, jakby się przechadzał, rozmyślając. Roningen wiedział jednak, że to tylko zręczny wybieg malarza. Anzelmowi brakowało lewej dłoni. Stracił ją wkrótce po osiedleniu się na tej ziemi...

– Na co jeszcze czekasz? – warknął baron. Znużone spojrzenie zwrócił w stronę Treitscha. – Przynieście ciało. Tylko dobrze zabezpieczone, żeby się nie zniszczyło. I sprawdźcie, czy wokół nie ma jakichś przedmiotów!

Myśliwy wracał z zamku zły.

„Taką cenę mu zaśpiewam, że zdechnie!” – postanowił.

Ta buńczuczna myśl sprawiła, że poweselał. Charlotta pewnie także się ucieszy, jak jej o wszystkim opowie.

\* \* \*

Letni upał sprawił, że Similaun, lodowiec na pograniczu austriacko-włoskim, topniał w zastraszającym tempie. Gazetowi eksperci straszili, że za kilkanaście lat zniknie całkiem – i Austria wejdzie w wiek XXI bez jednego ze swoich najbardziej znanych lodowych jeziorów.

Niemieckiego hotelarza Helmuta Simona z Norymbergi wszystkie te prognozy niewiele obchodziły. Chciał tu spędzić miły urlop z żoną Eriką.

Był piękny poranek, a rześkie powietrze sprawiało, że Simonowi chciało się krzyczeć z radości.

Nagle jego spojrzenie padło na śnieg w odległości jakichś trzydziestu kroków od miejsca, w którym stanął dla nabrania tchu. Śnieg miał tam ciemną barwę, jakby został czymś pobrudzony. Helmut Simon dostrzegł, że spod warstwy lodu coś wystaje.

Rozejrzał się. Skalna ostroga wspinała się ponad ich głowami w odległości może dwustu metrów.

Zaciekawiony ruszył w tamtą stronę, a Erika podążyła za nim. Wreszcie zatrzymał się obok znaleziska, w zdumieniu kontemplując je niczym jakąś nowoczesną, trudno zrozumiałą dla zwykłego zjadacza chleba rzeźbę.

Ze śniegu i lodu wystawała ludzka dłoń. Wyglądało to tak, jakby konający ostatkiem sił wyciągnął rękę, szukając pomocy, zanim ostatecznie pogrzebał go śnieg.

– Narciarz? – mruknął do siebie Simon.

Erika zrobiła kwaśną minę. W przeciwieństwie do męża wcale nie chciała spotkać na swej drodze żadnego nieboszczyka. Dosyć miała kłopotów z żywymi.

– Chodźmy, trzeba zawiadomić policję, że znaleźliśmy jakiegoś zaginionego turystę. – Próbowwała odciągnąć Helmuta od zwłok zagrzebanych w śniegu. – Pogoda się zmienia – dodała z niepokojem. Rzeczywiście, choć jeszcze przed chwilą słońce omiatało górskie zbocza gorącym oddechem, teraz zza pobliskich szczytów na zachodzie nadciągnęły pierwsze chmury. I nic w tym dziwnego, mieli przecież październik...

Simon wciąż uważnie przyglądał się znalezisku. Wreszcie trącił czubkiem buta śnieg w jednym miejscu – i na powierzchnię wyjrzał grot strzały. Ostrze bardzo przypominało jedno z tych, jakich używano kiedyś, przed wiekami.

Bardzo dawno temu. Zanim narciarstwo stało się sportem, a spacer po lodowcu atrakcją dla zażywnych starszych hotelarzy.

– Nie sądzę, żeby to był turysta – mruknął pochylony nad zwłokami Simon. – Ma

ze dwieście lat...

W jego duszy pojawił się cień nadziei, że oto odkrył coś, co przysporzy mu sławy. Pieniądze już miał, ale sława... całe życie o niej marzył i nic. A teraz... może... może... może?

Kiedy się wyprostował, jego oczy lśniły pożądliwym blaskiem.

\* \* \*

W nocy baron nie potrafił zasnąć. Noga rwała, tymczasem Detlef spał w swojej komnacie. Roningen nie chciał go budzić, tym bardziej że przestał wierzyć w skuteczność leczenia.

Wreszcie wstał i poszedł oglądać swoje skarby. To zawsze go uspokajało.

Trzymał je w dwóch miejscach: w podziemiach, gdzie leżało sporo trofeów zdobytych przez przodków – Roningen kontynuował bowiem wielowiekową rodzinną tradycję – oraz w komnacie niedaleko własnej sypialni, gdzie zgromadził zbiory będące jego osobistym wkładem w kolekcję. Po jego śmierci dołączył do zbiorów na dole. Jednak na razie baron chciał je mieć dla siebie, jak najbliżej.

Najdziwniejszą zdobyczą była wielka bryła górskiego kwarcu. Znalazca twierdził, że jest to kamień z dna piekieł, skalany krwią diabła. Oglądając go pod silnym szkłem powiększającym, baron dostrzegł cienkie niby włos pęknięcie, przez które jakaś ciecz, może woda zmieszana z sokiem rośliny albo krwią zwierzęcia, wdarła się do środka, tworząc w samym środku kryształu purpurową plamę. Efekt był piorunujący.

Czasem dotykał tego odłamka skały, stawał w ciszy i nasłuchiwał, czy nie odezwie się jakiś głos.

Kryształ uparcie milczał, baron – uważający siebie za człowieka zdroworozsądkowego – słyszał jedynie bicie swego serca, lekkie dzwonienie w uszach.

Było tak, jak to kiedyś w chwili złości von Roningen wyrzeszczał Detlefowi: najgorszymi demonami są nie postacie z mroku, lecz śmiało stąpający w słonecznym blasku ludzie.

\* \* \*

W schronisku, dokąd zeszli, aby zawiadomić o znalezieniu zwłok, Erika wydawała się lekko przybita, w przeciwieństwie do Simona podekscytowanego swoją rolą odkrywcy.

– Mam złe przeczucia – powiedziała, nerwowo przygryzając wargę.

Jej mąż tylko westchnął z rezygnacją, czekając, aż kierownik ośrodka pozbędzie się zaopatrzeniowca i znajdzie dla nich czas. Simon bowiem postanowił nie rozmawiać z żadnym recepcjonistą czy kimś równie przypadkowym. Chciał od razu ustanowić właściwą hierarchię ważności.

– Zawsze masz złe przeczucia. Po prostu życie cię przerasta.

Zreflektowawszy się, że jego słowa zabrzmiały zbyt ostro, objął żonę ramieniem i przytulił. Drżała wtulona w niego.

Myślami Simon wciąż tkwił tam, na zachmurzonym lodowcu. Obok mumii. Bo to była mumia, stara jak korzenie gór. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Czuł to.

„Będę sławny – pomyślał, dumnym spojrzeniem wodząc po turystach, którzy przepływali obok, pozdrawiając ich jedynie gestem lub uśmiechem. Nie wiedzieli jeszcze, kogo mają przed sobą. – Będę sławny. Bo to ja ją odkryłem”.

## II

Rankiem noga przestała boleć. Tym niecierpliwiej von Roningen czekał na przybycie myśliwego ze znaleziskiem.

Ludźmi baron nie pasjonował się wcale. Ani ich charakterami, ani tym bardziej ich życiem. Był samotnikiem, chyba nawet dziwakiem. Uważał, że światem rządziłaby wiedza, gdyby tylko ludzie chcieli ją przyjąć do wiadomości i zastosować.

Tymczasem nie chcieli. Zaś stary von Roningen nie chciał przyjąć do wiadomości, że oni nie chcą.

I chociaż swymi działaniami zaskarbił sobie wdzięczność miejscowych, to jednak uważali go za dobrodzieja, który raczej spełnia swe fanaberie niż robi dobre uczynki.

Mumie naprawdę interesowały barona. Tyle że dotąd miał do czynienia z mumiami egipskimi lub fałszywkami. Zamarzniętych ludzi oczywiście widywał, podobnie jak zwierzęta. Ale nigdy po tak długim czasie, jak twierdził ten, jak mu tam... Treitsche?

Czekał więc pełen ciekawości człowieka tak starego, że może godzinami bez zniecierpliwienia czemuś się przyglądać. Był jak modliszka. Chociaż nie pożerał swoich ofiar, to jednak w duchu przyznawał, że się nimi karmi.

Było to coś, co – jak podejrzewał – któregoś dnia przyprawi go o szaleństwo.

\* \* \*

Nie zdołano wydobyć mumii od razu. Dopiero po czterech dniach pogoda uspokoiła się na tyle, że policja oraz nadzorujący prace lekarz sądowy, doktor Rainer Henn, wydobyli ciało z lodu. Najpierw myśleli, że to jakiś zamarznięty nieszczęśnik, ale gdy znaleźli łuk i przyjrzel się resztkom ubrania ze skóry, stało się jasne, że to nie jest zwykły, pechowy turysta, jakich wielu zaginęło w Alpach.

Kiedy ostrożnie wsadzili znalezisko do helikoptera i Henn wraz z kilkoma ludźmi poleciał do Innsbrucku, Simona ogarnął nagły żal. Powinien towarzyszyć swojej mumii. Ale zabrakło dla niego miejsca. Ważniejszy był kamerzysta, który filmował całą akcję.

Mimo to w głębi duszy triumfował. Wkrótce wszyscy się dowiedzą, jakiego niebywałego odkrycia dokonał. Miał przecucie, że znaleźne i sława odkrywcy uczynią go znanym na całym świecie.

W pokoju starannie zabezpieczył rolkę z filmami. W swoim domu w Norymberdze miał pokój, gdzie eksponował fotograficzne trofea.

Do tej pory na gościach największe wrażenie robiło zdjęcie z wilkiem groźnie otwierającym paszczę, którego Simon tarmosił jak domowego jamnika.

Że Bari był oswojony, nikomu nie mówił. I choć zdjęcie wprawiało znajomych w podziw, Simon nie potrafił zatrzeć w pamięci lęku, jaki czuł nawet przed poskromioną bestią. Musiał wtulić ręce w jej sierść, aby ukryć ich drżenie.

Teraz hotelarz wygrzebujący ze śniegu mumię myśliwego z odległych wieków godnie zastąpi wilki.

„Uczynisz mnie wielkim – pomyślał, gładząc małą metalową kasetę z filmem. – Nie umarłeś na darmo, łowco”.

\* \* \*

Minął cały dzień naznaczony kłótnią z Detlefem, który postanowił być potrzebny także wtedy, kiedy von Roningen uważał, że od zabiegów medyka może mu się tylko pogorszyć. Jeżeli nie na ciele, to na umyśle.

To dziwne, ale oczekując na przybycie myśliwego, popadł w niezwykły dla siebie stan podekscytowania, a nawet pewnej nerwowości. Nie potrafił się skupić na lekturze, stary medyk go drażnił, głód – zwykle przypominający o sobie w porze obiadu – gdzieś zanikł...

Kiedy więc niedługo przed kolacją stary Johann dał wreszcie znać, że Treitsche ze swymi ludźmi czeka na dziedzińcu, w oczach barona zapalił się nieobecny od dawna błysk pożądlivosti.

– Wołaj Detlefa! – nakazał słudze, który w niemal opuszczonym zamku pełnił rolę zarówno lokaja, jak i człowieka do wszelkich innych posług. – Powiedz mu, że spotkamy się na dziedzińcu.

Zapadał już zmierzch i wędrując korytarzami w świetle gasnącego dnia, baron nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że jest coś zabawnego w tym, iż dzień się kończy, a historia z mumią dopiero zaczyna...

Na schodach spotkał Detlefa. Stary lekarz, oprócz zajmowania się nielicznymi mieszkańcami zamku von Roningena, pomagał mu w oglądaniu i analizowaniu znalezisk. Był jedynym, którego baron w pełni dopuścił do sekretów obu kolekcji – własnej i odziedziczonej po przodkach.

Treitsche z braćmi Ravensburg czekali na dziedzińcu, nerwowo przestępując z nogi na nogę i popatrując po murach, na których kilku strażników udawało, że mały zamek wciąż coś znaczy w czasach, gdy armaty nie znały już litości dla tak nędznych fortyfikacji, a żadna twierdza nie mogła się obronić bez szeregu wysuniętych fortów.

Uwagę barona przyciągnęli bracia bliźniacy. Krępi, o twarzach naznaczonych dzikością, ciemnych oczach, które błyskały spojrzeniem pełnym z trudem hamowanego gniewu i lekceważenia, budzili strach okolicznych mieszkańców. Roningen widział wcześniej tych dwóch ledwie parę razy, ale słyszał sporo o ich ciemnych sprawkach. Cóż, wykopanie mumii z pewnością nie było czymś, o czym należałoby informować cały świat, w tym księży – a ponieważ milczenie Ravensburgów ściśle wiązało się z ich reputacją, powierzenie im tego zadania pan zamku uważał za słuszny wybór. Nie powinno być kłopotów z tysiącem plotek.

Pomiędzy trójką przybyszy leżał wielki podłużny wór.

– Poszło bez problemów? – spytał baron schrypniętym z emocji głosem. – Nikt was nie widział?

Ravensburgowie milczeli, spoglądając na niego z lekceważeniem. Treitsche poprawił mniejszy wór zwisający z ramienia i odparł zmęczonym głosem:

– Wilki tylko i góry, panie.

Spojrzał pod nogi, na mumię w płótnie i dodał:

– Kończmy sprawę i do domu.

Roningen pomyślał, że niepotrzebnie schodził na dziedziniec. Trzeba było od razu kazać im zanieść mumię do niewielkiej sali na parterze, gdzie zwykle dokonywali ze starym lekarzem pierwszych oględzin. Tam decydowali o dalszym losie znalezisk, nim wprowadzili je do sali z eksponatami albo zrzucili z murów jako śmieci.

Treitsche podążył za baronem, Ravensburgowie zaś chwycili wydarte górom ciało i ruszyli ich śladem. Pochód zamykał Detlef, mając wszystkich na oku.

W pomieszczeniu Roningen kazał ciężar w płótnie umieścić na wielkim metalowym stole, a Treitsche zdjął z ramienia wór ze wszystkimi przedmiotami znalezionymi w pobliżu zwłok. Detlef włożył cienkie skórkowe rękawiczki i ostrożnie zaczął rozwijać płótno okrywające trupa. Buchnęła fala zimna, a potem ich oczy ujrzały doskonale zachowaną mumię. Chuda twarz wyszczerzona w uśmiechu zdawała się drwić z ich ciekawości.

– Chcielibyśmy już pójść – przypomniał Treitsche, widząc, że Roningen myśli o Bóg wie czym, tylko nie o zapłacie.

Baron skinął głową. W końcu miał już pewność, że nie został oszukany. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie są to świeże zwłoki.

Powiedział Detlefowi, żeby poczekał, a sam z myśliwym udał się na górę. Tam zapłacił mu, niezbyt hojnie chyba, bo mina chłopakowi zrzedła. Treitsche nie tryskał radością, ale nie miał też powodu do narzekania. Po opłaceniu Ravensburgów zostanie dosyć, żeby zaimponować Charlocie.

Odprawiwszy myśliwego i bliźniaków, Roningen wrócił do podziemi. Tu Detlef w świetle kandelabrow wciąż uważnie oglądał znalezisko, choć zgodnie z życzeniem barona, podczas jego nieobecności niczego nie ruszał. Wspólnymi siłami pozbyli się płótna spowijającego mumię. Teraz spoczywało przed nimi już tylko zamarznęte na kość ciało w resztkach starych łańców.

– O, a tu jest rana! – powiedział nagle Detlef, wsadzając palec w rozcięcie ubrania na łopatce. W skupieniu dłużył palcem. – Czuję chyba grot, baronie!

Roningen w milczeniu przyglądał się mumii.

– Chyba musi odmarznąć, zanim ją całkiem obejrzymy? – Spojrzał pytająco na Detlefa.

Ten skinął głową.

– Zostawmy ją, do rana lód powinien spłynąć.

A kiedy szli schodami do swoich komnat, mruknął:

– Ciekawe, dlaczego do niego strzelali. I kto...

\* \* \*

Öetzi. To słowo smakowało jak... jak... Simon nie potrafił mu przypisać jakiegoś konkretnego smaku. Mumia była niezwykła, jedyna w swoim rodzaju. Pierwsze badania w Innsbrucku, a także ponowne, bardzo dokładne przeszukanie miejsca znaleziska, przyniosły oszałamiający wynik. Przy Öetzim znaleziono miedzianą siekierkę, pojemnik z kory brzozonej, nóż krzemienny, szydło kościane, łuk, kołczan,

strzały... Naukowcy uważali, że był szamanem.

Simon dzwonił czasem do Henna, z którym się zaprzyjaźnił. Ten jednak nie miał wiele do powiedzenia. Był tylko lekarzem sądowym, a sprawa poszła wyżej, bo znalezisko na lodowcu rozgraniczającym Austrię i Włochy stało się sprawą międzynarodową. I to taką, w której Austria przegrywała. Mumię przeniesiono do Bolzano, miasteczka po włoskiej stronie granicy, gdzie utworzono specjalną ekspozycję dla zamrożonego wędrowcy.

Simon odczuwał słabnące wołanie Öetziego o pomoc.

W Austrii mógłby wciąż odwiedzać mumię. Miałyby też niezachwiane prawa do wysokiej nagrody, a jego sława nie podlegałaby dyskusji. Włosi... jak to Włosi. Gdy tylko znalezisko trafiło do nich, do Bolzano, przestali odpowiadać na listy i telefony Simona. Był dla nich zwykłym hotelarzem, co to się potknął o skarb, którego wartości nawet nie umiał ocenić. Więcej, kiedy zaczął się domagać odszkodowania, zarzucili mu, iż wcale nie odkrył mumii przypadkowo, lecz prowadził nielegalną ekspedycję archeologiczną, w związku z czym do nagrody nie ma prawa.

Simon nie pogodził się z takim traktowaniem. Oddał sprawę do sądu. Żądał znaleźnego i prawa dostępu do swojego Öetziego bez żadnych utrudnień.

– Ja się ich nie boję – powiedział do Eriki któregoś razu, gdy widząc jego zdenerwowanie, poradziła mu, aby dał sobie spokój. Przecież i tak zawsze już będzie odkrywcą mumii, tego żaden wyrok nie zmieni.

– Ale ja potrzebuję tego wyroku – upierał się. – Tu nie chodzi tylko o pieniądze, przecież wiesz. Oni mi chcą odebrać Öetziego...

Żona patrzyła na niego z niepokojem.

– Na razie widzę, że to mumia odbiera ci spokój – odparła cicho.

\* \* \*

Rankiem baron i Detlef przystąpili do ponownych oględzin. Mumia nie odmarzła w pełni, choć pod stołem zebrały się spore kałuże wody. Stary lekarz z niechęcią postukał we wciąż twarde ciało.

Roningen spojrział w bok, gdzie na małym stoliku pod ścianą leżał wór z przedmiotami, jakie Treitsche znalazł obok ciała. Ale zaraz wbił wzrok w swojego medykusa. Ten nerwowym gestem potarł dłonie w cienkich skórzanych rękawiczkach, po czym znów zaczął odklejać ubranie od rozmarzających zwłok.

Naraz gwizdnął przeciągle, z zachwytem lekarza trafiającego na coś, co naprowadzi go na postawienie prawidłowej diagnozy, a może wręcz odkrywającego nową chorobę, której opisanie uczyni go sławnym.

– Spójrz, baronie... – Palcem wskazał Roningenowi miejsce na piersi mumii.

Ten pochylił się niżej, ale niczego nie zobaczył. Na poczerniałej ze starości skórze na piersi, gdzie tkanina tuniki wytarła się o skały albo została wyrwana, majaczyły jakieś plamy. Jednak baron nie umiał rozpoznać w nich niczego znajomego.

Detlef tymczasem w zamyśleniu gryzł górną wargę, intensywnie czegoś szukając w zestawie narzędzi na stołach pod ścianami.

– Tatuaż, baronie – wyjaśnił wreszcie, łapiąc bezradne spojrzenie von Roningena. Dla niego ciemne plamy nadal wyglądały jak liszaj albo chore żyły. Skoro medyk

twierdził, że to tatuaż, przyjrzał się uważniej wskazanemu miejscu. Po długiej chwili skupionych oględzin nadal nie dostrzegał jakiegokolwiek czytelnego rysunku. To go zniechęciło. Wyprostował się z rezygnacją i spojrzął na Detlefa.

– Ale co przedstawia? – spytał bezradnie. – Dla mnie to tylko plamy i rany od skał.

Lekarz czubkiem wąskiego noża odchylił ubranie mumii, poszerzając pole obserwacji.

– Moim zdaniem, to zarys ludzkiej postaci – orzekł wreszcie. – Ale żeby być pewnym, trzeba by go rozebrać...

Baron powiódł spojrzeniem po kamiennej komnacie.

– No to do dzieła – rzekł, kryjąc ogarniającą go irytację. – A ja zajmę się interesami. Muszę pojechać do barona Vergottena, jest mi winien trochę grosza.

Detlef przytaknął skinieniem głowy.

– Jedź, panie. Przeceniłiśmy tempo odmrażania, mumia musi parę dni poleżeć, zmięknąć. Wolałbym spróbować zdjąć to ubranie, niż je rozcinać. A na razie obejrzę sobie dobytek tego gagatka.

I tak też się stało. Von Roningen ruszył załatwiać interesy, podczas gdy Detlef skupił uwagę na dobytku zamrożonego nieszczęśnika.

Stary medyk uważnie obejrzał czapkę, dochodząc do wniosku, że włos przypomina niedźwiedzi. Jednak ciekawsze wydały mu się inne przedmioty: łuk z kołczanem, a zwłaszcza miedziana siekierka. Długo ją oglądał. Ostrze miało za sobą długi żywot, w kilku miejscach było mocno wyszczerbione. A na dolnej krawędzi Detlef zauważył – przy użyciu oprawionego w srebro szkła powiększającego, które zawsze nosił przy sobie – coś, co wyglądało na słabo widoczne resztki plamy krwi.

– Trzeba będzie pogadać z jakimś alchemikiem – wymruczał do siebie.

Adalbertus z zamku młodego barona Knoppa, rozmiłowanego w nauce, miał jakieś proszki, którymi – jak twierdził – można sprawdzić, czy ktoś umaczał nóż we krwi, czy tylko w wodzie. Może trafi się okazja sprawdzić te jego łgarstwa...

Nagle usłyszał jakieś głosy. Nerwowo oderwał spojrzenie od siekierki, zerknął z ukosa na mumię. Ta jednak ani drgnęła.

To tylko dwóch strażników na dziedzińcu zaczęło się tak przeraźliwie kłócić, że niewyraźne głosy docierały aż tutaj.

\* \* \*

Jeżeli jakiś kraj można darzyć nienawiścią równie gorącą, co szczerą, to Simon szczerze i dogłębnie nienawidził Włochów i wszystkiego co włoskie.

Wszystkie dotychczasowe wypadki oraz urlopy w tym kraju ciężko odchorowywał. Szczytem wszystkiego były dni spędzone w Wenecji oraz Florencji. W tej pierwszej zaznał wątpliwej przyjemności brodzenia po kostki w wodzie na słynnym placu Świętego Marka, gdzie przecież nie wypada nie pójść, prawda? A to, że akurat cholerna *aqua alta* zalała plac, Eriki bynajmniej nie obchodziło. Helmut przeziębził się ciężko i resztę tego wypadku zapamiętał jako nieprzerwane pasmo gorączki oraz majaków. Zamiast wspomnień z Pałacu Dożów czy Muzeum Przyrodniczego zyskał jedynie straszliwy koszmar, w którym kondotierzy operowali go żywcem, wycinając nerkę, żeby ją udusić razem z owocami morza.



Wizyta we Florencji miała jeszcze bardziej dramatyczny przebieg. Kiedy udali się z Eriką do kościoła Santa Maria del Fiore, gdzie ongiś szalony dominikanin Savonarola wygłaszał swe płomienne kazania, nie zdążył nawet poczuć aury tego miejsca, bo wcześniej został pobity i okradziony. Zaś włoska galanteria napastnika przejawiała się w tym, iż złodziej – rosły mężczyzna o brwiach zrosniętych i krzaczastych jak dwie jodły – łamaną angielszczyzną wymruczał do Eriki, że wcale nie musi się go bać, bo on damy nie tknie. I nie tknął, dzięki czemu mogła się opiekować Simonem w trakcie jego pobytu w szpitalu.

A teraz ci przekłęci Włosi ukradli mu Öetziego! Wybudowali nawet muzeum, żeby ich mumia – ICH mumia, niech się zadławią na śmierć tą swoją mozzarellą, lasagną i gnocchi z szałwią – była bezpieczna! Aby ją odwiedzić, Simon musiał udać się do tego przeklętego włoskiego miasteczka!

Bolzano powitało go chłodem kwietniowego dnia, chociaż już dojeżdżając na miejsce, Simon zaczął odczuwać magnetyczne przyciąganie Öetziego. „Chodź do mnie, do mnie... do mnie...” – niemal słyszał ciche słowa myśliwego sprzed pięciu tysięcy lat. Hotelarz nie potrafił ukryć uśmiechu. W końcu wygra ten proces. A wtedy...

Pędem dotarł do Muzeum Architektonicznego, gdzie w sercu specjalnej ekspozycji uwięziony był Öetzi. Wbiegł po schodach, pchnął drzwi i...

– Halo! Stać! – usłyszał za sobą okrzyk. Starszy mężczyzna w uniformie biletera wyszedł ze swojej kanciapki. To on krzyczał, najpierw po włosku, a potem widząc, że narwany turysta się nie zatrzymuje, po angielsku.

– Nie można tak – wyjaśnił już spokojnie, dostrzegając, że Simon nie zamierza uciekać. – Trzeba kupić bilet.

Hotelarz patrzył na niego, powstrzymując złość.

– Chciałem zobaczyć swoją mumię, Öetziego – rzekł. I dodał z dumą: – To ja ją odkryłem.

Bileter wydawał się zaskoczony. Ale nieugięcie twierdził, że każdy musi kupić bilet. A ekspozycja z Öetzim jest i tak zamknięta, bo działać będzie dopiero od maja.

– A mamy wciąż kwiecień, prawda? – zakończył.

Wtedy w Simona wstąpił istny demon. Zaczął kłąć we wszystkich znanych sobie językach, poczerwieniał na twarzy. Przerażony bileter nie bardzo wiedział, co zrobić. Mając w pamięci, że stojący przed nim człowiek podaje się za odkrywcę mumii, zaproponował mu wreszcie, by zechciał spotkać się z dyrektorem, a ten wyjaśni wszystko.

Dyrektor okazał się typem nienagannego dżentelmena o staroświeckich manierach. Uprzedzony przez biletera, przyjął Simona kordialnie, choć pod powłoką wielkiej uprzejmości nawet dla hotelarza czytelne było lekkie lekceważenie.

– Gratuluję odkrycia – zaczął. – To bardzo interesujący obiekt... ale pewnie pan już o tym wie. Nasz Öetzi to sensacja na skalę światową.

Simon poczerwieniał.

– Przyjechałem go obejrzeć – powiedział. – A także odebrać go wam, panie...

– Moretti – chłodno odparł dyrektor. – Panie Simon, proszę się nie obrażać. U nas więcej się dowiemy, a przecież o to chodzi, na tym zyska nasza wiedza o przeszłości regionu.

– I jeszcze mam kupować bilety! – odwarknął hotelarz.

– Pieniądze idą na badania, panie Simon! – Mówiąc te słowa, Moretti spoglądał na księgę, której jego rozmówca nie mógł dostrzec. Była to taka jego osobista zabawa. W drewnianej szafie trzymał siedemnastowieczne wydanie *Boskiej komedii* Dantego. I czasem, gdy szczególnie uciążliwy rozmówca, agent, adwokat czy któryś z pracowników muzeum zdenerwował go, dyrektor zastanawiał się, w którym kręgu piekiel usadowiłby swego rozmówcę.

Nic więc dziwnego, że Moretti nie potrafił dogadać się z tym irytującym Niemcem. Rozumiał już jednak, że łatwo się go nie pozbędzie, więc wezwał pracownika i powiedział, żeby zaprowadził gościa do ekspozycji z Öetzim. Wypuściwszy natręta przodem, półgłosem poprosił swojego muzealnika o czujność, bo nigdy nic nie wiadomo...

Kiedy hotelarz opuścił jego gabinet, dyrektor wystukał numer do portierni i powiedział, że jeżeli Simon kupi bilet, należy go wpuścić. Ale w każdym innym wypadku ma być traktowany jak zwykły intruz. Od razu też zrobił notatkę w notesie, żeby sporządzić odpowiedni okólnik. Przeczował, że z tym Niemcem będą jeszcze kłopoty.

– A tak w ogóle odkrywcom wstęp powinien być zabroniony – wymruczał wreszcie do siebie.

Tymczasem Simon podążał korytarzami w stronę ekspozycji.

Kiedy stanął przed gablotą z mumią oddzieloną od niego grubą pancerną szybą, poczuł nagły skurcz serca.

– Jestem – szepnął.

Uśmiech mumii stał się jakby odrobinę szerszy.

\* \* \*

Roningen wrócił dopiero wieczorem i na żadne studia nad mumią nie miał ochoty. Zjadł z Detlefem kolację, zamieniając z nim niewiele słów. Zresztą, stary lekarz szybko uciekł do swojej komnaty pod pretekstem lektury książek.

– Szukam wiedzy o takich mumiach, panie – wyjaśnił.

Kończył więc posiłek samotnie. I może dlatego zauważył dziwne zachowanie sługi.

Ten nie wiedział, jak zacząć. Kręcił się nerwowo, dotykał różnych przedmiotów, aż wreszcie baron, który obserwował go spod oka od dobrych kilku minut, nie wytrzymał:

– Chciałeś mi coś powiedzieć, Johannie? A może się mylę? – spytał chłodno, odstawiając kieliszek z winem.

Johann był stary. Wszyscy w tym zamku, poza kilkoma roslymi strażnikami, byli starzy. Młodość odeszła z tego miejsca z Leokadią, młodą żoną von Roningena. Umarła razem z pierwszym dzieckiem w połogu i tego jednego dnia świat jakby postarzał się o pięćdziesiąt lat.

– Ta mumia... – zaczął wreszcie Johann. – Służba mówi, że po zamku kręcą się duchy.

Stary baron zaśmiał się zgrzytliwie.

– Duchy? Johann, mamy wiek XVIII po Chrystusie! Wiek rozumu... i tego cholernego Woltera! – Na wspomnienie lektury „Kandyda” twarz wykrzywił mu niesmak. – Duchów nie ma.

Służący nie był jednak przekonany.

– Zapewne, panie – przyznał. – Ale ludzie i tak gadają.

### III

Telefon wyrwał Simona z poobiedniej drzemki. Eriki nie było, poszła na zakupy. Na wpół przytomny hotelarz musiał sam odebrać, choć w głowie mu się kręciło.

Pewno dlatego nie od razu zrozumiał ten strumień pytań płynących ze słuchawki. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, w czym rzecz: zmarł Rainer Hölzl – kamerzysta filmujący wydobywanie Öetziego z lodu. Ten, który zabrał odkrywcy miejsce w śmigłowcu.

A zaraz potem, z kolejnym uderzeniem krwi do głowy, dotarł do Simona sens kilkakrotnie powtarzanego pytania.

– Nie, nie ma żadnej klątwy! – wrzasnął rozsierdzony. – Sam pan mówi, że zmarł na raka! Czy ludzie już przestali umierać z przyczyn naturalnych?

Z gniewem rzucił słuchawkę na widełki.

– Dostanę przez ciebie zawału, cholerny dziennikarzyno – mruknął – i to też pewnie będzie wynik klątwy.

Senność całkiem go opuściła. Poszedł do swego gabinetu i siedząc w bujanym fotelu, przyglądał się wielkiemu na pół ściany zdjęciu, na którym wydobywał Öetziego.

Klątwy nie było, Simon w nic takiego nie wierzył. Owszem, Henn, tamten lekarz sądowy, który prowadził pierwsze badania mumii, od dawna nie żył. Jednak nie uśmiercił go niewytłumaczalny przypadek zakażenia krwi jak sponsora wykopalisk w grobie Tutenchamona – zginął w banalnym wypadku samochodowym, gdy jechał do Karyntii, aby wygłosić wykład na temat słynnego znaleziska.

A Hölzl zmarł teraz na nowotwór wątroby. Cóż, pewnie za dużo pił... Zwyczajne śmierci. Każdego kiedyś to czeka.

– Każdego... – powtórzył głośno ostatnie słowo.

\* \* \*

Barona bolała noga. Nie miał ochoty nigdzie chodzić.

Miał za to jeszcze ochotę na gorącą herbatę. Sięgnął po dzwonek.

Ale stary sługa nie pojawił się, mimo że poirytowany von Roningen chyba ze sto razy potrząsnął dzwonkiem.

– Johann! – wrzasnął wreszcie i ciężko podniósł się ze swego fotela.

Nic.

– Śpi stary, głuchy dureń! – sapnął baron, podchodząc do ciężkich rzeźbionych drzwi. Lecz kiedy je otworzył, aż się cofnął porażony niewytłumaczalnym widokiem.

W korytarzu, jakby bojąc się przekroczyć próg komnaty, kłębiła się przeraźliwa ciemność zmieszana ze światłem płynącym z pomieszczenia. Teraz, w absolutnej

ciszy, jej pasma podążyły za Roningenem. Nagle stracił orientację, jakby jakiś wielki ciężar usiadł na jego umyśle i spętał go siecią. Zakołysał się, otworzył usta, by krzyknąć, ale zdołał tylko westchnąć niemal bezgłośnie.

Nieoczekiwanie głowa wielkiego wilka, tego samego, który zachwycił Treitschego, prawie zeskoczyła ze ściany. Oczy zaświeciły niezwykle czerwienią. Kły rozchyliły się jeszcze szerzej.

Jedna ze zbroi stojących wzdłuż ścian runęła w dół, pękły zapięcia. Metalowa rękawica, ongiś ściskająca miecz, po śliskiej posadzce sunęła ku wejściu do komnaty, skąd wyrastały korzenie ciemności, a jedno jej pasmo niby młoda łądyga już zawijało się wokół głowy barona...

Wtem Roningen usłyszał nieprzyjemny syk. Mroczny opar, otaczający już niemal całą górną część jego ciała, zniknął na ułamek sekundy przed tym, nim zimna stal grzechoczącej po posadzce rycerskiej rękawicy dotknęła ciemności.

Baron odzyskał zmysły. Ale kiedy spróbował na chwiejnych nogach zrobić parę kroków w stronę fotela, zemdłał.

\* \* \*

– Erika, wygraliśmy! Wygraliśmy, rozumiesz?! – krzyknął Simon w słuchawkę swojego telefonu. Na korytarzu tłoczył się tłum, bo w sądzie każdy miał swoje sprawy i nikogo nie obchodził triumf jakiegoś tam Niemca. Ludzie się rozwodzili, procesowali o odszkodowanie czy zeznawali w sprawie pobicia. A jeżeli nie własne sprawy, to bardziej ich obchodził los ukochanej drużyny piłkarskiej niż uwikłany w procesy hotelarz.

Był październik 2003 roku, niemal równo dwanaście lat od dnia odnalezienia Öetziego. I dziś wreszcie sąd – i to sąd w Bolzano, w tym przeklętym miejscu – przyznał Helmutowi Simonowi rację! Uznał go za prawowitego odkrywcę. A tym samym należało mu się znaleźć.

Jednak hotelarzowi nie zależało już na pieniądzach. Teraz miał wreszcie prawo do Öetziego. Wyszedł z budynku w rozpiętym płaszczu. Od środka grzało go niezwykle ciepło. Skierował swe kroki prosto do muzeum.

Moretti od dawna nie był już tam dyrektorem, co Simon – jeszcze niepewny, jak długo potrwa proces – uznał za zapowiedź zwycięstwa. A teraz szedł powiedzieć nowemu dyrektorowi – fakt, trochę bardziej mu przychylnemu – że wkrótce nastąpią jeszcze większe zmiany. Za odszkodowanie zamierzał bowiem stworzyć w Norymberdze czasową ekspozycję i tam odwiedzać swoją mumię.

\* \* \*

Ocknął się przed świtem na zimnej posadzce, ze skurczem rwącej nogi. Bojaźliwie popatrując po ciemnych kątach, pokuśtykał do komnaty Detlefa, po drodze walcząc ze słabością. Tam, z pobladłą twarzą, opowiedział wszystko staremu lekarzowi. Ten słuchał w milczeniu.

Później poszli obejrzeć komnatę, w której mroczny opar omal pochłonął Roningena. Nic tu jednak nie świadczyło o niedawnych zajściach, poza szczątkami zbroi.

– Zobaczymy, co z Johannem – rzekł wreszcie baron.

Znaleźli służącego w jego komnacie, tuż obok łóżka. Ciało Johanna było nietknięte, tylko na twarzy starego sługi malował się przerażający grymas.

– Apopleksja – stwierdził Detlef, powstając z klęczek. – Przynajmniej tak to wygląda.

Pan zamku w milczeniu patrzył na swego wiernego sługę.

– Wiesz, co mi powiedział, gdy jadłem kolację? Że w zamku straszy, że to вина tej mumii.

Detlef wzruszył ramionami.

– Zabobon.

Roningen zacisnął mu suchą dłoń na ramieniu.

– Wiem, co widziałem. To pasuje do siebie...

Westchnął ciężko.

– Trzeba pozbyć się mumii, Detlef. I to jak najszybciej.

Stary medyk znowu wzruszył ramionami.

– Chociaż obejrzyjmy ją najpierw. Dawno nic tak ciekawego nie pojawiło się w tym zamku... z całym szacunkiem.

Baron wciąż patrzył na Johanna. Wreszcie zaprzeczył krótkim ruchem głowy.

– Wiem, kiedy powiedziec: dosyć. Poszukajmy służby. Trzeba posłać po Treitschego i jego pomagierów.

Ci przybyli po kilku godzinach nerwowego oczekiwania.

Młody myśliwy osłupiałym wzrokiem patrzył na von Roningena, gdy ten wyjaśniał mu, że mają zabrać mumię i pochować tam, skąd ją wydobyli.

– Pieniędzy nie oddam – odezwał się naraz jeden z Ravensburgów, stojący za jego plecami po lewej. Głos miał zgrzytliwy, nieprzyjemny. W oczach czaił się gniew.

– Zakop ją – zwrócił się ku niemu baron. Był blady na twarzy, jego ciałem wstrząsały drgawki. – Po prostu zakop. Przecież za to zapłacę.

\* \* \*

Simon szybkimi krokami zmierzał do stworzenia swego *opus magnum*. Po roku od zwycięstwa w bolzańskim sądzie i wygraniu ponad stu tysięcy euro odszkodowania był w przededniu podpisania umowy na stworzenie ekspozycji. Nie miał jeszcze zgody Muzeum Archeologicznego w Bolzano, ale to uznawał za fraszkę. „Wygrałem wojnę, to i niedobitki pokonam” – zaśmiał się w duchu.

Na razie realizował kampanię medialną.

Dziennikarka z *Nürnberger Nachrichten* była młoda i, prawdę mówiąc, przypominała Simonowi Erikę z czasów, kiedy się poznali. Koński ogon odrzucała na plecy takim samym niecierpliwym, energicznym ruchem, uśmiechając się przy tym ciepło. A filiżankę trzymała w dłoni w taki sposób, jakby się obawiała skruszyć drogocenną porcelanę.

Jednak w temacie orientowała się słabo.

– Podobno Öetzi z kimś walczył, prawda? – spytała.

Simon z powagą skinął głową. Wstał i wyjął z jednej z teczek zalegających w gabinecie kilka szkiców.

– Widzi pani – zaczął – według rekonstrukcji Öetziego zabiło co najmniej trzech ludzi. Na nożu przy nim jest krew innego człowieka niż sam myśliwy. To znaczy, że go ścigali, a on próbował się bronić.

Ale dziennikarka nie wydawała się jakoś szczególnie zafrapowana. Tyle informacji jej wystarczyło, o pościgu i tak będzie jedno zdanie.

– Widzi pani – zmienił więc temat – natrafiliśmy z Eriką na Öetziego dzięki niewiarygodnej wprost serii przypadków. Wtedy zrozumiałem, że moje życie prowadzone jest przez boską Opatrzność.

W zielonych oczach dziennikarki błysnęło autentyczne zaciekawienie.

– Mogę spytać, czy jest pan człowiekiem wierzącym? To znaczy, czy był pan, zanim... – zawiesiła niepewnie głos.

Hotelarz uśmiechnął się do swych myśli.

– Wie pani... wierzę, że Öetzi mógłby być moim bratem. Czy taka odpowiedź pani wystarczy?

\* \* \*

Baron odłożył na bok Pismo.

Nie szukał tam ukojenia. Właściwie nie był nawet pewien, czy to, co widział w nocy, rzeczywiście miało miejsce. Zaczynał żałować, że tak łatwo pozbył się mumii. Może śmierć Johanna była jednak naturalna, jak twierdził Detlef?

I wtedy usłyszał hałas. A po chwili do komnaty wkroczył zdenerwowany stary lekarz. Za nim wsunął się młody Treitsche z mętnym wzrokiem.

– Wypadek, panie – zaczął, ciężko oddychając. – Lawina zeszła, kiedyśmy zakopywali tę piekielną mumię... Jorg Ravensburg martwy, Karl żyje, ale nie może wykrztusić słowa...

Roningen odruchowo położył rękę na Piśmie.

– Zakopaliście? – spytał bardzo cichym głosem.

Treitsche skinął głową. Potarł bolące ramię.

– Sypaliśmy już śnieg na wycięty otwór, gdy niespodziewanie zeszła lawina. Ale Jorg to przewidział. Mówił, że jak widzimy wilki z tak bliska, to jest źle...

Stary baron wstał ze swego fotela.

– Wilki? – powtórzył. – Jakie wilki?

Myśliwy poruszył się niecierpliwie, zrobił kilka kroków.

– Ano wilki, panie. Dwa takie przemknęły niemal obok nas, jak już kopaliśmy, i od razu powietrze jakby zgęstniało.

– Zapłacę Ravensburgowi odszkodowanie, i tobie też – z ponurą miną stwierdził Roningen. – Ale macie siedzieć cicho. Jeżeli ktoś się dowie...

Treitsche skrzywił się boleśnie i skinął głową. Miał wrażenie, że bestia, ów wielki basior pomiędzy portretami, spogląda na niego szczególnie krwawymi oczyma.

Odprawiwszy wszystkich, baron zrobił kilka kroków w stronę jednego z okien komnaty.

Stara rodzinna legenda mówiła, że założyciel rodu zawarł z plemieniem wilków sojusz. Miały prawo porywać ludzi i bydło, ale za to musiały się zjawiać w chwili zagrożenia niby lennicy na rozkaz seniora. Gdzieś pomiędzy wielkie kamienie zamku

wmurowana była skrzynka z wilczą łapą. A gdzieś w górach, zasypiana kamieniami i śniegiem, który zdążył stwardnieć na kamień, zamienić się w stary, wielowiekowy lód o barwie pobłyskującej błękitem, leżała lewa dłoń Anzelma von Roningena, protoplasty rodu.

„Życie w górach niepewne, każdy sojusz się liczy” – pomyślał w zadumie baron. To było szóste przykazanie przodka. Nigdy niespisane na papierze, przekazywane z ust do ust. Do tej pory ostatni dziedzic zamku nie wierzył w nie, miał raczej za legendę wzmacniającą korzenie von Roningenów.

Do dziś. A właściwie do wczorajszej nocy.

\* \* \*

Erika próbowała zatrzymać Simona, ale on się uparł.

– On coś tam zostawił – burknął gniewnie, szarpiąc żonę zagrażającą mu drogę do drzwi. – Nie wydobyliśmy najważniejszej rzeczy! Jak będzie wyglądać moja ekspozycja bez... bez...

Odepchnął Erikę i wyszedł z pokoju. Po chwili zobaczyła, jak szybkim krokiem wychodzi ze schroniska.

Pospiesznie maszerował w stronę lodowca. Nie zauważył psującej się pogody. Wokół robiło się coraz chłodniej, ostry blask słońca rozświetlającego stoki zgasł, pozostała mdła, przesiana przez chmury nikła poświata...

Simon niepowstrzymanie parł naprzód i po południu dotarł w pobliże miejsca, gdzie odnalazł Öetziego. Już widział tę charakterystyczną skalną ostrogę...

I wtedy z narastającej śnieżnej zamieci wyszedł wilk – wielka szara bestia. Zajrzała mu w oczy, a zwisający różowy jęzor nadawał pyskowi zwierzęcia drwiący wyraz.

Śmiał się z hotelarza. Śmiał się, a z jego paszczy wydobywała się coraz większa zadymka i burza śnieżna. Aż wreszcie ogarnęła cały świat.

A po chwili, gdy wilk zniknął, ze śnieżnej burzy wyszło trzech ludzi z łukami oraz nożami. Trwali w tych górach od tysiącleci, niezmienni, równie mądrzy i równie straszni co zawsze.

Czekali, gotowi, aby walczyć ze Złem i jego pomocnikami.

I wygrywać.

# Jacek Skowroński

## PRZELOTKA

Sączyłam zimne piwo w kawiarnianym ogródku. Lubiłam tam przysiąść, bo mieli długie, solidne, drewniane stoły, a nie rachityczne stoliczki, kiwające się przy lada dotknięciu. Chodnikiem ciągnął anonimowy tłumek, ktoś czasem odwrócił głowę, jakby z żalem, że nie może się dosiąść, ktoś inny dawał się skusić pragnieniu.

Albo zwyczajnie nie miał co zrobić z resztą dnia.

– Można? – jakiś kobiecy spytał niepotrzebnie, bo ława po drugiej stronie była pusta.

Mruknęłam bez entuzjazmu i sięgnęłam po papierosa. Przy końcu stołu usiedli jacyś mężczyźni w marynarkach. Na szczęście nie pytali o pozwolenie.

– Boże, co za upał.

Babka, na oko w moim wieku, nieźle ubrana, wypowiedziała słowa w przestrzeń, więc nie reagowałam. Poza tym moja szklanka była prawie pusta, a nie zamierzałam zamawiać następnej kolejki.

Kelner lawirował między stołami, z tacy znikwały wysokie szklanki, aż zostały tylko dwie. Jedną postawił przed kobietą, drugą obok mojej. Otworzyłam usta, lecz nie zdążyłam niczego powiedzieć.

– Witaj, dawno się nie widziałyśmy – tym razem na pewno mówiła do mnie. – Co za traf, że cię zauważyłam.

Nie byłam pewna, czy warto odnawiać znajomość nawiązaną, zapewne przelotnie, wieki temu. Pienisty trunek w oszronionej szklance przeważał.

– Dawno...?

Podsunęłam jej swoje czerwone marlboro, lecz pokręciła przecząco głową. Wyjęła paczkę tytoniu i bibułki. Nie patrząc, skręciła całkiem zgrabnego szluga. Mnie ta sztuka nie udawała się nawet w połowie tak dobrze.

– Nauczyłam się w więzieniu – musiała zauważyć mój wzrok – tam jest mnóstwo czasu. Można się wiele nauczyć. Przede wszystkim cierpliwości.

Wreszcie ją poznałam. Zmieniła się, twarz jej wyszczuplała, rysy nabrały ostrości. Była kiedyś płótką w narkotykowym gangu, choć mówiło się, że jest maskotką samego szefa. Nazywali ją Przelotka. Nietrudno zgadnąć dlaczego.

– Właściwie jestem ci nawet wdzięczna, że mnie wtedy zgarnęłaś. – Wypiła duszkiem pół szklanki i odetchnęła głęboko. – Nie wierzysz?

Nie wierzyłam. Ale ona nie oczekiwała odpowiedzi. Znała ją.

– Zrobiłam tylko to, co do mnie należało. Nie ja, to by cię dopadł ktoś inny. Związki z mafią nigdy nie kończą się dobrze.

– Miałam narzeczonego – podjęła, jakby mnie nie słyszała. – Już była ustalona data ślubu, goście i cała reszta. W kryminale nie odwiedził mnie ani razu, zaćpał się na śmierć, kiedy siedziałam. Za to też ci jestem wdzięczna. Przynajmniej nie zostałam wdową.

Nagle jej twarz wypogodniała. Stuknęła swoją szklanką w brzeg mojej.



– Niech się pani detektyw rozchmurzy! Naprawdę, gdyby nie ty, byłabym dziś w zupełnie innym miejscu. – Zmrużyła oczy. – I pewnie nie ja jedna, choć myślę, że niewielu to docenia.

Utkwiłam wzrok w swoim piwie, z którego nie upiłam nawet łyeczka. Uniosła szklankę i mrugnęła łobuzersko.

– Za tych, co garują. Do dna! Kto przegra, stawia kolejkę.

Popatrzyłam na nią, myśląc, że niektórzy nigdy się nie zmieniają. Może to i lepiej. Trzej faceci z końca stołu przyglądali nam się z wyraźnym zainteresowaniem. A pieprzyć! Zachichotałam i złapałam swoje piwo. Miała fory, ale nie poddam się bez walki!

Pozwoliła mi dobrnąć do połowy, pokazała język i gdy brakowało mi już tchu, paroma łykami opróżniła szklankę. Zawołałam kelnera. Przy następnym browarze pogadałyśmy sobie jak kobieta z kobietą, o wszystkim i o niczym. Odnosiłam wrażenie, że pragnie zapomnieć o przeszłości. I chyba jej się udawało. Chciałam zamówić jeszcze kolejkę, ale zerknęła na zegarek i powstrzymała mnie.

– Dla mnie wystarczy, jestem umówiona. Bywasz tu często? Wpadnę jeszcze dokończyć pogaduchy. – Wstała i poprawiła krótką, obcisłą spódnicę. – Kurczę, byłabym zapomniała, jestem ci coś winna!

– Daj spokój...

– Wiem, co mówię – nie dała mi dokończyć – dużo ci zawdzięczam. Igor!

Mężczyźni w marynarkach podeszli w milczeniu. Przyglądałam im się ciekawie. Dobrze zbudowani, całkiem przystojni. Zdaje się, że Przelotka spadła na cztery łapy.

– Igor, odwiezicie panią z honorami. – Mrugnęła do mnie szelmowsko i zrobiła tak komiczną minę, że omal nie parsknęłam śmiechem. Rozejrzała się bystro. – Przedtem zafundujemy coś wszystkim. Takie spotkanie trzeba uczcić!

– Naprawdę nie musisz...

– Zostaw to mnie. Igor, dla pani... – Zerknęła do kawiarnianego menu i przejechała zmysłowo końcem języka po ustach. – Sto pasów na golasa!

Roześmiałabym się uprzejmie z kiepskiego żartu, gdyby nagle jeden z mężczyzn nie rozerwał mi brutalnie sukienki. W następnej chwili rozciągnęli mnie na stole. Usłyszałam odgłos dartego materiału, widziałam wpatrzona twarze gapiów, kiedy któryś z facetów zrywał ze mnie bieliznę. Rozległ się świst, skóra na pośladkach zapiekła żywym ogniem. Chwyciłam dłońmi krawędź stołu, łamiąc sobie paznokcie. Wrzeszczałam i szarpałam się rozpaczliwie, a ona patrzyła, ani na moment nie odwróciła wzroku.

Przechodnie przystawali, zbierała się coraz większa widownia. Pas ciął powietrze, uderzenia brzmiały jak strzelające petardy.

Nie zemdlałam do końca, los nie oddał mi tej przysługi. Zorientowałam się, że skończyli, kiedy przestali przytrzymywać mi ręce i nogi. Wirowało mi w głowie, ból promieniował na całe ciało. Nie zostawili mi sekundy na dojsście do siebie, na wstyd i poczucie upokorzenia. Ujęli mnie pod ręce i poprowadzili w stronę samochodu. Moje pantofle zostały w kawiarnianym ogródku, bosymi stopami wyczuwałam kamyki i nierówność chodnika. Ślaniałam się, nie myślałam o tym, że powinnam się wyrwać albo krzyczeć o pomoc, brakowało mi siły. Usadzili mnie między sobą na tylnym siedzeniu i przygięli głowę do kolan. Łapałam płytkie hausty powietrza. Jazda nie

trwała długo, usłyszałam otwieranie drzwiczek i zostałam wypchnięta na zewnątrz. Upadłam na trawę, skuliłam się i zacisnęłam powieki. Trzasnęły drzwiczki, warkot silnika stawał się coraz cichszy.

Słyszałam uderzenia własnego serca, coś uwierało mnie w żebra. Przekręciłam się odrobinę, dłonią wymacałam swoją torebkę. Ostrożnie uchyliłam powieki.

Poznałam kiosk i skwerek. Dalej był parking, a za nim mój blok. Uklęłam i wstałam chwiejnie. Nie czułam się na siłach, by chować się po krzakach albo przemykać pod ścianami, więc po prostu poszłam przed siebie chodnikiem. Kroczyłam, wpatrzona w swoje stopy. Nikt mnie nie zaczepił, nie zapytał, czemu wracam do domu kompletnie goła. Moja klatka... pierwsze piętro... drugie... co to za odgłos, na górze? Nie, kroki dochodzą z dołu... pospiesz się, kobieto!

Zamknęłam za sobą drzwi na wszystkie zamki i poszłam do kuchni. W lodówce był dżin. Nie cierpię dżinu, zawsze go rozcieńczam tonikiem.

Ale nie tym razem. Nalałam do szklanki po brzegi i uniosłam szkło. Jakiś szelest zmroził mi krew, zaczęłam się odwracać, lecz było za późno. Sękaty dłoń ścisnęła moją szyję, odbierając oddech, upadłam na podłogę. Za plecami usłyszałam świst pasa...

\* \* \*

Szarpnęłam się dziko i otworzyłam oczy. Na dworze szarówka, wyświetlacz budzika wskazywał, że nie ma jeszcze piątej. Podciągnęłam kołdrę pod brodę, mimo że ociekałam potem. Boże, co za paskudny sen! Bycie prywatnym detektywem ma swoją cenę, najgorsze nie są wcale stres i oczekiwanie, kiedy jakiś bandzior okaże się szybszy. W miarę gdy rośnie liczba ludzi, którym zafundowało się wczasy na koszt państwa, coraz trudniej nie myśleć, że kiedyś przyjdzie za to zapłacić. Bo oni nie zapominają i mają czas. Więc sny powracały, a wraz z nimi upiory.

Zwłaszcza gdy wieczorem dżinu było za dużo.

Wysunęłam się spod kołdry i poczłapałam do kuchni. Wyjęłam z lodówki piwo, zerwałam kartkę z kalendarza. Dwie czarne cyferki nie miały zwykle większego znaczenia. Ale nie te dwie.

Ubrałam się i zeszłam do samochodu. Na siedzeniu pasażera położyłam butelkę. Nie przeszkadzała w zrobieniu tego, o czym nikt nie miał prawa wiedzieć. A miałam nadzieję, że pomoże.

Po dwóch godzinach zaparkowałam przy nadmorskiej promenadzie. Pantofle zostawiłam w samochodzie, do kieszeni sukienki schowałam fajki i z butelką w ręku zeszłam drewnianymi schodkami na plażę. Nie obchodziło mnie, co pomyślą nieliczni jeszcze o tej porze ludzie. Ich świat nie był moim. A mnie, tego jednego dnia, wolno było wszystko. Sama tak postanowiłam. Siebie się nie oszukuje, przynajmniej niezbyt często.

Szłam wolno brzegiem morza, pienne fale gasły u mych stóp, mocząc skraj sukienki. Ludzi było coraz mniej. Spacerowicze mijali mnie, ich sylwetki malały, zamieniając się w nieokreślone punkty. Czasem zerkałam do tyłu, jeden z punkcików długo trzymał się w równej odległości, wreszcie zaczął rosnać. Zapaliłam papierosa i poszukałam bursztynów wśród wyrzuconych na brzeg muszelek. Po chwili miałam w

dłoni kilka żółtozłoty okrucioń. W butelce zostało wódkę na kilka solidnych łyków. Wrzuciłam do środka bursztyny, zakręciłam i potrząsnęłam. Tymczasem odległy punkt przybrał ludzką postać.

– Ma pan może zapaliki? – spytałam, kiedy młody mężczyzna zrównał się ze mną. Był w koszuli z guzikami i szortach, na łydce miał wytatuowaną mewę zrywającą się do lotu.

Przesunął po mnie wzrokiem w sposób, który odczułam niemal fizycznie. Motyle w brzuchu rozpostarły niepewnie skrzydełka.

– Proszę – wręczył mi pudełeczko. – Zostawić pani?

Motyle zatrzepotały skrzydełkami.

– Nie. Przecież będzie pan tędy wracał.

Rzuciłam butelką w morze. Zniknęła na chwilę i wypłynęła, kołysząc się jak szklana boja. Nie całkiem pewnym krokiem oddaliłam się w stronę wydm. Mężczyźni nie lubią pijanych kobiet. Przynajmniej, gdy sami są trzeźwi. Usiadłam między kępami morskiej trawy. Papieros parzył mi palce, przypaliłam od niego następnego. Faceta z wytatuowaną mewą nie było już w pobliżu. Rozebrałam się do naga i poszłam w kierunku wody.

Popłynęłam przed siebie. Pomyślałam, że gdybym zaczęła tonąć, nikt nie usłyszałby krzyku zagubionego w szumie załamujących się fal. Kilka mew krzyczało nad moją głową, pewnie spłoszyła im ryby. Obróciłam się na plecy i, wpatrzona w błękit nieba, pozwoliłam unosić się morzu, długo, aż poczułam piętami piasek.

Mężczyzna stał na brzegu, trzymając moją butelkę. Przekręciłam się na brzuch, czując łaskotanie morskiej piany na plecach. Nie powinnam tak prowokować losu. Ale tylu rzeczy nie powinnam robić...

Szedł w moją stronę, nie zważając na fale szarpiące go za nogawki spodni. Przyglądał mi się śmiało z wyzywającym półśmiechem. Ściągnął koszulę, pozwalając jej upaść do wody. Wstałam i przylgnęłam do niego całym ciałem. Nie powiedział słowa, jego dłonie mówiły wystarczająco wiele. Sama rozpięłam mu spodnie, żeby nie musiał odrywać rąk od mego ciała. Błysk słońca zatańczył w porzuconej na brzegu butelce, gdy straciliśmy równowagę. Mewy przyglądały się z góry, wydając skrzekliwe okrzyki.

Leżeliśmy na plecach, gorący piasek parzył w skórę.

Wyjął papierosy i uniósł butelkę pytającym gestem. Nie poruszyłam się. Odkręcił i przytknął szyjkę do ust. Zapalił, znów się napił. I nie zamierzał odchodzić.

Wyjęłam mu z ust papierosa, wstałam i powoli przeszłam się w stronę morza. Gdy odwróciłam się, uniósł głowę, przesunął spojrzeniem po moich piersiach i niżej, choć wolałabym, aby patrzył mi w oczy...

Potrząsnął głową, jakby nagle alkohol przejął władzę nad jego ciałem. Z rozmachem usiadł na piasku.

– Miałam przyjaciółkę ze szkolnej ławki... – Zaczęłam iść w jego kierunku. – Lubiła wódkę i samotne spacerunki brzegiem morza. Nie wiem, co bardziej. Mówiłam jej, żeby uważała, ale... I kiedyś nie wróciła z kolejnego wypadu. Znaleźli ją nieprzytomną na plaży, ze śladami pobicia i gwałtu. Byłam przy niej do końca. Na chwilę odzyskała świadomość, opisała mi drania, który ją napadł. I powiedziała, że na łydce miał wytatuowaną mewę. To bardzo rzadki motyw. Niespotykany, prawda?

- Kim... kim ty jeste...

- Jestem prywatnym detektywem – powiedziałam spokojnym tonem, nie zastanawiając się, jak dziwnie to zabrzmiało, gdy stałam przed nim kompletnie naga.

- Co mi... – spojrzał na butelkę, z której wylewałam na piasek resztę płynu.

- Nigdy nie przekazałam policji rysopisu. Nawet, gdyby cię znaleźli, musieliby wypuścić z braku dowodów. Badanie DNA na nic, bo byś twierdził, że sama ci się oddała, a po wszystkim gdzieś poszła. Brak świadków... Jak dzisiaj.

Oddychał spazmatycznie, jego spojrzenie już mętniało.

- Za... zabierz mnie... wezwij pomoc!

- Za późno.

Odwróciłam się i poszłam na wydmy. Nim założyłam sukienkę, przekreśliłam głowę w bok, tak daleko, jak tylko mogłam i przyjrzałam się swym poślądkom. Sine pręgi i otarcia od pasa wyglądały okropnie. I bolały przy każdym kroku, nie dając o sobie zapomnieć. Ale ból minie, ślady w końcu znikną. Będę mogła pracować, wmawiając sobie, że to był jeszcze jeden zły sen.

Póki ktoś nie postanowi odwdzińczyć mi się za sprowadzenie ze złej drogi czymś więcej niż setką pasów na gołą dupę.

# Konrad Staszewski

## BILET W JEDNĄ STRONĘ

Pociąg już hamował. Spojrzałem na zegarek i upewniłem się, że przyjechał o czasie. Była szóstka cztery. Punktualnie co do minuty. Już mnie to nie dziwiło. Odkąd połączenia między Sosnowcem a dawnym Stalinogrodem przejęła spółka Koleje Śląskie, podróż była przyjemnością. Tym bardziej że teraz jeździło się „FLIRT-ami”. Co prawda nie wiem, skąd taka głupia nazwa, bo pojazd bez przedziałów raczej nie zapewnia intymności, tylko zachęca do seksu grupowego, ale niech będzie. Przecież w piątek trzynastego wszystko jest możliwe. Nawet przygoda z piękną, złotowłosą konduktorką. Przynajmniej taki miałem sen i wysiadając na nowym dworcu głównym w Katowicach, uśmiechałem się do własnych myśli.

Czekała mnie przesiadka. Spojrzałem na oznaczenie. Peron trzeci, tor pierwszy. Od kolejnego pociągu dzieliło mnie czternaście minut. Bilet miałem i nie musiałem się o nic martwić. Poszedłem na peron i zacząłem się przyglądać innym podróżnym. Szczególnie zainteresowała mnie pewna szatynka średniego wzrostu. Przeszępowwała z nogi na nogę i paliła papierosa. Co chwilę zerkała na zegarek. Miała około dwudziestu lat. Patrzyłem na nią jak urzeczony i straciłem rachubę czasu. Chyba wyczuła moje zainteresowanie, bo spojrzała na mnie niby przelotnie, ale widziałem, że wzięła dość dobrą miarę. Ja zresztą uczyniłem podobnie. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, pomyślałem, że mogłaby jechać tam, gdzie ja. Do pracy przecież mogłem się spóźnić raz na jakiś czas.

Oprzytomniałem, gdy otworzyły się drzwi i z niemałym zdziwieniem zobaczyłem, że dziewczyna wsiada do pociągu do Raciborza. Umyślnie wszedłem tymi samymi drzwiami. Środek lokomotywy został wcześniej podstawiony, toteż nie było w nim dużo wolnych miejsc. Postanowiłem jednak usiąść jak najbliżej mojego obiektu. Gdy już ułożyłem się wygodnie, wyjąłem z aktówki *Muchę* i twardo postanowiłem oddać się lekturze. Nieraz przekonałem się, że mam w miarę podzielną uwagę, więc byłem pewien, iż nie umknie mi moment zniknięcia dziewczyny. Sam nie wiem, co mnie w niej zaintrygowało, ale miałem niejasne przeczucie, że coś się stanie.

Zerkałem na nią co jakiś czas i muszę przyznać, że choć Skowroński zawsze umiał zaciekać mnie fabułą, tym razem nie potrafiłem się skupić. Nie bez satysfakcji zarejestrowałem, iż obiekt mojego zainteresowania nie pozostaje mi dłużny i także na mnie zerka. Odniosłem nawet wrażenie, że dziewczyna otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale się nagle rozmyśliła. W tej samej chwili pociąg zaczął hamować. Dojeżdżaliśmy do Piotrowic. Dziewczyna wyjrzała przez szybę, a potem ponownie na mnie spojrzała. Wstała i skierowała się do drzwi, a ja śledziłem wzrokiem jej smukłą kibić. Na szczęście siedziałem przy oknie i gdy wysiadła, mogłem ją spokojnie obserwować.

Na peronie czekał na nią jakiś średniego wzrostu, barczysty goguś. Nie widziałem jego twarzy, bo gdy minęły powitalne pocałunki, ustawili się w ten sposób, że miałem widok tylko na jego plecy. Nie słyszałem też, co mówili, jednak zdawało mi

się, że ich czułe spotkanie powoli zmieniało się w kłótnię. Szybko przestało mnie to interesować. Dość mam własnych codziennych nerwów, żeby być świadkiem cudzych.

Odwróciłem się od szyby i zauważyłem na siedzeniu jakąś karteczkę. Lekko zdziwiony i zaintrygowany podniosłem ją z miejsca, na którym siedziała szatynka. Zastanawiałem się, dlaczego tylko ja ją dostrzegłem. Nie zarejestrowałem, żeby dziewczyna cokolwiek pisała, ale to było możliwe, bo *Mucha* porwała mnie na pięć stron. Podniosłem kawałek złożonej na pół karteczki i to, co przeczytałem, zmroziło mi krew w żyłach. Pociąg już ruszał. Odwróciłem się i podbiegłem do drzwi, żeby spojrzeć na peron. Zobaczyłem wpatrujące się we mnie szeroko otwarte, przerażone oczy. Błagały o pomoc. Dziewczyna chyba krzyczała. Tak mi się wydawało, ale nie byłem pewien, bo zasłaniający ją mężczyzna przywarł ustami do jej warg. W tym momencie pociąg przyśpieszył. Nie zastanawiając się ani chwili, puściłem się pędem na tył pojazdu. Na szczęście większość pasażerów siedziała. Po drodze popchnąłem kilku zmierzających na czoło pojazdu. Pewnie chcieli kupić bilety. Nie zważałem na ich złorzeczenia. Jediną moją odpowiedzią było suche: „Spierdalać!”.

Gdy dobiegłem do końca, zobaczyłem tylko leżące w oddali na peronie ciało. Błyskawicznie złapałem hamulec ręczny i pociągnąłem z całej siły. Zanim pociąg się zatrzymał, dopadł mnie jeden z potrąconych ludzi. Złapał mnie od tyłu i zaczął dusić. Z całej siły nadepnałem mu na stopę. Miałem glany, więc dobrze to poczuł. Jęknął, a ja uderzyłem go tyłem głowy. Odwróciłem się i zobaczyłem, że złapał się za krwawiący nos. Wrzeszczał z bólu jak opętany. Zerknąłem na pozostałych pasażerów. Stali w bezpiecznej odległości. Mały, może siedmioletni blondynek pokazał mi palcem, uśmiechnął się i zaczął klaskać. Machinalnie odpowiedziałem uśmiechem, ale myślami byłem zupełnie gdzieś indziej. Wyjąłem z kieszeni telefon i zadzwoniłem na policję. Z doświadczenia wiedziałem, że szybciej połączę się przez numer 997 niż 112. Nie pomyliłem się. Odebrał oficer dyżurny. Zanim powiedziałem mu, w jakiej sprawie dzwonię, kim i gdzie jestem, oraz zanim usłyszałem, że wyśle kogoś do sprawdzenia mojej informacji, przybiegł konduktor. Był wściekły. Groził mi wezwaniem odpowiednich służb, na co odparłem, że właśnie z nimi rozmawiam, i wróciłem do mojego rozmówcy. Konduktor uspokoił się na chwilę, ale gdy usłyszał słowo „morderstwo”, znów zaczął się denerwować. Chyba wreszcie dotarło do niego znaczenie tego, co się stało. Nagle pojawiło się mnóstwo pytań, jakaś nastolatka zaczęła krzyczeć i piszczeć na przemian. Widziałem, jak traci przytomność. Na szczęście ktoś ją podtrzymał i nie upadła.

Nie miałem ochoty odpowiadać na żadne pytania. Popatrzyłem tylko na moich współpasażerów. Ze zgrozą zauważyłem, iż zachowują się tak, jakby albo nic nie widzieli, albo nie chcieli widzieć. Przymknąłem na sekundę oczy i odwróciłem od nich głowę. Gdy je otworzyłem, patrzyłem w dal, na odległy peron, który – jak się domyślałem – był ostatnią stacją dla młodej dziewczyny, o której problemie zapewne nikt nie wiedział. Nikt oprócz mnie i osoby, która była odpowiedzialna za to, co się stało.

– Proszę pana...

Odwróciłem się zaskoczony i spojrzałem w dół. Przede mną stał blondynek. W wyciągniętej dłoni trzymał złożoną na pół karteczkę. Nie uśmiechał się. Jego twarz

wydawała się zbyt poważna jak na jego młody wiek. Oprócz nas nikogo w pobliżu nie było. Pasażerowie poszli pewnie do konduktora, by zapytać, co mają robić. Wiedziałem, jaką usłyszą odpowiedź. Wszyscy musieli czekać na przyjazd policji i przygotować się na kilka pytań. Ja także.

– Upuścił pan.

– Dziękuję. – Wziąłem kartkę i schowałem do kieszeni.

– Mogę poczekać z panem na przyjazd suk?

– Nieładnie obrażać policjantów. Uciekaj do rodziców.

– Zachowuje się pan zupełnie jak mój ojciec. – Chłopiec odwrócił się i z dumnie podniesioną głową skierował się na początek składu.

– Cieszę się. Pozdrów go ode mnie.

– On nie żyje! – odkrzyknął.

Pięknie, pomyślałem. Co ja tu robię? Powinienem być już w pracy. Dzwonić do klientów i wysyłać oferty albo być na peronie i przyglądać się zwłokom. Cykać zdjęcia lub pisać opowiadanie. Robić cokolwiek, ale na pewno nie stać biernie w pieprzonym pociągu. Nie miałem, niestety, innego wyjścia. Musiałem zająć czymś myśli. Wróciłem na swoje miejsce. Książka leżała nieruszona.

Przeczytałem niecałe sto stron i chyba się zdrzemnąłem, bo nie zauważyłem, kiedy wsiadła. Ocknąłem się, gdy poczułem szturchnięcie. Podniosłem wzrok i zobaczyłem przed sobą policjantkę, na oko czterdziestoletnią, ale byłem przekonany, że jest starsza, tylko dobrze zakonserwowana. Obok niej stał konduktor i wskazywał mi palcem. Chyba on mnie obudził.

– To pan dzwonił?

– Tak.

– Podkomisarz Karolina Żabicka – to mówiąc, machnęła mi przed oczami legitymacją. – Muszę zadać panu kilka pytań.

Odetchnąłem głęboko.

– A pan niech wraca do pasażerów. Moi koledzy powiedzą panu, co robić.

Konduktor odszedł bez słowa w stronę lokomotywy.

– Proszę wstać. Muszę pana przeszukać.

Gdy skończyła mnie obmacywać, usiadła obok i wyjęła notes.

– Na początek standardowe pytania. Imię, nazwisko, data urodzenia, adres zamieszkania, zawód. I proszę pokazać mi swoje dokumenty.

– Marcin Drapaka, pierwszy styczeń tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty. Nie mam zawodu. Jestem po ogólniaku.

– Pracuje pan?

– Tak, jestem telemarketerem.

Wyjąłem z kieszeni dowód osobisty i jej podałem. Oderwała na chwilę wzrok od notesu i spojrzała na mnie uważnie. Miała czekoladowe oczy, które dość wyraźnie kontrastowały z jasną karnacją i krótkimi rudymi włosami. Nagle zrobiło mi się gorąco. Wiedziałem, że kobieta prześwietla mnie niczym rentgen.

– Gdzie?

– W *Życiu ze smakiem* w Mikołowie.

– Sprawdzimy. To chyba niewdzięczna praca? – Ponieważ nie odpowiedziałem, zadała kolejne pytanie. – Jak długo pan tam pracuje?

- Dwa lata.
- Podoba się panu ta praca?
- Rynek jest, jaki jest. Nie mam dużego wyboru.
- Nie o to zapytałam.

Żabicka najwyraźniej czekała na moją odpowiedź.

- Nie narzekam.

Spisała dane i oddała mi dowód. Ponownie pochyliła się nad notesem.

- Gdzie pan teraz jedzie?

- Do pracy.
- Gdzie pan wsiadł?
- W Katowicach.

- Proszę pokazać bilet.

Wyjąłem z kieszeni zmięty kawałek. Przy okazji wypadła mi tajemnicza kartka. Nim zdążyłem ją schować, policjantka schyliła się i ją podniosła, rozłożyła i uważnie przeczytała treść. Widziałem, jak jej oczy stały się okrągłe. Spojrzała na mnie i zmrużyła powieki.

- To pana?

- Nie.

- A skąd pan to ma?

- Znalazłem na siedzeniu, na którym wcześniej siedziała... - Zabrakło mi słowa, ale podkomisarz przysłała mi z pomocą.

- Marzena Lasota. Znał ją pan?

- Nie.

- Wie pan, co to za lista?

Zaprzeciłem ruchem głowy. Żabicka znowu zmrużyła oczy i przez chwilę przyglądała mi się w milczeniu.

- To lista ofiar - powiedziała, wyraźnie oddzielając każde słowo. - Dziewczyna, którą pan spotkał, jest na ostatniej pozycji.

Nie skomentowałem tej rewelacji. Domyśliłem się tego, gdy tylko zapoznałem się z zawartością kartki, na której przy każdym nazwisku narysowano czarny krzyż. Usłyszałem dzwonek telefonu. Kobieta rozpięła kurtkę i wyjęła aparat z wewnętrznej kieszeni. Dzięki temu miałem okazję przyjrzeć się nieco fizycznym walorom pięknego stróża prawa. Co prawda pod służbową bluzą nie rysowały się miseczki D, ale na B także nie narzekałem. Poczułem, że się czerwienię na twarzy, ale nie potrafiłem oderwać wzroku. Na szczęście podkomisarz tego nie widziała.

- Żabicka. Co macie? Jesteście pewni? Okej, przyjadę. Tak, za chwilę. Właśnie wypytyuję świadka - to mówiąc, spojrzała na mnie i lekko uniosła brwi.

Uciekłem wzrokiem. Jedyne, co z siebie wykrztusiłem, to nieśmiałe „przepraszam”. Było mi gorąco i jak najszybciej chciałem odetchnąć świeżym powietrzem. Coraz bardziej żałowałem wyjścia z domu. Przecież mogłem wybrać sobie nadgodziny. Kumple nieraz mi mówili, że pracoholizm wpędzi mnie kiedyś w niezłe tarapaty.

Byłem pewny, że policjantka wścieknie się, ale pomyliłem się. Gdy ponownie na nią spojrzałem, tylko uśmiechnęła się lekko.

- Okej - powiedziała do słuchawki. - Przywiozę go, a potem zabiorę na



komisariat. Bądźcie na miejscu.

Zakończyła rozmowę i wykonała jeszcze jeden telefon, po czym schowała komórkę i wstała z siedzenia.

– Lasota nie żyje.

– Domyśliłem się i dlatego zgłosiłem zdarzenie.

– Ale domysły, a fakty to dwie różne rzeczy. Wie pan, że może być jedynym świadkiem? – Przytaknąłem, a policjantka kontynuowała: – I spał pan spokojnie z książką w dłoni?

– Nadmiar stresu czasem tak na mnie działa. Mogę odzyskać bilet?

– Dzisiaj nie będzie panu potrzebny. Proszę zadzwonić do pracy i zgłosić nieobecność. Zawiozę pana na miejsce zbrodni. Musimy mieć pewność, że leży tam ciało kobiety, którą pan widział. Idziemy.

Myślałem, że od razu wysiadziemy z pociągu, ale tak się nie stało. Poszliśmy na początek składu. Po drodze zadzwoniłem do szefa, ale nie wdawałem się w szczegóły mojej nieobecności. Poprosiłem, żeby potraktował moją nieobecność jako wybranie nadgodzin. Gdy dotarliśmy do lokomotywy, zobaczyłem, że wszyscy pasażerowie zostali zgromadzeni w czołowej części pociągu i byli przesłuchiwani przez trzech policjantów. Żabicka podeszła do jednego z nich i zamieniła z nim kilka słów. Nie słyszałem, co mówią. Zobaczyłem tylko, że funkcjonariusz spojrzał na mnie i zawiesił na chwilę wzrok, po czym kiwnął głową pani podkomisarz.

– Proszę nas wypuścić – powiedziała głośno, a konduktor bardzo skwapliwie otworzył drzwi.

Wyszliśmy z pociągu i wsiedliśmy do srebrnego lancera. Samochód nie był oznakowany. Na peronie Katowice Piotrowice stanęliśmy po kilku minutach. Przemogłem fale mdłości i podszedłem do ciała, przy którym pracowali ludzie w białych rękawiczkach. Mieli różne pincety, fiolki i woreczki. Dziewczyna została już obrysowana kredą i leżała na plecach, a wokół niej roztoczono taśmę w odległości około metra. Gdy podeszliśmy, dobrze widziałem jej przerażone spojrzenie, otwarte usta i niemy krzyk.

Nie miałem wątpliwości. Przedemną leżało ciało młodej, drobnej szatynki; dziewczyny, którą spotkałem w Katowicach, obserwowałem w pociągu (dziwnie obserwowałem, skoro nie zauważyłem, że coś pisała) i która spotkała się z tajemniczym znajomym.

– To ona – powiedziałem niepytany.

– Na pewno?

– Tak.

Gdy podeszliśmy, jeden z policjantów, za zgodą niskiego, chudego mężczyzny w okularach, odwrócił ciało na brzuch. Na plecach ofiary dostrzegłem plamę zakrzepłej krwi. Domyśliłem się, że okularnik jest jakimś lekarzem.

– Macie mi coś do powiedzenia? – Pani oficer skierowała pytanie do okularnika i zgromadzonych policjantów. Ten pierwszy skinął na nią dłonią. – Dotrzymajcie towarzystwa świadkowi – powiedziała Żabicka i razem z okularnikiem odeszła kilka kroków.

Powiodłem za nią wzrokiem i aż zaparło mi dech w piersiach. Nie sądziłem, że policjantka ma tak kuszącą pupę. Zaraz odwróciłem głowę. Nie wiedziałem, co robić.

Stałem i tępo wpatrywałem się w leżące przed moimi nogami ciało. Zdawało mi się, że nikt nie zwraca na mnie uwagi i w każdej chwili mógłbym odejść, ale wiedziałem, że to tylko złudzenie. Chociaż funkcjonariusze na mnie nie patrzyli, byłem pewny, iż nie pozwoliliby mi zniknąć.

Po kilku minutach wrócili Żabicka i okularnik. Podkomisarz miała zatroskaną minę.

– Jedziemy na komisariat. Musimy porozmawiać.

– Czy jestem podejrzany?

– Pasażerowie potwierdzili, że jechał pan pociągiem i z niego nie wysiadał. Strzał padł od tyłu, żadna szyba w pociągu nie jest strzaskana, a pan nie ma przy sobie broni. Chyba że pan strzelał, gdy drzwi były jeszcze otwarte, miał pan tłumik, a pistolet wyrzucił w krzaki, zaraz gdy pociąg ruszył. – Podkomisarz zawiesiła głos. Patrzyła mi prosto w oczy. – Każdy jest podejrzany. Jak mówią, daj mi człowieka, a znajdę ci paragraf.

Bardzo mi się to nie spodobało i poczułem, jak robi mi się gorąco. Tym bardziej że byłem niewinny. Nie chciałem zostać kozłem ofiarnym i nie chciałem być wytykany przez znajomych. Nie miałem pewności, jednak podejrzewałem, że jeśli zostanę zatrzymany, to mój pracodawca szybko zostanie o tym poinformowany. Postanowiłem w pełni współpracować z Żabicką.

– Proszę się nie denerwować, bo jeszcze mi tu pan uśnie i co wtedy? Będę miała dwa bezwładne ciała, a tego nie chcę. Idziemy do samochodu.

Podążyłem za nią jak owca prowadzona na rzeź. Wsiadliśmy do pojazdu i przez chwilę jechaliśmy w całkowitym milczeniu. Patrzyłem, jak skręcamy w Armii Krajowej i zastanawiałem się nad tym, co się dzieje i w co wpakował mnie los. Śledząc drogę, domyśliłem się, że jedziemy na Policijną. Zanim zacząłem pracować w Mikołowie, szukałem pracy w Katowicach i zniszczyłem na tym buty. Dobrze poznałem miasto i wiedziałem, że od IV Komisariatu dzieli nas niecałe pięć minut jazdy.

– Zastanawiam się, kto napisał tę kartkę i dlaczego Lasota wysiadła na tej akurat stacji.

Nie sądziłem, że podkomisarz ułatwi mi zadanie. Spojrzałem na nią poważnie i powiedziałem:

– Ja jej nie napisałem, a dziewczyna była z kimś umówiona.

W Żabicką jakby piorun strzelił. Zahamowała z piskiem opon na środku skrzyżowania z ulicą Aleksandra Fredry.

– Co?!

– Ktoś na nią czekał. Jakiś mężczyzna. Nie mogę określić wieku, bo stał do mnie tyłem. Chyba był młody. Chwilę rozmawiali, a potem chyba zaczęli się kłócić.

– I to on ją zastrzelił?

Usłyszeliśmy dźwięk klaksonu, ale nie zareagowaliśmy.

– Nie widziałem broni. Nie słyszałem też strzału. Ten ktoś był krótko obcięty, średniego wzrostu i barczysty. Widziałem, że ją trzymał i na siłę całował, a ona miała szeroko otwarte, przerażone oczy. Potem zobaczyłem tylko jej leżące ciało.

– Słyszał pan strzał?

– Powiedziałem, że nie.

Ponownie rozległ się dźwięk klaksonu. Żabicka spojrzała w lusterko, a ja obejrzałem się przez ramię. Za nami stał złoty nissan. Ktoś z niego wysiadał.

– Coś jeszcze?

– Facet był ubrany w płaszcz. Tylko tyle zapamiętałem.

Ktoś zastukał szybę od strony kierowcy. Podkomisarz ją uchyliła. Była zdenerwowana.

– Tu się nie stoi, suko. A ty, jak chcesz loda, to idź do burdelu – rzucił kierowca nissana w moim kierunku. – Znajdą tam pewnie kogoś dla ciebie. – Mówiąc to, mężczyzna położył dłoń na szybie. Nim zdążyłem zareagować, Żabicka podniosła ją i z całej siły przytrzasnęła mu palce. Facet zawył z bólu i gdy uwolnił rękę, sięgnął drugą za plecy. Żabicka wyrwała broń z kabury, energicznie otworzyła drzwi i trzasnęła nimi napastnika. Wsiadła z pojazdu. W jednej dłoni trzymała glocka, a w drugiej służbową legitymację. Mężczyzna leżał na ulicy i zwijał się z bólu. Wokół lancera zgromadzili się gapie. Kilku z nich coś mówiło, a jeden robił zdjęcia. Ja także byłem pod wrażeniem.

Żabicka wykonała dwa telefony. Jeden na pogotowie, a drugi na komisariat. Oprócz wezwania kolegów, kazała wysłać na miejsce morderstwa kogoś z psem. Po minucie przyjechała policyjna kia i wysiadło z niej dwóch policjantów. Podkomisarz zdała im relację i wsiadła do samochodu.

– Szuja – powiedziała. Nie zapytałem, kogo miała na myśli.

Resztę drogi spędziliśmy w milczeniu.

\* \* \*

Nie marzyło mi się spędzenie na komisariacie całego dnia. Wzdrygnąłem się na samą myśl o tym, gdy zajeżdżaliśmy na tył dwupiętrowego budynku z okratowanymi oknami na parterze. Nawet nie musiałem wysiadać z samochodu, by wiedzieć, że trzeba jak najszybciej dać drapaką.

Odetchnąłem z ulgą i uśmiechnąłem się, gdy protokolant podał mi zapisany papier. Przeczytałem go bardzo uważnie. Zapisane zostało każde moje słowo, nawet przecinkowe „y” się w nim znalazły. Żabicka przystanęła przy biurku i podała mi długopis, po czym ponownie zaczęła krążyć po pokoju. Gdy podpisałem protokół, zauważyłem, że pomieszczenie nie jest wcale ponure i nie sprawia wrażenia smutnego. Było jasne, czyste, a meble kołysły nerwy delikatnym kolorem i zapachem sosny.

– Cieszę się, że mamy to już za sobą.

– Ja też. – Podkomisarz stanęła przy drzwiach i odwróciła się w moją stronę. Nie spodobało mi się jej poważne spojrzenie. – Ale to jeszcze nie koniec. – Otworzyłem usta ze zdziwienia, jednak nie zdążyłem się odezwać. – Nie widział pan, niestety, twarzy mężczyzny na peronie i nie możemy sporządzić portretu pamięciowego, ale jest pan jedynym świadkiem. Chcę, żeby pan wiedział, iż o nic pana nie oskarżamy, ale podejrzany jest każdy. Będziemy się z panem kontaktować. Teraz jest pan wolny. – Odniosłem wrażenie, że coś ważnego ukrywała, ale nie pytałem. Dziwiłem się, że zadała tak mało pytań dotyczących tajemniczej listy.

– Do widzenia.

Nie czekałem na odpowiedź. Wyszedłem z pomieszczenia szybkim krokiem, minąłem siedzącego w dyżurce policjanta i wydostałem się wreszcie na świeże powietrze. Oparłem się o drewnianą barierkę. Przez chwilę starałem się ustabilizować oddech. Potem spacerkiem wróciłem na peron. Nie zastanawiałem się, co robię. Zorientowałem się, gdy na nim stanąłem. Morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni. Nie wiem, kto to pierwszy powiedział, ale ja byłem wyjątkiem od reguły. Wyjątki potwierdzają reguły? Nie, jak mawiał Holmes: wyjątki przeczą regule. Nie wiem, na co liczyłem, bo na pewno nie na to, że wsiądę do pociągu i znajdę w nim moją książkę. Pogodziłem się już z tą stratą. Tym bardziej zaskoczył mnie widok chłopca spacerującego po peronie z młodą pięknoscą. Szerokim łukiem omijali ogrodzone policyjną taśmą i obrysowane na ziemi miejsce. Oprócz nich nikogo nie widziałem. Słońce było w zenicie i raziło mnie w oczy. Przysłoniłem je dłonią. Dopiero gdy chłopiec stanął przede mną, poznałem go. On zrobił to dużo wcześniej. Podbiegł do mnie, gdy tylko stanąłem na peronie. Wyrwał się blondynce, a ona nie potrafiła go zatrzymać.

– Czekałem na pana.

– Ile masz lat? – zapytałem.

– Siedem.

Chłopiec, w przeciwieństwie do mnie, był bardzo podekscytowany. Ja – zmęczony. Nie wiedziałem, jak się zachować. Nie miałem żadnego doświadczenia w rozmowach z dziećmi. Ukucnąłem przy nim w ten sposób, żeby choć trochę zasłonić miejsce zbrodni.

– Nie powinieneś tego robić. To może być niebezpieczne. Dlaczego na mnie czekałeś?

– Koniecznie chciał to panu oddać. Zostawił ją pan w pociągu.

Podniosłem lekko głowę, usłyszawszy słodki głos przypominający śpiew słowika. Mój wzrok zatrzymał się na wysokiej, dwudziestokilkuletniej blondynce. Miała lekko pociągłą twarz, delikatne usta i migdałowe oczy. Zauważyłem podobieństwo między nią a chłopcem. W wyciągniętej dłoni trzymała *Muchę*. Podniosłem się z kucek i pogłaskałem chłopca po rozwianych włosach.

– Dziękuję – wyciągnąłem rękę po moją własność i niechcący dotknąłem dłoni kobiety. Była gładka i aksamitna. Miałem wrażenie, jakbym dotknął jedwabiu. Szybko cofnąłem rękę. – Przepraszam. Nie powinniście na mnie czekać. Może się okazać, że to ja jestem mordercą. Niemniej ma pani odważnego brata.

Moje stwierdzenie spotkało się z dźwięcznym śmiechem. Byłem zaskoczony.

– Ludwiś jest zodiakalnym Rakiem. Nieważne, jak długo bym mu tłumaczyła i jak mocno trzymała, i tak robi na przekór. Poza tym to mój syn.

– Syn?

– Tak.

– Aha. – Tylko na tyle było mnie stać. Sytuacja stawała się coraz bardziej krępująca. Postanowiłem jak najszybciej dać drapak. – Nie powinien być teraz w szkole?

– Jestem przesadna. W piątki trzynastego piszę mu usprawiedliwienie.

Uratował mnie nieoczekiwany dzwonek telefonu. Przeprosiłem blondynkę i sięgnąłem do kieszeni po smartfona. Odszedłem kilka kroków i mówiłem

przyciszonym głosem:

– Marcin Drapaka. A, cześć. No, wczoraj. Tak, wysłałem im wszystko na maila. Dostali ofertę i miałem się z nimi dzisiaj skontaktować. Zadzwońię do nich w poniedziałek. Tak, będę. Dzięki, cześć.

Rozłączyłem się i wróciłem do kobiety i jej synka. Wyciągnąłem dłoń na pożegnanie.

– Bardzo mi było miło panią poznać. Przepraszam, ale muszę lecieć. – Uścisnąłem delikatnie jej dłoń i pogłaskałem malca po czuprynie. – Bądź grzeczny i dzięki.

– Narzeczona? – zapytał.

Nie odpowiedziałem. Odwróciłem się i pobiegłem w stronę najbliższego przystanku autobusowego.

Zanim wróciłem do domu, skoczyłem na jednego do znajomego lokalu. I zamiast na jednym, skończyłem na pięciu browcach. Gdy dotarłem na Narutowicza, była siedemnasta. Wdrapałem się na drugie piętro i oparłem o drzwi mieszkania. W duchu dziękowałem Bogu, że nikt znajomy mnie nie widział. Gdy tylko zamknąłem drzwi od wewnątrz i dotarłem do pokoju, walnąłem się na kanapę. Nie byłem nawet w stanie zdjąć butów.

Obudziłem się z kacem, burczącym brzuchem i bólem głowy. Wszedłem do łazienki, zapaliłem światło i opłukałem twarz zimną wodą. Nie pomogło. Z lustra patrzyły na mnie przekrwione, opuchnięte oczy rozczochranego mężczyzny o odstających uszach, krzywym nosie i lekko przetłuszczonych włosach. Dowlokłem się do kuchni. Nie miałem ochoty na porządny obiad, więc wyjąłem z lodówki szynkę i zrobiłem talerz kanapek. To uspokoiło nieco mojego tasiemca. Sprawdziłem także, że lekko podgrzane mleko sprawia cuda. Wszedłem na balkon i posiedziałem na nim kilka minut, po czym pędem pobiegłem do toalety. Tego, niestety, nie przewidziałem. Kolejnym napojem była mięta.

Włączyłem laptopa i zerknąłem na program telewizyjny kilku stacji. Co prawda rano miałem zupełnie inne plany na wieczór, ale ostatnie wydarzenia sprawiły, że zamiast pisać opowiadanie, postanowiłem coś obejrzeć. Doszedłem do wniosku, że serial kryminalny będzie odpowiednim ukoronowaniem dnia. Może nawet mnie zainspiruje do ciekawej fabuły? Aby opisać zabójstwo szatynki, miałem, niestety, za mało danych i wiązało się z nim za dużo spekulacji. Opowiadanie mogło, co prawda, być luźno oparte na faktach i każdego mogłem uczynić mordercą, ale obawiałem się rezultatów mojej publikacji. Dwa odcinki piątego sezonu *Kości* sprawiły, że chociaż na chwilę zniknęła mi przed oczu twarz ofiary i zastąpiła ją Emily Deschanel. Później miałem jeszcze trzy godziny do nowego odcinka *Na granicy*, ale nie wytrzymałem i zasnąłem na kanapie.

Obudziłem się grubo po północy i byłem cały spocony. Śniła mi się spotkana w pociągu dziewczyna. Mówiła, a w zasadzie krzyczała do mnie. Wiedziałem, że za chwilę coś się jej stanie. Próbowałem do niej podejść, ale cały czas się ode mnie oddalała. W pewnej chwili wskazała na mnie palcem i zaczęła się histerycznie śmiać. Wyciągnąłem do niej rękę i zauważyłem, że mam na nich krew. Po chwili zacząłem tonąć w kałuży posoki i nie mogłem złapać powietrza.

Zerwałem się z kanapy i wylądowałem na panelach. Zakląłem. Podniosłem się i potarłem obolałe ramię. Wyłączyłem telewizor, wykąpałem się i położyłem do łóżka

jak człowiek. Wiedziałem, że długo nie zasnę i postanowiłem wrócić do lektury. Zapaliłem lampkę nocną, wyjąłem spod łóżka książkę i otworzyłem. Krzyknąłem, gdy na pierwszej stronie zobaczyłem zapisany numer telefonu i zaproszenie na kolację. Podano adres. Termin: najbliższa sobota, czyli dzisiaj. Informacja została podpisana dwoma imionami: Julia i Ludwiczek. Z początku odrzuciłem myśl o zaproszeniu, potem powiedziałem sobie, że zadzwonię i grzecznie podziękuję. Zrobię to, gdy tylko się obudzę. Ale najpierw poczytam. Przewróciłem kartkę i ponownie krzyknąłem. Znalazłem inną informację. Brzmiała następująco: ODDAJ LISTĘ I O NIC NIE PYTAJ. POTRAKTUJ TO JAK DOBRĄ RADĘ. KOLEJNA BĘDZIE GORSZA. MAM CIĘ NA OKU. Ta informacja nie została podpisana, ale już na pierwszy rzut oka widziałem, że ktoś inny był jej autorem. Do rana nie zmrużyłem oka i zastanawiałem się, czy iść na kolację, czy zawiadomić policję. Wybrałem to pierwsze. Nie wiem, może jestem przeczulony, albo za dużo razy oglądałem *Zabij mnie, glino* (film, którego akcja częściowo rozgrywa się w Sosnowcu) i *Obserwatora*, ale pomyślałem, że jestem obserwowany i pójście na komisariat lub wykonanie telefonu na policję tylko pogorszy moją sytuację. Wpadłem jednak na pewien pomysł.

O świcie wszedłem do pomieszczenia, w którym czułem się najbezpieczniej i zamknąłem drzwi. Łazienka nie miała okien i szyb, więc mógł się w niej znajdować jedynie podsłuch, ale przezornie obejrzałem całe mieszkanie i nie zauważyłem niczego podejrzanego. Wcześniej wcisnąłem w kieszeń kartkę i długopis. Gdy już byłem bezpieczny, wyjąłem je i napisałem informację, w której poinformowałem potencjalnego znalazcę, do kogo pójść na kolację, o której godzinie i gdzie. To było moje zabezpieczenie, gdyby coś mi się stało. Liścik podpisałem datą „14.09.2013r.”. Kartkę włożyłem do foliowego woreczka, który wsunąłem w szczelinę między muszlą a podłogą tak, żeby tylko milimetr wystawał. Miałem nadzieję, że znajdzie go ktoś, kto naprawdę będzie szukał i chciał rozwiązać zagadkę. Mnie ona coraz bardziej intrygowała. W mojej głowie zaświeciła się lampka detektywa-amatora.

Sobotę spędziłem tak, jakby nic się działo; starałem się być spokojny. Nie zastanawiałem się nad tym, co się stanie. Do wieczora skończyłem pisać opowiadanie fantastyczne, które miało trafić do antologii. O siedemnastej wykapałem się, ogoliłem i ubrałem w zeszłoroczny garnitur. Zadzwoniłem pod podany numer. Odebrał Ludwiczek i potwierdził spotkanie. Zadzwoniłem do kwiaciarni całodobowej i zamówiłem bukiet z dostawą. Pół godziny później wyszedłem na spotkanie przeznaczenia.

Na przystanku Sielec Wawel Kościół wsiałem w najbliższy autobus 815 i pojechałem do Katowic. O dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć odebrałem zamówione kwiaty, a punktualnie o dwudziestej pukałem do drzwi na Stawowej. Otworzyła mi Julia i przez chwilę stała zaskoczona w progu. Już miałem odwrócić się na pięcie, ale zreflektowała się i zaprosiła mnie do środka. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Znów się zaczerwieniłem.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Proszę przyjąć ten skromny bukiet (składający się z trzydziestu róż – tego oczywiście nie powiedziałem) jako zapowiedź lepszego tygodnia.

– Dziękuję, to bardzo miłe z pana strony.

– To ja nie będę przeszkadzał...

– Trafił pan na kolację. Może pan zostanie? – przerwała mi w pół zdania. W tym samym momencie w przedpokoju pojawił się sprawca całego zamieszania.

– Oczywiście, że zostanie, prawda?

Spojrzałem na chłopca z lekkim uśmiechem.

– Z chęcią, jeśli nie przeszkadzam.

I zostałem. Kolacja okazała się przepyszna. Pieczona kaczka, ziemniaki, surówka z młodej czerwonej kapusty. Do tego kompot, kawa i lody. Poczułem się w obowiązku odwdzięczyć za posiłek i, pamiętając, że mąż Julii nie żyje, zaprosiłem ją do kina. Co prawda, nie wiedziałem, co aktualnie leci, ale sprawdzenie tego nie stanowiło problemu. Umówiłem się na telefon w następną sobotę. Pożegnałem się. Wieczór okazał się przyjemny. Skierowałem się w stronę placu Piotra Skargi. Miałem stamtąd ostatni kurs D-tki.

Na Mickiewicza praworządnie zaczekałem na zielone światło. Gdy tylko się zaświeciło, wszedłem na zebra. Usłyszałem ryk silnika. Wzmagał się z siłą błyskawicy. Nie zdążyłem nawet obrócić głowy. Poczułem silne uderzenie.

\* \* \*

Z trudem otworzyłem oczy i od razu je zamknąłem. Neonowe światło na suficie raziło niemiłosiernie. Bolały mnie głowa i zebra. Spróbowałem ruszyć ręką, ale nie byłem w stanie jej podnieść. Szyję także miałem unieruchomioną. Ponownie otworzyłem oczy. Tym razem zwalczyłem ból. Ruszyłem gałkami w prawo i w lewo. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że znajduję się w szpitalu. Oprócz mnie w sali leżało jeszcze dwóch innych pacjentów. Spali. Spróbowałem jeszcze raz poruszyć ręką. Nic. Nogą – to samo. Miałem niedowład lewej połowy ciała. Na szczęście prawa wydawała się całkiem zdrowa. Ale co mi po niej, jeśli lewa była nieczynna? Uniosłem zdrową rękę; w tej samej chwili usłyszałem pisk aparatury. Nie wiedziałem, co to oznaczało.

Po kilku minutach usłyszałem jakiś głosy i dźwięk otwieranych drzwi. Nad moją głową ukazała się twarz mężczyzny w średnim wieku. Spojrzałem nieco w dół. Był ubrany w lekarski kitel. Miał zatroskaną twarz.

– Wreszcie pan odzyskał przytomność. Jak się pan czuje?

Nie wiedziałem, czy mogę mówić, ale spróbowałem.

– Bolą mnie oczy, zebra i nie mogę ruszyć lewą częścią ciała.

– Coś jeszcze?

– Nie.

– To dobrze. Ma pan wiele szczęścia. Potrafił pana samochód. Ktoś z Mickiewicza zadzwonił po karetkę.

– Kiedy wyjdę?

– Dobrze, że ma pan poczucie humoru – odpowiedział lekarz. – Trochę pan u nas poleży. Ma pan złamane zebra i uraz kręgosłupa. Wiem, że nie brzmi to najlepiej, ale robimy, co możemy, żeby wrócił pan do zdrowia, choć nie gwarantuję, że będzie ono najlepsze. Tak czy inaczej, ma pan świetną opiekę, nie tylko lekarską. Jest pan pilnowany przez policję, ale zapewniono mnie, że nie ratuję życia przestępcy.

Ulżyło mi, gdy to usłyszałem.

– Nie powinienem o to pana nawet pytać, a co dopiero pozwalać komuś na wizyty, ale pewna bardzo uparta podkomisarz zagroziła mi oskarżeniem o utrudnianie śledztwa, jeśli nie umożliwię jej spotkania. Takiego argumentu nie mogę, niestety, zlekceważyć.

– Rozumiem – to mówiąc, przewróciłem oczami i westchnąłem ciężko. Niewiele pamiętałem z tego, co się wydarzyło, ale miałem nadzieję, że policjantka mi coś przypomni. Przy okazji zauważyłem, że moi towarzysze już nie śpią i w milczeniu przysłuchują się naszej rozmowie. – Proszę ją przyprowadzić.

– Nie tutaj. Zawieziemy pana do specjalnego pomieszczenia. Podkomisarz już tam czeka.

Ni stąd, ni zowąd pojawiło się dwóch pielęgniarzy. Okazało się, że leżę na łóżku z kólkami i nie było problemu z przewiezieniem mnie do innej sali. Gdy do niej wjechałem, usłyszałem kobiecy głos.

– Dobrze, że pan do nas wrócił. Potrzebuję pana, bardzo. – Czyjaś twarz pochyliła się nade mną. Próbowałem sobie ją przypomnieć, ale bezskutecznie, więc po chwili zrezygnowałem. – Pamięta mnie pan?

– Nie.

– Podkomisarz Karolina Żabicka. Prowadzę sprawę zamordowanej kobiety, którą spotkał pan na peronie dworca głównego w Katowicach i widział w Piotrowicach. Przypomina pan to sobie?

– Nie.

– Okej. To trochę panem wstrząsnę. Jest pan jedyną osobą, która widziała potencjalnego zabójcę. – Kobieta zmarszczyła brwi. Ja także. Coraz mniej mi się to podobało. Nie słyszałem w pomieszczeniu nikogo oprócz niej i własnego oddechu. Domyśliłem się, że zostaliśmy sami. – To pan dostrzegł jej ciało leżące na peronie, zatrzymał pociąg i wezwał moich kolegów. Oprócz pana w pojeździe znajdowało się jeszcze kilkanaście innych osób, ale zeznali, że ostatni raz widzieli ofiarę, gdy wysiadała na peron w Piotrowicach.

– Coś mi się kojarzy – powiedziałem i bynajmniej nie mijałem się z prawdą. Przypominałem sobie dziewczynę w pociągu.

– To dobrze, ale „coś” to za mało. Muszę przygasić na chwilę światło.

Gdy zrobiło się ciemniej, usłyszałem jakby klikanie na klawiaturze. Po sekundzie na suficie wyświetlił się pokaz slajdów.

– To są zdjęcia pociągu, w którym pan jechał. To policjanci rozmawiający z pasażerami. Widzi pan, nawet my jesteśmy. – Pokaz zatrzymał się na slajdzie, na którym stałem razem z podkomisarz w przedniej części składu. – Nie wiem, kto je wykonał, ale zostało przysłane na komisariat. Takich ciekawostek mamy więcej. Ale o nich za chwilę. Tutaj jest miejsce zbrodni.

Nie musiała mi tego mówić. Zobaczyłem peron stacji Katowice Piotrowice. Na ziemi spoczywało obrysowywane ciało dziewczyny. Leżała na plecach. Kolejne zdjęcie pokazało jej twarz.

– O Boże – jęknąłem. Wszystko sobie przypominałem. – Wystarczy.

– Pamięta pan, co się stało?

– Tak.

Podkomisarz nie wyłączyła sprzętu, ale zatrzymała pokaz slajdów na twarzy



ofiary. Usłyszałem, jak dostawia krzesło i siada obok łóżka. Słuchała mnie w milczeniu, a ja opowiedziałem jej, jak doszło do mojego spotkania z chłopcem i jego matką, o tym, co znalazłem wewnątrz książki i jak zdecydowałem się pójść na kolację. Uświadomiłem sobie, że nadal nie znam nazwiska Julii, o czym poinformowałem Żabicką.

– Możemy wejść do pana mieszkania, by zabrać książkę i liścik? Oddamy je do analizy. Nie musi pan wyrażać zgody, choć gdy wystąpię o nakaz, i tak wejdziemy.

– Czyli raczej nie mam wyjścia. Klucz od mieszkania powinienem być w spodniach, ale nie wiem, gdzie jest moje ubranie.

Policjantka wykonała jeden telefon i wróciła do przerwanej rozmowy.

– My znamy jej nazwisko. Nazywa się Rak, po mężu. Nie wie pan, co się z nim stało?

– Z tego, co wiem od jej syna, nie żyje.

– Ciekawe. A dowiedział się pan coś o tej liście?

– Nie. A pani?

– I tak dowie się pan z gazet, więc nie ma sensu niczego ukrywać. To lista ofiar, ale to już pan wie. Wszystkie nie żyją. Zajmujemy się do sprawą od pół roku. Ktoś je zabił i wszystko wskazuje na to, że był to wynajęty zawodowiec.

Zagwizdałem z wrażenia i zakaszałem.

– Właśnie. Ostatnia ofiara, którą pan spotkał, to Marzena Lasota. Co ciekawe, pracowała w firmie *Życie ze smakiem*. Tak – potwierdziła podkomisarz, widząc moją zaskoczoną minę. – W tej samej co pan, tylko w innym oddziale. Pozostałe ofiary w niej nie pracowały, ale były powiązane z Lasotą lub z jej ojcem. Zmęczony? Czy zniesie pan jeszcze kilka rewelacji?

– Chcę wszystko wiedzieć. Może się okazać, że ktoś mnie jutro wykończy, a nie chciałbym odchodzić w nieświadomości. Rozumiem, że pani prowadzi to dochodzenie od początku?

– Nie. Prowadzi je prokurator Zagroda i nasz wydział kryminalny. Ja się włączyłam w momencie zabójstwa Lasoty.

Żabicka wstała i uruchomiła slajdy. Kolejny przedstawiał Lasotę, ale na zdjęciu dziewczyna była uśmiechnięta i nieco młodsza. Wydawała się pełna życia. Wpatrywałem się w nią jak w obraz. Zdjęcie się zmieniło i zobaczyłem ją przytuloną do starszego, dostojnego, ubranego w garnitur męczyzny.

– To jedyne takie zdjęcie – powiedziała podkomisarz. – Jej ojciec udostępnił nam je trzy dni temu. Wcześniej zgłosił zaginięcie córki. Gdy się z nim skontaktowaliśmy i przywieźliśmy tutaj, razem z jej matką zidentyfikowali ciało. Zaraz potem wystąpił w telewizji ze specjalnym oświadczeniem. Było to jego pierwsze oficjalne oświadczenie związane z dochodzeniem. Wcześniej się nie angażował zbyt i zasłaniał immunitetem.

Żabicka zamilkła, a mnie zatkało.

– Wie pan, kto to jest? – zapytała po chwili.

– Nie, ale pewnie powinienem.

– Tak, to były Szef Obrony Cywilnej Kraju, Marcin Lorkam. Marzena Lasota była jego nieślubną córką.

Nie sądziłem, że może jeszcze czymś mnie zaskoczyć. Ale tak się stało, gdy

zapytałem, ile czasu byłem nieprzytomny. Żabicka poinformowała mnie, że od dwóch tygodni leżę w szpitalu, przeszedłem jakąś operację, ale nie wiedziała jaką, utrzymywany byłem w śpiączce, żeby lekarzom lepiej się pracowało. Miałem tylko nadzieję, że niczego mi przy okazji nie wycięto.

– A wracając do Lorkama...

– Chyba jest zamieszany w jakąś aferę finansową – powiedziałem.

– Tak, podejrzewamy, że wywiózł gdzieś z ministerstwa dużą walizkę z pieniędzmi, ale nie mamy dowodu. On oczywiście utrzymuje, że jest niewinny.

– Ale co z tym miała wspólnego jego córka?

– Nie wiemy. Lepiej niech pan zapyta, co ma z tym wspólnego Norbert Rak.

– Kto?

– Mąż Julii i ojciec Ludwika.

– Co?

– Podejrzewamy, że żyje, ale się ukrywa. Nasze podejrzenia zdają się potwierdzać, ponieważ osoba, która zadzwoniła po karetkę, podała nam też numer rejestracyjny samochodu, który pana potrącił. Jest zarejestrowany na Norberta Raka.

Pozwoliliśmy sobie pobrać pana krew, gdy był pan w śpiączce, i analiza DNA wykazała, że nie pan nic wspólnego ze śmiercią młodej Lasoty. To chyba dobra wiadomość, prawda?

– Nie zmienia jednak faktu, że stałem się celem. A teraz w niebezpieczeństwie znalazła się jego rodzina – stwierdziłem ze smutkiem.

– Daliśmy im ochronę, a w niebezpieczeństwie są od zawsze. Norbert Rak siedział kiedyś za zabójstwo. Może mieć wrogów.

– Coś jeszcze? Czuję się zmęczony i chciałbym odpocząć.

– Rozumiem, pokażę panu ostatnią rzecz. – Żabicka zmieniła slajd. Teraz patrzyłem na artykuł z *Dziennika Zachodniego*, którego tytuł bardzo mi się nie spodobał: „Marcin Drapaka: jedyny świadek czy poszukiwany morderca?”.

Zamieszczono także moje zdjęcie.

– O kurwa – to jedyne, co mi się cisnęło na usta.

– Mówią, że ktoś podesłał im zdjęcie, ale nie chcą zdradzić jego tożsamości. Wszystko do czasu, w końcu poznam prawdę. Tak czy inaczej, ktoś próbuje pana wrobić. Zdjęcie zostało zrobione w pociągu, więc dowiem się przez kogo.

Podkomisarz wyłączyła sprzęt i ponownie wzmocniła oświetlenie w pomieszczeniu. Zmrużyłem na chwilę oczy, ona tymczasem wyszła, zostawiając mnie samego. Wróciła z lekarzem i pielęgniarkami. Zanim zawieziono mnie do poprzedniej sali, powiedziałem, że skoro odzyskałem już przytomność, to chciałbym wiedzieć, co się dzieje. Żabicka obiecała, że będzie mnie informować. Co prawda w to nie wierzyłem, ale nie miałem siły na spory.

– Jak się pan czuje? – zapytał lekarz, gdy już wróciłem do moich towarzyszy niedoli.

– Jestem zmęczony i chciałbym odpocząć.

– Rozumiem. Pewnie jest pan też głodny?

– Nie bardzo, ale skoro pan pyta, to pewnie powinienem być.

– Podamy panu pokarm dożylnie. Nie będzie to ambrozja, ale na razie musi wystarczyć.

Po tych słowach lekarz wyszedł i zostałem sam na sam z dwoma pacjentami. Na szczęście o nic nie pytali, tylko spoglądali na mnie z dużym zainteresowaniem. Byłem pewny, że stałem się atrakcją szpitala. Po kilku minutach przyszła pielęgniarka i podłączyła mi kroplówkę. Zanim się skończyła, zasnąłem.

\* \* \*

Kolejne dni nie różniły się zbyt od siebie. Mało kto mnie odwiedzał, codziennie poddawano mnie różnym badaniom, ale wracały mi siły i rzadziej już zasypiałem w ciągu dnia. Żabicka nie przychodziła, ale zadbała o to, żebym wiedział, co się dzieje. Popołudniami stawiał się u mnie funkcjonariusz i informował o najważniejszych wydarzeniach. Nie mówił o śledztwie, ale o tym, co się działo w Polsce, na świecie i czy pojawiły się w mediach jakieś nowe rewelacje na mój temat. Na szczęście środki publicznego przekazu o mnie zapomniały, ale nie wiedziałem, jak długo będzie trwała ta sielanka.

Dwa razy odwiedzili mnie znajomi z pracy. Nie byli jednak zbyt rozmowni. Rzadko się uśmiechali, nie żartowali. Wyczułem dużą zmianę w ich zachowaniu. Chociaż życzyli mi szybkiego powrotu do zdrowia, to brakowało w ich słowach szczerości oraz nadziei, że będę taki jak kiedyś. Nie wyciągałem od nich informacji, na razie odpoczywałem od pracy i nierzadko gburowatych, upierdliwych klientów. Po dwóch tygodniach odwiedził mnie kierownik.

– Witaj – powiedziałem, gdy tylko zobaczyłem nad sobą jego twarz. Ze zdziwieniem zauważyłem, że prawie osiwiiał.

– Wpadłem tylko na chwilę. Nie będę owijał w bawełnę, bo tego nie lubię. Mamy kłopoty. Powiedz, co cię łączyło z Lasotą.

– Nic. Nawet jej nie znałem. Dlaczego pytasz?

– Prezes jest wściekły. Jakaś suka przyszła z nakazem i przeszukała całą firmę. Nie tylko nasz oddział, ale wszystkie. Nie wiesz, czego szukała?

– Nie.

– Zadawała dużo pytań. Szczególnie interesował ją oddział, w którym pracowała Lasota. Policja wyróciła biuro do góry nogami. Nas to na szczęście ominęło. Nie wiem, czy znaleźli to, czego szukali. Mam nadzieję, że tak, bo inaczej mogą do nas wrócić. Jewgienij jest wściekły.

– Wyobrażam sobie.

– Tak jak powiedziałem, nie lubię owijać w bawełnę. Kazał mi przekazać, że gdy wyzdrowiejesz i wrócisz do pracy, da ci trochę czasu, taki okres ochronny, żebyś wrócił do normy i spokojnie znalazł nową robotę.

– Rozumiem. Spodziewałem się tego.

– To dobrze. Rozmawiałem z nim – mówił kierownik. – Próbowałem go przekonać, ale wiesz, że z nim nie ma rozmowy. Zadzwoił i powiedział, że nie przedłuży ci umowy i koniec.

– Uważam, że to niesprawiedliwe. Słyszałem, że był ktoś, kto miał gorsze wyniki ode mnie, a pracował rok, zanim został zwolniony.

– Tu nic nie jest sprawiedliwe.

– Nie mam w umowie zakazu konkurencji, więc mogę iść pracować gdzie indziej,

wykorzystując doświadczenie i wiedzę zdobyte w *Życiu* – powiedziałem.

– Oczywiście. Korzystaj.

– Dobrze. Gdy wyjdę ze szpitala i lepiej się poczuję, wrócę na jakiś czas. Dzięki za pomoc i wyrozumiałość.

– To się trzymaj i nie miej do nas żalu.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, kierownik wyszedł z sali i zostałem sam. Dopiero teraz to poczułem. Do tej pory nie przeszkadzała mi nieobecność wypisanych dwa dni temu współlokatorów, ale teraz nie miałem do kogo gęby otworzyć. Pocięczałem się, że wkrótce powinna mnie odwiedzić Żabicka. Do tego czasu byłem zdany na obecność jedynie Ducha Świętego. Mój Anioł Stróż mnie zawiódł i nawet gdyby nagle pojawił się przede mną w całym swoim majestacie, powiedziałbym mu, że nie rozmawiam z partaczami.

\* \* \*

Nigdy nie cieszyłem się tak z wizyty policji. Następnego dnia podkomisarz weszła jak zwykle, bez pukania i pytania. Od progu rzuciła:

– Mam dobre wieści.

– Wychodzę? – zapytałem z nadzieją.

– Nic o tym nie wiem. Ale sprawdziliśmy pana mieszkanie i znaleźliśmy list.

Ciekawą ma pan skrytkę. Zbadaliśmy pana DNA i porównaliśmy ze śladami znalezionymi na ciele ofiary. Rozmawialiśmy z Julią Rak i jej synem. To interesujący chłopak i bardzo inteligentny, nie sądzi pan?

– Nie wiem. Nie znam go. Widziałem go trzy razy i tyle samo razy z nim rozmawiałem.

– A on o panu bardzo dużo mówi. Razem z matką potwierdził, że był pan u nich. Wracając jednak do samego morderstwa, nie znaleźliśmy w pobliżu peronu broni, a pasażerowie pociągu kolejny raz potwierdzili, że nie miał pan jej przy sobie. Patolog stwierdził, że strzał padł od tyłu, więc to wyklucza pana udział.

Odetchnąłem z ulgą. To naprawdę były dobre wiadomości.

– Mam wrażenie, że nie mówi mi pani tego wszystkiego bez powodu. Dlaczego zdradza mi pani tajne informacje?

– Ma pan rację. Po pierwsze dlatego, że od początku pan nam pomagał, a my nie lubimy mieć długów. Poza tym uważam, że naprawdę jest pan niewinny. O tym, co panu powiedziałam, i tak, prędzej czy później, dowie się pan z mediów. Wszędzie są przecieki, nawet u nas. Proszę się niczego nie obawiać. Wszystko uzgodniłam z prokuratorem. Chciała z panem sama porozmawiać, ale przekonałam ją, że darzy mnie pan zaufaniem.

– Przesadziła pani. Coraz więcej afer związanych z waszą służbą wychodzi na światło dzienne. Mam zatem dość ograniczone zaufanie. Nie przekonała mnie pani.

– A jeśli powiem coś, o czym nikt poza nami i policją nie ma prawa się dowiedzieć? Liczę na pana współpracę i sądzę, że dla obu stron będzie ona korzystna.

– To przekupstwo?

– Zachęta. Chłopiec bardzo pana lubi i myślę, że ma pewne plany. Okłamał pana,

mówiąc, że jego ojciec nie żyje, co naraziło pana na niebezpieczeństwo. Jest pan jedynym świadkiem śmierci córki jednej z bardziej wpływowych osób w tym kraju i ktoś próbował pana zabić.

– Proszę oddać mi listę. Ja ją przekażę komu trzeba i wszyscy będą zadowoleni.

– Myślałam, że jest pan mądrzejszy.

Żabicka wstała i skierowała się do wyjścia.

– Czego pani oczekuje?

Nie odpowiedziała. Zamknęła drzwi i znów zostałem sam. Biłem się z myślami. Niedużo czasu zajęło mi dojście do wniosku, że popełniłem błąd. Komuś przeszkadzałem i to tak bardzo, że chciał się mnie pozbyć. Listy nie miałem, więc nie mogłem negocjować ceny mojego życia. Ba, mój potencjalny morderca nie wiedział, że jej nie mam, więc mógł próbować mnie zmusić do jej oddania. Wolałem nie zastanawiać się, jakich użyłby argumentów. Rezultat? I tak nie mogłem mu oddać czegoś, czego nie miałem.

A jeśli to nie ten sam człowiek? Jeśli ktoś inny chciał listę, a ktoś inny zamierzał się mnie pozbyć, żeby tamten nie dostał listy? Martwiłem się jeszcze czymś. Dopóki współpracowałem z policją, pod drzwiami sali siedział mój ochroniarz, teraz byłem pewny, że go straciłem. Od tego myślenia rozboleła mnie głowa. Chciałem zasnąć i obudzić się z tego koszmaru, ale nie dane mi to było.

Ledwo zdążyłem zamknąć oczy i wyrównać oddech, usłyszałem ciche, jakby nieśmiałe pukanie. Milczałem. Zakląłem w myślach. Jak na jeden dzień miałem już stanowczo dość gości. Nie chciałem słyszeć kolejnych rewelacji. Liczyłem, że mój nieproszony gość zrezygnuje i pójdzie tam, skąd przyszedł. Daremnie. Po chwili pukanie rozległo się ponownie. Tym razem było głośniejsze.

– Proszę – krzyknąłem.

Do sali weszła Julia z synem. Spojrzałem na nich beznamietnie. Po tym, co się dowiedziałem, stali się dla mnie zupełnie obcy.

– Jak się czujesz? – Kobieta stała przy drzwiach, bawiąc się paskiem torebki. Zbyłem jej pytanie milczeniem. Intensywnie wpatrywałem się w chłopca, który wyglądem przypominał aniołka, ale miał język diabła. – Przyszliśmy, ponieważ czujemy się współwinni temu, co się stało. Gdyby Ludwiczek nie zaprosił cię...

– Ale to zrobił. I w dodatku mnie okłamał. Chciałbym znać powód takiego zachowania.

Oczy chłopca najpierw się zwęziły, a potem szeroko otworzyły ze zdziwienia.

– W niczym pana nie okłamałem, nie potrafiłbym.

– Powiedziałeś, że twój ojciec nie żyje.

– Kłamstwo!?! Mój ojciec zginął dwa lata temu!

Nie spodziewałem się tak gwałtownej reakcji. Chłopiec z płaczem wybiegł z sali, trzaskając drzwiami. Gdy wszedł razem z matką, podniosłem lekko oparcie i teraz leżałem w pozycji półsiedzącej, więc dobrze wszystko widziałem. Chociaż rano dziękowałem Bogu i lekarzom, że operacja kręgosłupa się udała, teraz żałowałem, że jednak nie leżałem. Mogłem posłuchać doktora, który mówił, że przez najbliższe tygodnie nie powinienem siadać. Groziło mi to trwałym przykuciem do łóżka. Cóż, rzadko słucham dobrych rad, ale sam często ich udzielałem.

– Przepraszam. Chyba byłem zbyt ostry. Zapomniałem, że to jeszcze dziecko.

Proszę go przeprosić w moim imieniu. Albo nie, lepiej sam to zrobię. Proszę po niego iść. Nie chciałbym mieć go na sumieniu...

– Nic mu nie będzie. Zaraz pewnie sam przyjdzie. Musi się uspokoić.

Wbrew moim oczekiwaniom matka chłopca nie była zaskoczona ani jego, ani moim zachowaniem. Nie rozumiałem jej postępowania. Patrzyłem na nią w milczeniu. Nadal stała przy wejściu. Nasze spojrzenia się spotkały; nie uciekła wzrokiem.

– Nie bardzo to wszystko rozumiem – wyznałem bez ogródek. – Dlaczego mnie okłamaliście? A w zasadzie pani syn mnie okłamał...

– Z tego, co pamiętam, ostatnio byliśmy ze sobą na „ty” i mieliśmy iść do kina. Coś się zmieniło? – Ponieważ milczałem, mówiła dalej: – Chcę ci wszystko wyjaśnić i nieważne, czy mi uwierzysz, czy nie. Twoje milczenie traktuję jak zgodę.

Julia przysunęła krzesło i usiadła przy łóżku.

– Norbert żyje. Nie będę tego ukrywać. Wie o tym policja, a dzięki sprawie Lasoty przypomniały sobie o nim także media. Nie bardzo mi się to podoba, ponieważ wydzwanają do mnie różni dziennikarze i pytają o niego. Gdy Ludwiczek jest w pobliżu, szybko kończę rozmowę i mówię, że to pomyłka. On nie wie, że jego ojciec żyje. Do wczoraj myślałam, że tak jest dla niego lepiej. Norbert to zły człowiek, siedział w więzieniu. Zabił człowieka, ale to pewnie wiesz od policji.

Potwierdziłem kiwnięciem głową.

– Dzisiaj postanowiłam powiedzieć mu prawdę. Tym bardziej że wczoraj hiena z jakiegoś brukowca czekała na nas przed szkołą i zaatakowała. To była kobieta. Pytała o Norberta. Zanim wsadziłam Ludwiczka do samochodu i ruszyłam, zdążyła powiedzieć, że niedawno widziała się z jego ojcem. Podobno powiedział jej, że tęskni za nim i wkrótce się skontaktuje. Jestem pewna, że tego nie robi, ale natychmiast zawiadomiłam podkomisarz Żabicką o tej dziennikarce. Mam nadzieję, że się nią zajęła.

– Samochód – mruknąłem.

– Tak, pewnie też już o tym wiesz. Ja się dowiedziałam z dzisiejszej gazety. Ten samochód, który cię potrącił, jest ponoć zarejestrowany na Norberta, ale to nieprawda.

Udałem, że informacja nie zrobiła na mnie wrażenia i nie zapytałem, dlaczego to nieprawda.

– Chodzi mi o pani samochód. Pierwszy raz spotkaliśmy się w pociągu, nie wiedziałem, że pani ma samochód.

– Mam, był w warsztacie i odebrałam go tydzień temu. Nie chcę cię już dłużej męczyć. Nie wiem, czy mi wierzysz, czy nie. Odpocznij. Poproszę Ludwiczka, pewnie już się uspokoił. Ma dla ciebie prezent. Liczę, że nie sprawisz mu przykrości i go przyjmiesz. Teraz, gdy już wiem, że jesteś w szpitalu, będę cię od czasu do czasu odwiedzać.

– Jak się dowiedziałaś? – Pomyślałem, że dość już tej sztuczności, bo powoli stawała się śmieszna.

– Z telewizji regionalnej. Ktoś zrobił ci zdjęcie na Mickiewicza i przesłał do redakcji. Tam się dowiedzieli, kim jesteś, i skontaktowali z dziennikarzem z *Dziennika Zachodniego*. Teraz media starają się być na bieżąco. Odkopali sprawę Lorkama, a ponieważ wiąże się też ze mną i moim synem, oglądam programy

informacyjne. Teraz staliśmy się celebrytami. Idę po Ludwiczka.

Julia wstała i skierowała się w stronę drzwi, ale nim zdążyła je otworzyć, same się rozwarły. Do sali jak piorun wpadł podekscytowany siedmiolatek.

– Mamo, mamo!

– Co się stało?

– Widziałem tatę!

– Co ty mówisz? To niemożliwe.

– Tak. – Chłopiec spojrział na mnie i spoważniał. – Powiedział, żebym panu przekazał, żeby nie...

Zobaczyłem czerwony punkcik na jego czole. Czas się zatrzymał. Wbrew zakazowi lekarza, zebrałem w sobie wszystkie siły, podniosłem się i rzuciłem na chłopca. W tej samej chwili padł strzał. Byłby śmiertelny, gdyby osiągnął cel. Chłopak uskoczył mi z drogi, w związku z czym jak kłoda upadłem na podłogę. Na szczęście pocisk zamiast w Ludwiczka trafił... we mnie. Krzyknąłem z bólu. Oberwałem w rękę. Do sali wbiegł policjant i nie czekając na jakiegokolwiek polecenia, zadzwonił na komisariat. Gdy skończył, powiedział:

– Podkomisarz już jedzie. Wysyła na sąsiedni dach specjalistów z psem.

– Łap go pan!

– Nie mogę. Mam pilnować pana.

– To dawaj lekarza!

Gdy tylko zniknął w korytarzu, przez zaciśnięte z bólu zęby zapytałem chłopca, co chciał powiedzieć.

– Ma pan nie oddawać listy.

Zobaczyłem załzawione oczy Julii tulącej chłopca i straciłem przytomność.

\* \* \*

Od chwili postrzału najbliższa rodzina Norberta Raka niemal mnie nie odstępowała. Podejrzewałem, że tylko częściowo było to spowodowane obawą o ich bezpieczeństwo.

Dzięki mnie Julia i Ludwiczek otrzymali ochronę, która po ostatnim zdarzeniu w szpitalu została dodatkowo wzmocniona. Wiedziałem, że kobieta jest mi wdzięczna za uratowanie życia chłopcu. Przyzwyczaiłem się do ich obecności, a także częstych odwiedzin innych osób. Do mnie od czasu do czasu przychodziła Żabicka, a do nich jakiś kolega Ludwiczka z klasy i psycholog. Ordynator nagiął przepisy i pozwolił im przebywać na terenie szpitala. Wychodzili w eskorcie tylko wtedy, gdy byłem badany, przewożony na operacje lub gdy jechali do domu umyć się i przebrać. Nawet spali w szpitalu. Jeden z pilnujących nas funkcjonariuszy stał się naszym prywatnym lokajem oraz dostarczycielem gazet. Nie narzekał i nie chwalił się tym. Dostawał od Julii sowy napiwek. Ochrona miała z nami zostać jeszcze tylko przez kilka dni.

Z pracy nikt mnie już nie odwiedzał. Może dlatego, że firma już nie istniała.

Codziennie czytaliśmy gazetę. To znaczy Julia czytała na głos, bo ja zostałem przykuty do łóżka i były marne szanse na to, żebym mógł chodzić i poruszać lewą ręką. Do nieczynnej strony ciała dołączył paraliż od pasa w dół. Lekarze robili, co mogli, ale nie dawali mi dużych nadziei.

Ja nie zamierzałem się poddawać. Za kilka dni miałem zostać przewieziony do specjalistycznej prywatnej kliniki, ale jeśli będzie trzeba, to zwiedzę szpitale na całym świecie. Na koszt Ministerstwa Obrony, które w ten sposób odwdzięczało się za pomoc w sprawie Lorkama. Miesiąc po zastrzeleniu Lasoty Żabicka wraz kolegami aresztowali jej ojca. Potwierdziły się wszystkie stawiane mu zarzuty, o czym dowiedzieliśmy się z telewizji, ze specjalnego wydania wiadomości; były Szef Obrony Cywilnej Kraju Marcin Lorkam został oskarżony o defraudację. Pieniądze, które miały być przeznaczone na zakup nowych samochodów dla Ministerstwa Obrony, przekazał niejakiemu Jewgienijowi Pietrence w zamian za udziały w nowej firmie. Działalność gospodarcza tego drugiego szybko się rozwinęła i powstało kilka filii. Walizka została przekazana do Rosji i jedynym dowodem na to był bilet lotniczy Lorkama, który ukryto w firmie.

Tyle dowiedzieliśmy się z mediów, ale dla mnie to było stanowczo za mało. Ponieważ nie mogłem uczestniczyć w rozprawie, przez kilka dni nakłaniałem podkomisarz Żabicką, by zdradziła mi coś więcej. Miała wobec mnie podwójny dług, bo za sprawę Lorkama ponoć dostała niezłą podwyżkę. Niestety, była nieugięta.

Skontaktował się za to ze mną dziennikarz-freelancer, który parę lat temu napisał powieść *Śmierć na śniegu* i zaproponował współpracę. Posiadał dużo informacji, którymi się ze mną podzielił w zamian za możliwość napisania opowiadania na podstawie mojej przygody. Zgodziłem się. Dzięki temu dowiedziałem się, że na ślad biletu natrafiła Marzena Lasota, ale nie zamierzała chwalić się swoją wiedzą. Wspomniała tylko kiedyś ojcu, że zna jego tajemnicę. Nie sądziła, że ten zacznie coś robić w tej sprawie, a Lorkam postanowił odzyskać jedyny obciążający go dowód. Wynajął zawodowca, który zaczął krążyć wokół firmy Pietrenki i znajomych Marzeny. Nie interesowało go poczynania zabójcy, dopóki nie zastrzelił jego córki. To zrobił na własną rękę. Ostatecznie Lorkam załamał się i przyznał do winy. Wyjawiał wszystko, co wiedział o firmie Pietrenki, i pogrążył swojego współnika.

- Ale co do tego mają samochód, zdjęcia i tajemniczy mężczyzna na peronie?

- To też ciekawe - powiedział dziennikarz. - Poprzytałem tu i ówdzie i okazało się, że Lasota miała romans ze starszym i młodszym mężczyzną. Co interesujące, była to jedna i ta sama osoba.

- Jak to?

Dziennikarz rozejrzał się po sali. Przyszedł wieczorem; tak się z nim umówiłem. Uprzedził, że posiada informacje, których Julia i jej syn nie powinni słyszeć, więc skontaktowałem się z nim, gdy pojechali do domu przebrać się i wykąpać.

- Zostało nam tylko kilka minut - powiedziałem.

Staszewski na wszelki wypadek ściszył głos.

- Kochankiem Lasoty był niejaki Norbert Rak.

Niemal krzyknąłem z zaskoczenia. Opanowałem się w ostatniej chwili.

- Też byłem zaskoczony. Po upozorowaniu własnej śmierci przeszedł kilka operacji plastycznych i chciał zerwać z niechlubną przeszłością. Wiedział, że nie będzie to łatwe, więc starał się być blisko rodziny, by ją chronić. Morderca chciał odzyskać listę, a Norbert przez syna zakazał ją oddawać. Ciekawe, skąd wiedzieli o liście, i pewnie nigdy się nie dowiem. Młody Rak był pewny, że jego ojciec żyje i nie rozpoznawał go, dopóki ten sam się nie ujawnił w szpitalu.



– A co z samochodem, który mnie potrafił? I jak morderca zostawił wiadomość w mojej książce?

– Samochód kiedyś należał do Raka. Sprzedał go, a ten po różnych perypetiach trafił w ręce Lorkama. Ostatnio jeździł w nim morderca jego córki. Nie wiem, jak napisał wiadomość i włożył do książki. To zostawiam już naszej inwencji twórczej.

– A nazwisko mordercy?

– Nie jest ważne. Liczy się tylko to, że zginął w tajemniczych okolicznościach. W jego samochodzie nastąpiła eksplozja. Nie chcę mieć kłopotów, panu też ich chyba wystarczy. Prawda?

– Prawda. Wchodzę w to – zgodziłem się po krótkim namyśle. Ja nie byłem w stanie opisać tej historii, ale on owszem.

– Cieszę się.

Dziennikarz uściśnął mi rękę i zostawił samego z własnymi myślami. Pięć minut później wrócili Julia i Ludwiczek.

– Czemu się tak dziwnie uśmiechasz?

– Cieszę się, że żyję, i wierzę, że kiedyś będę chodzić. To co z naszym kinem i moim prezentem?

W odpowiedzi Julia podeszła do mojego łóżka, pochyliła się bez zapowiedzi złożyła na moich ustach długi, namiętny pocałunek.

– Gdy tylko Norbert wyjdzie z pudła i dostanę rozwód.

Oboje spojrzeliśmy na Ludwiczka, który podszedł do mnie i podał książkę. Spojrzałem na tytuł: *Śmierć na śniegu* i szybko przejrzałem powieść. Na ostatniej stronie autor ręcznie napisał: „Ciąg dalszy kiedyś nastąpi...”.

– Powieść została wydana w dwa tysiące jedenastym roku i nie jest już dostępna na rynku. To biały kruk – powiedział i zaklaskał w dłonie.

Tylko przez chwilę zastanawiałem się, co stało się z prezesem mojej firmy i tajemniczym mężczyzną z peronu. Pierwszemu nic nie udowodniono, a po drugim ślad zaginął. Obawiałem się, że jeszcze kiedyś go spotkam.

*Od autora:*

*Choć fabuła opowiadania jest fikcją, pojawiają się w niej elementy zgodne z rzeczywistością (miejsca, seriale i filmy oraz autorstwo i tytuł powieści Jacka Skowrońskiego, a w przypadku Śmierci na śniegu Staszewskiego także data jej wydania). Wszelkie podobieństwo wydarzeń i osób przedstawionych przez autora do rzeczywistości jest przypadkowe.*

# Alicja Minicka

## STRACH

### I

Adam Tarnecki patrzył w ślad za odjeżdżającym pociągiem, dopóki ostatni wagon nie zniknął mu z oczu. Postawił walizkę na drewnianej ławce. Był jedynym pasażerem, który wysiadł w Dąbówce, małej stacyjce z niewielkim, ale zadbanym dworcem. Jej niemiecka nazwa wyraźnie odcinała się od białej ściany nad głównym wejściem.

Boczne drzwi z napisem „Stationsvorsteher” skrzypnęły i ukazał się w nich mężczyzna w mundurze. Rzucił w kierunku Tarneckiego obojętne spojrzenie i z wyrazem znużenia na twarzy wszedł do poczekalni.

Adam przechadzał się wzdłuż budynku. W szybie mignęła jego barczysta sylwetka. Odruchowo przejechał dłonią po jasnej, kędzierzawej czuprynie.

Spoglądał co chwila na drogę ze Staszewa. Odetchnął głęboko, gdy ukazała się bryczka. Jechała szybko, wzniecając tumany kurzu.

Powozził ogrodnik Drwęckich, sześćdziesięcioletni mężczyzna o ogorzałej od słońca twarzy. Zlazł z kozła i zdjawszy czapkę, uklonił się.

– Dzień dobry, Macieju. Anna nie przyjechała? – Adam przyzwyczał się, że narzeczona jako pierwsza witała go na dworcu.

– Pani słabuje i panienka została. Agata kazała pojechać po pana – Maciej umocował z tyłu walizkę.

– Posłali po doktora?

– Ano posłali – odparł lakonicznie ogrodnik i zaciął konia, gdy tylko pasażer usadowił się w bryczce.

– Co doktor powiedział? – indagował Tarnecki.

– Ja tam nie wiem, proszę pana. Musi pan panienki pytać.

Adam uznał, że z mrukliwego i zamkniętego w sobie Macieja nic więcej już nie wydobydzie.

Kasztanka biegła żwawym truchtem pośród rozkołysanych łanów pszenicy, pochylonej pod ciężarem dojrzałych ziaren. Pasące się na łąkach krowy obserwowały ich ze spokojem, nie zaprzestając miarowego przeżuwania.

\* \* \*

Annę poznał wiosną zeszłego roku. Jego starsza niezamężna siostra prowadziła w Poznaniu pensję dla panien. Anna uczyła tam gry na pianinie. Mieszkała u swojej ciotki, wdowy po urzędniku magistrackim. Do Staszewa przyjeżdżała na święta i wakacje.

Nieżyjący od dwudziestu lat ojciec dziewczyny, Gwidon Drwęcki, latem sześćdziesiątego czwartego przyłączył się do walk na granicy rosyjsko-pruskiej.

Drwęccy mieli kiedyś kilka wsi, ale po konfiskatach pozostało im tylko Staszewo – przycupnięte w zakolu rzeki kilkanaście chałup, drewniany kościółek i mały dworek, w którym Gwidon i Barbara zamieszkali po ślubie.

Tę i inne rodzinne historie Adam usłyszał w pewien grudniowy wieczór. Ubiegłej zimy, gdy był już zaręczony z Anną, otrzymał zaproszenie na święta Bożego Narodzenia. Pośrodku salonu stała sięgająca sufitu choinka. Ogień trzaskał w kominku, rozświetlał zarumienione od ciepła twarze. Migotliwe odbłaski przemykały pomiędzy zaciemnionymi zakamarkami pokoju. Barbara siedziała w fotelu. Opowiadała o mężu, za którego wyszła wbrew woli swojej rodziny i którego straciła zaraz po narodzinach syna.

\* \* \*

– Żniwa będą udane – odezwał się Adam do przygarbionych pleców Macieja. Tamten odmruknął coś niewyraźnie.

Gdy dojechali, słońce stało już dosyć wysoko. Anna, ubrana w prostą, jasną suknię, czekała przed gankiem. Wypatrywała ich, dłonią osłaniając oczy przed słońcem. Adam wyskoczył z bryczki. Dziewczyna podbiegła i rzuciła mu się na szyję.

– Jak pani Barbara? – spytał szybko.

– Już dobrze – rzekła z radością. – Doktor Bielecki powiedział, że to niestrawność. Kazał mamie przez trzy dni jeść kleik. Ale pójdźmy się przywitać. – Chwyciła go za rękę i pociągnęła w kierunku domu.

Dworek, chociaż niezbyt okazały, sprawiał przyjemne wrażenie. Kryty strzechą dach i pobielone ściany upodabniały go do chłopskich chałup. Uwagę przyciągały żywe kolory wysokich malw. Kwiaty sięgały niemal do połowy pomalowanych na zielono okiennic.

Na prawo widać było zabudowania gospodarcze, a za nimi sad. Rozgdakane kury grzebały w ziemi przed stajnią, w sadzawce taplały się gęsi i kaczki.

Z ganku przeszli do obszernej sieni. Dzieliła dom na dwie części i miała tylne wyjście, prowadzące do ogrodu warzywnego.

Barbarę Drwęcką zastali przy pianinie. Na ich widok wstała i z uśmiechem podeszła do gościa. Jedwabna kremowa suknia pięknie harmonizowała z subtelną urodą jasnej blondynki.

Adam ucałował jej rękę.

– Anna mówiła mi o pani niedyspozycji.

– Anna trochę przesadza – rzekła z łagodną przyganą w głosie. – Siadajmy, kochani, zaraz napijemy się herbaty.

Leciwa zarządczyni dworku wkroczyła z wielką tacą w dłoniach.

– Dzień dobry, Agato – powitał ją Tarnecki.

Uśmiech opromienił pomarszczoną twarz kobiety.

– Dobrze, że pan już jest. Panienska nie mogła się doczekać.

Zręcznie ustawiła imbryk i malowane w róże filiżanki na okrągłym stole, pokrytym szydełkowym obrusem. Placek z rabarbarem i maliny dopełniły poczęstunku.

– Herbatka dobrze pani robi – zwróciła się do Barbary.

– Jestem zdrowa, moja Agato! Po obiedzie pójde do pracowni.

– Co też pani opowiada! – zachnęła się staruszka. – Doktor kazał...

– Nie przejmuj się – odparła Barbara i uśmiechnęła się jak dziecko, które wie, że wszyscy mu pobbóżają.

Agata wyszła, mamrocząc coś pod nosem.

– A gdzie Wiktor? – spytał Adam.

– Powinien niedługo wrócić – mówiąc to, Barbara podniosła imbryk i nalęa herbatę. Lekkim ruchem ręki odgarnęła pukiel jasnych włosów, który opadł luźno nad uchem, i z wdziękiem sięgnęła po filiżankę.

Jak na zawołanie drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju wbiegł piękny srebrnoszary wyżeł, a tuż za nim Wiktor w stroju do konnej jazdy. Anna i jej młodszy brat, smukli i ciemnowłosi, bardzo przypominali z wyglądu ojca, którego podobizna, namalowana wiele lat temu przez Barbarę, wisiała nad kominkiem obok autoportretu żony.

Pies ze skomleniem przypadł do Adama i skoczył mu przednimi łapami na pierś. Męczyzna poklepał go po karku i wytargał za uszy, po czym wstał i uściskali się z Wiktorem serdecznie.

– Oho, nadciąga burza! – rzekł wesoło chłopak, gdy z sieni dobiegł ich odgłos szybkich kroków.

– I co panicz najlepszego zrobił? Pies w salonie! – rzekła ze zgorzeniem Agata. – Uciekaj stąd, Nero! – krzyknęła. Z trudem wygoniła rozbrykane zwierzę za drzwi.

Wiktor opadł na krzesło.

– Długo cię nie było. – Anna nalęa bratu herbaty.

– Pokazywałem Dylewskiemu łękę nad rzeką – odparł. Duszką opróżnił filiżankę.

– Jednak chcesz ją sprzedać? – spytała cicho Barbara.

– Rozmawialiśmy już o tym. – W głosie Wiktora pojawił się lekki ton zniecierpliwienia. – Do końca miesiąca trzeba zapłacić u Cegielskiego. Inaczej przepadnie zaliczka. A Dylewski daje dobrą cenę.

– Masz rację, synku. Ty wiesz najlepiej. Ja nie mam do tego głowy.

– Musisz zobaczyć nową klacz – Wiktor z roziskrzonym wzrokiem zwrócił się do Adama.

– Jest śliczna! – rzekła Anna. – Mama nazwała ją Kalipso. Nawet namalowała portret. – Pochyliła się ku matce i ucałowała jej policzek.

– Mam nadzieję, pani Barbaro, że pokaże mi pani obrazy. – Ze strony Tarneckiego nie była to jedynie kurtuazja. Uważał, że Drwęcka posiada prawdziwy talent i naprawdę był ciekaw jej najnowszych prac.

– Pewnie się zdziwisz, mój drogi, gdy je zobaczysz. – Barbara ponownie napełniła filiżanki.

Anna roześmiała się.

– Mama ma nową pasję i maluje greckich bogów. Agacie się to nie podoba, woli pastuszków i gęsiarki.

\* \* \*

Ku wielkiemu niezadowoleniu Agaty Barbara poszła po obiedzie do pracowni, małego domku na skraju warzywnika. Mąż wybudował go dla niej krótko po ślubie. Mogła w nim malować nawet zimą, bo Drwęcki kazał wstawić piec kaflowy. Duże okna od wschodniej i południowej strony wpuszczały do środka mnóstwo naturalnego światła.

Młodzi udali się do stajni, by podziwiać Kalipso. Wiktor z dumą oprowadził ją po podwórzu. Gniada klaczka lekko i z gracją stąpała posłusznie za swoim panem. Jedynie gdy Nero doskakiwał zbyt blisko, strzygła nerwowo uszami.

– Jest bardzo łagodna. – Wiktor pogładził aksamitne chrapy konia. – Ułożona i pod wierzch, i do zaprzęgu.

Odprowadził Kalipso do stajni.

– Nie czekajcie na mnie – powiedział. – Muszę jechać do Dąbówki.

Dziewczyna wsunęła rękę pod ramię narzeczonego.

– Przejdźmy się – zaproponowała.

Nero patrzył to za nimi, to za Wiktorem. W końcu rozpedził stadko kur, które rozpierzchły się z głośnym gdakaniem, i zadowolony z siebie, w radosnych podskokach pobiegł do stajni.

We wsi panował spokój. Ludzie nie powrócili jeszcze z pól. Zmęczone upałem psy spały przy budach. Anna pozdrawiała kobiety, kręcące się po obejściach. Gdy zbliżali się do jednej z chałup, powiedziała:

– Tu mieszka Achilles.

– Tak się nazywa? – zdziwił się Adam.

Roześmiała się.

– To Antek, wnuk Agaty i narzeczonej naszej Zosi. Mama chce, by jej pozował do obrazu.

– I co on na to?

– Aż się zapalił, ale Agata lamentowała, że to obraza boska i że ludzie wezmą mamę na języki.

– Przecież pani Barbara już malowała tutejszych.

– Ale nie na wpół rozebranych.

Stanęli przy rozpadającym się chruścianym płocie. W pełnym chwastów, zagraconym ogrodzie bawiła się trójka bosych i umorusanych dzieci. Drewniane ściany niskiej, zapadniętej chałupy najwyraźniej dawno nie były bielone. Z domu wyszła kobieta, uginając się pod ciężarem wiadra. Na ich widok przystanęła i postawiła je na ziemi. Mały, może dwuletni płowowłosy chłopczyk uczeplił się kurczowo matczynej spódnicy i spoglądał na przybyłych z palcem w półotwartej buzi.

– Dzień dobry, pani Grzelakowa.

Kobieta podeszła bliżej. Wytarła ręce w pasiasty fartuch.

– Dzień dobry panience i panu – odpowiedziała grzecznie. Jej usta wygięły się w uśmiechu, ale oczy pozostały czujne i zalęknione.

– Mąż w domu? – spytała szybko Anna.

– Nie ma go. – Machnęła ręką, jakby odganiając się od uprzykrzonej muchy. – Pewnie pije gdzie z Jaśkiem.

Anna podała jej zwitek banknotów, które kobieta zręcznie schowała do kieszeni

fartucha.

– Bóg zapłać panience – powiedziała nabrzmiałym łzami cichym głosem.

Chwyliła wiadro. – Muszę zadać świniom.

Od strony na w pół rozwalonej szopy dobiegał natarczywy kwik głodnych zwierzaków.

– Grzelakowa była mamką Wiktora – wyjaśniła Anna, gdy nieco się oddalili. –

Jasiek to jej najstarszy syn. Zamiast pomóc matce... – Pokręciła głową z dezaprobatą.

„Nie naprawisz całego świata” – pomyślał Adam, ale nic nie powiedział. Był pewien, że rozgniewałby dziewczynę tymi słowami.

Biegnącą od skraju wsi wąską ścieżyną dotarli do łąki, którą Wiktor zamierzał sprzedać. Rozpościerała się aż do Warty. Stanęli na brzegu. Woda lśniła od słonecznych promieni.

– Trochę szkoda tej łąki – odezwał się.

Anna westchnęła.

– Gdyby ojciec żył... – W jej głosie zadrgała nuta żalu. – Wiktor w ogóle go nie znał.

– A ty pamiętasz ojca?

Potrząsnęła głową.

– Niewiele. Tylko skrawki, pojedyncze obrazy. Gdy umarł na serce, miałam trzy lata. Pamiętam, że bardzo się bałam... – Patrząc w zadumie na drugi brzeg, Anna mówiła, jakby do siebie: – Przestałam się bać dopiero, jak przyszła Agata i zajęła się wszystkim. Pomagała doktorowi przy mamie. Ojciec płakał. Wziął Wiktora na ręce i płakał. Wszyscy myśleli, że mama umrze. Widzisz, mama pochodziła z zamożnej rodziny, a ojciec miał tylko Staszewo. W dodatku był od mamy szesnaście lat starszy. Dlatego jej rodzice sprzeciwiali się. Ale mama się uparła. – Na ustach dziewczyny ukazał się blady uśmiech. – Zawsze robi to, co chce. Ojciec starał się, by mama nie zaznała biedy.

– Dobrze, że Agata jest z wami.

– Nie wiem, co byśmy bez niej zrobili. Agata znalazła mamkę dla Wiktora i zarządcę. Sama zajęła się domem. Tak naprawdę opiekowała się i nami, i mamą.

Popatrzyli jeszcze na rzekę i Anna rzekła:

– Wracajmy, jest tak gorąco. Napijemy się lemoniady.

Gdy minęli chałupę Grzelakowej i doszli do następnego domu, zobaczyli młodego mężczyznę niosącego oburącz stertę porąbanych polan. Zrzucił je obok pieca chlebowego.

– Dzień dobry, Antku! – zawołała Anna.

Odwrócił się i uśmiech rozjaśnił jego urodziwą, opaloną twarz.

– Dzień dobry. – Dłonią odgarnął włosy w kolorze dojrzałej pszenicy.

Rozchełstana koszula odsłaniała silną, zbrązowiałą od słońca pierś.

– Rzeczywiście, prawdziwy Achilles – powiedział Adam półgłosem.

Drzwi chaty otworzyły się szeroko i na progu ukazała się kobieta w szarej, zapinanej na guziki sukni. Szybkim krokiem podeszła do płotu. Miała jasne włosy, zaplecione w gruby, owinięty dookoła głowy warkocz.

– Jak się miewasz, Marcelino – powitała ją Anna.

– Dobrze, chwała Bogu! – Kobieta mówiła lekko zadyszczanym głosem. – Antoś, wrzuc do pieca! – krzyknęła przez ramię do syna. – Jeno skwar minie, napiekę chleba

i rankiem przyniosę – zwróciła się do dziewczyny, zerknąwszy przedtem ciekawie na jej towarzysza. – Matka mówiła, że u państwa wszystek wyszedł.

Adam przyglądał się domostwu. Obejście było uprzątnięte, a ściany świeżo pobielone. Stojąca nieopodal chałupa Grzelakowej wydawała się przez to jeszcze nędzniejsza.

\* \* \*

Po podwieczorku poprosił Barbarę, by pokazała mu swoje najnowsze obrazy. Do pracowni prowadziła wąska dróżka między zadbanymi grządkami warzywnika. Idąc za Drwęcką, omal nie rozdeptał dorodnego ogórka.

Najpierw obejrzał sporych rozmiarów nadrzeczny pejzaż. Od razu rozpoznał brzozowy zagajnik, który mijali z Anną w drodze ku brzegowi Warty.

– Uważaj, ten jeszcze nie wysechł. Nie ubrudź się farbą – ostrzegła Barbara, gdy podszedł, by przypatrzeć się następnemu obrazowi. Na ukwieconej łące siedziała pogrążona w głębokiej zadumie dziewczyna. Śnieżnobiała szata i wianek maków na rozpuszczonych kasztanowych włosach odcinały się wyraźnie od delikatnego tła.

– Kora – zawyrokował.

– Byłam pewna, że rozpoznasz. – Barbara przyglądała mu się z uśmiechem, przechyliwszy głowę nieco na bok. – Modelem była Anna. Nie potrafię malować ludzi z wyobraźni. Antek jest idealnym Achillesem. Tak sobie zawsze wyobrażałam trojańskiego bohatera.

– Będzie pani pozował?

– Oczywiście. Agata podąsa się trochę, ale jej to minie.

– Chyba się o panią martwi – zauważył.

– To prawda! – Westchnęła. – Wiem, że chce jak najlepiej, jest taka pocziwa.

– Pani Barbaro. – Twarz Adama przybrała poważny wyraz. – Proszę się na mnie nie gniewać, nie chcę być wścibski, ale...

– Wiem, że nie jesteś wścibski – weszła mu w słowo. – Nie ma powodu, by się niepokoić. Agata niepotrzebnie wzywała doktora. Chciała mu wmówić, że jestem poważnie chora. Na swój sposób potrafi być przebiegła. – Uśmiechnęła się. – Boi się plotek i usiłuje odciągnąć mnie od malowania Antka.

– Może ma trochę racji – zauważył ostrożnie Adam. – Na wsi panują obyczaje raczej... tradycyjne.

– O tak! Wiem coś o tym. Niektórzy uważają, że powinnam do końca życia nosić wdowią szatę. Ale dość już o tym. Nie pokazałam ci jeszcze wszystkich obrazów.

\* \* \*

Podporządkowane rytmom natury życie na wsi podobało się Adamowi. Rankiem szli z Anną do kurnika zebrać jajka i do ogrodu po zaordynowane przez Agatę warzywa. Wiktor zaraz po śniadaniu zniknął, by pojawić się dopiero w porze obiadu. Doglądał pól i finalizował sprzedaż łąki.

Podczas bytności Adama doktor Bielecki przyjeżdżał niemal codziennie, by dowiadywać się o zdrowie Barbary. Był to niewysoki, zażywny mężczyzna z wianuszkami siwych włosów wokół łysiny na czubku głowy.

Zostawał na podwieczorku i przed odjazdem rozmawiał jeszcze chwilę z Drwęcką, trzymając jej rękę w obu dłoniach. Adam usłyszał raz, jak mówił do niej:

- Daj sobie spokój z tymi głupstwami, moja droga. Nie chcę, byś się denerwowała.

Tydzień w Staszewie przeleciał jak z bicia strzelił. Tym razem to Anna i Wiktor odwieźli Tarneckiego na stację. Przy pożegnaniu obiecał im, że przyjedzie za miesiąc.

W Poznaniu był tylko dwa dni. Przygotowywał się do męczącej wyprawy na południe Europy.

Wrócił po trzech tygodniach. W domu czekał na niego list od Anny. Zawiadamała, że jej matka zmarła niespodziewanie na serce. Została pochowana na staszewskim cmentarzu, w rodzinnym grobowcu Drwęckich.

## II

Na marmurową płytę padał ogromny cień białej wierzby.

- Nie mogę sobie darować, że nie było mnie przy tobie.
- To nie twoja wina - powiedziała bezbarwnym głosem Anna.

Pytania cisnęły się Adamowi na usta, ale nie chciał jej przysparzać dodatkowych cierpień. Prawie nic nie jadła. Oczy wydawały się jeszcze większe i ciemniejsze w wymizerowanej twarzy. Wiktor pozornie znosił tę sytuację lepiej, harując od świtu do nocy. Agata, przygarbiona, snuła się, powłócząc nogami i odruchowo wykonując swoje codzienne obowiązki.

Objął Annę ramieniem i wolno ruszyli w stronę cmentarnej bramy.

Zobaczył Macieja, który podążał sąsiednią alejką. Mimo woli spojrzął za nim przez ramię. Ogrodnik nie zatrzymał się przy grobowcu Drwęckich, tylko poszedł dalej, w głąb cmentarza.

Podczas obiadu Anna przełknęła zaledwie parę łyżek zupy. Odprowadził ją później do pokoju, by odpoczęła. Zaszedł do kuchni, gdzie zastał Agatę, siedzącą nieruchomo na krześle, ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Spytał, czy może wziąć konia. Przez chwilę patrzyła, mrugając oczyma, jakby nie rozumiała, co do niej mówi. Wreszcie skinęła obojętnie głową.

W Dąbówce zostawił konia na stacji. Nie znał adresu doktora Bieleckiego, ale słusznie liczył, że ktoś wskaże mu drogę.

Lekarz mieszkał niedaleko, w małym dwukondygnacyjnym domku z czerwonej cegły. Adam zastukał mosiężną kołatką. Otworzyła tęga starsza kobieta, zapewne gospodyni, w brązowej bawełnianej sukni. Spod koronkowego czepka wymykały się kosmyki siwych włosów.

- Wpuść pana, Greto - z góry dobiegł głos Bieleckiego. - Zaraz schodzę.

- Proszę, niech pan wejdzie - kobieta mówiła poprawną polszczyzną, zabarwioną jednak wyraźnym niemieckim akcentem.

Poszła przodem i zaprowadziła go do salonu. Stały w nim solidne, dębowe meble. Wszędzie panował nieskazitelny porządek. Gospodyni uprzejmie skinęła głową i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Wkrótce pojawił się doktor. Dopinał pospiesznie guzik przy surducie.



- Zobaczyłem pana przez okno – powiedział. – Czy coś się stało?

- Nie, nie! – uspokoił go Adam. – Chciałem z panem porozmawiać. Tak trudno mi uwierzyć...

- Proszę, niech pan siądzie. – Bielecki wskazał wysokie fotele, pokryte perkalową narzutą. – Nie było pana na pogrzebie. Anna pana nie zawiadomiła?

- Zawiadomiła, panie doktorze, ale list przeczytałem dopiero przedwczoraj. Jestem archeologiem. Najczęściej przebywam w miejscach, do których listy docierają z opóźnieniem albo wcale.

- Jak się domyślam, chce pan spytać o Barbarę.

- Czuję się winny, że nie było mnie z nimi – rzekł Tarnecki. – Przed wyjazdem rozmawiałem z panią Drwęcką, wydawała się całkiem zdrowa. A Anna nic nie mówiła o jej kłopotach z sercem. Wspominała jedynie o niestrawności.

- Zgadza się. – Lekarz skinął głową. – Chorobom serca często towarzyszą gastryczne objawy.

- Wiem, mój ojciec umarł na serce. Ale miał też bóle w piersiach, duszności. Pani Barbara na nic takiego się nie skarżyła. Czy pan jest pewien swojej diagnozy?

- Nie – odparł doktor bez wahania. – Chociaż z medycznego punktu nie mam ku temu podstaw. Barbara miała czterdzieści trzy lata. Duszności i ból wystąpiły u niej nagle. W jej wieku to rzadkość, ale jednak się zdarza.

- Skąd więc pańskie wątpliwości?

- Młody człowieku – w głosie Bieleckiego brzmiała nuta ironii – my, lekarze, jesteśmy tylko ludźmi. I także popełniamy błędy. Jako długoletni przyjaciel Barbary chciałbym być pewien przyczyn jej śmierci. Mniemam, że pan również. – Mówiąc to, spojrzał przenikliwie na rozmówcę.

- Nadal jednak nie wiem, co pana zaniepokoiło. Co innego mogło spowodować śmierć pani Drwęckiej?

- Trucizna – rzekł lekarz krótko.

Adam, z wyrazem kompletnego zaskoczenia na twarzy, milczał długą chwilę.

- Trucizna... – powtórzył, jakby chciał się upewnić, że właśnie to słowo padło z ust Bieleckiego. – Przecież trucizna szybciej by ją zabiła! – zaprotestował.

- Niekoniecznie. Barbara miewała od jakiegoś czasu objawy zatrucia pokarmowego. Później poczuła się lepiej, wydawała się zupełnie zdrowa. I nagle wystąpiły duszności, bóle serca i zgon. Tak zabija naparstnica. Ma zdolność kumulowania się w ciele. Inna sprawa, że jest stosowana jako lekarstwo właśnie w chorobach serca. Ale jak pan słusznie zauważył, Barbara nie uskarżała się na serce. Znam tę rodzinę od lat i wiedziałbym o tym. Nie wchodzi zatem w grę przypadkowe przedawkowanie. Jeżeli się nie mylę i Barbara zmarła od naparstnicy, musiało to być czyjeś celowe działanie. Nie widzę innej możliwości.

- Jak można ją zdobyć? – dopytywał wstrząśnięty Tarnecki.

- Bardzo łatwo. Rośnie na łąkach, w przydomowych ogrodach.

- Ale kto, u diabła, mógł chcieć śmierci pani Barbary! I dlaczego?

- Myślę o tym bez przerwy – wyznał lekarz. – Barbara była mi bliska i zapewne dlatego ta sprawa mnie dręczy.

- Nie rozumiem w takim razie, dlaczego nie zawiadomił pan policji.

- Rozważałem to. Biłem się z myślami przez parę godzin, zanim wypisałem akt

zgonu. Nazajutrz pojechałem do Poznania. Leczyłem kiedyś żonę komisarza dystryktu. Przyjął mnie. Powiedział, że wątpi, czy starosta każe wszcząć postępowanie. Tylu ludzi umiera na serce. Nie mówił wprost, ale dał do zrozumienia, że niemiecka policja nie będzie skora zająć się śmiercią wdowy po powstańcu. Zwłaszcza wobec tak nikłych poszlak.

– Więc nie ma możliwości, by dociec prawdy – rzekł cicho Adam.

– Myli się pan – powiedział wolno Bielecki, nie spuszczać uważnego spojrzenia z twarzy rozmówcy. – Przyjechał pan do mnie, bo sprawa Barbary nie daje panu spokoju. Jako archeolog docieka pan prawdy, dysponując jedynie fragmentami informacji. Proszę pomyśleć... – Pochylił się w stronę rozmówcy i mówił z ożywieniem: – Jeżeli ktoś zabił, to musiał mieć ważny powód. Gdy znajdziemy ten powód, znajdziemy sprawcę. Albo upewnimy się, że Barbara zmarła naturalnie, na serce.

– Czy kogoś pan podejrzewa? – spytał Adam, tknięty nagłą myślą.

– Młody przyjacielu – rzekł nieco oschle lekarz – prawda może okazać się okrutna. Nie ma sensu jej odkrywać, jeśli brak odwagi na jej przyjęcie. Barbarę zabił ktoś z najbliższego otoczenia. To najbardziej prawdopodobne.

– Oni wszyscy są załamani!

– Rozpacz i wyrzuty sumienia mogą się tak samo przejawiać. To jak z symptomami różnych chorób. Tu nie ma miejsca na sentymenty – dodał twardo Bielecki. – Albo jest pan gotów, albo tej rozmowy nie było.

– Z całą pewnością jestem gotów. – Tarnecki spojrzał lekarzowi prosto w oczy.

– Dobrze. Więc nie traćmy czasu. Mieszkając razem z rodziną Barbary, może pan dokładnie się im wszystkim przyjrzeć. Zakładam, że truciznę podano razem z jedzeniem.

– Jaki smak ma naparstnica?

– Gorzki, jak większość ziół. W przypadku naparstnicy najlepsze są wysuszone i starte liście. Do podtruwania wystarczą naprawdę minimalne ilości, a goryczkę łatwo zniwelować odpowiednimi przyprawami. To czyni Agatę główną podejrzaną.

– Wszyscy jedzą przy jednym stole – zauważył Adam. – Mógł się przecież otruć ktoś jeszcze.

– Zgoda, przyjacielu. Ale jak zapewne pan zauważył, Agata odnosiła się do Barbary ze szczególną atencją. Cieszyła się jej zaufaniem. Mogła, dla przykładu, bez trudu podać jej odpowiednio spreparowaną herbatę ziołową. Ponadto wiem, że Barbara nie zawsze jadła obiad razem z rodziną. Gdy malowała, nikomu nie wolno było wchodzić do pracowni. Zdarzało się, że Agata przygotowywała jej posiłek osobno.

– To potworne, co pan mówi. – Adam nawet nie starał się ukryć, jak bardzo jest zdruzgotany.

– Jak wiele ludzkich uczynków – odparł zimno Bielecki. Wyjął z kieszeni surduta zegarek. – Pora, by pan wracał. Proszę rozglądać się uważnie, ale dyskretnie. Będę jutro w Staszewie. Niech pan przyjedzie po mnie przed podwieczorkiem.

Doktor odprowadził gościa do drzwi. Już z ręką na klamce, Tarnecki spytał:

– Na czyj grób szedł ogrodnik Drwęckich? Widziałem go na cmentarzu.

– Jego córka Hanna jest tam pochowana. Pamiętam, że zmarła niedługo po

śmierci ojca Anny. Historia tragiczna, ale stara.

– Co się stało? – Adam nie oparł się ciekawości.

– Krwotok po spędzeniu płodu. Nic nie mogłem już dla niej zrobić. Wątpię, by miało to związek ze śmiercią Barbary.

– Chyba się pan nie myli, doktorze.

– W tej sprawie wszczęto dochodzenie – dodał Bielecki. – Najpierw przyjechali żandarmi z Dąbówki. Ktoś odkrył nad Wartą grób ze szkieletami płodów, wtedy wezwali policję z Poznania. Podejrzewali matkę Agaty, znaną w okolicy zielarkę. Taka wiedza jest od pokoleń przekazywana z matki na córkę. Przesłuchiwali całą wieś, ale wiadomo było, że nikt nic nie powie.

– Dlaczego?

– Wiejska społeczność rządzi się własnymi niepisаныmi prawami. Lepiej, by się pan na to przygotował. Jest pan dla nich tylko trochę mniej obcy niż niemiecka policja.

### III

Annę zastał w kuchni. Siedziała przy stole, tyłem do wejścia.

Dotknął jej ramienia. Z przykrością zobaczył łzy, które wolno spływały po wychudłych policzkach.

– Upał zelżał – powiedział łagodnie. – Pójdźmy na spacer.

Nie czekając na odpowiedź, ujął dłoń dziewczyny i niemal zmusił ją, by wstała. Bezwolnie dała się poprowadzić do wyjścia.

Trzymał mocno rękę Anny. Szli w milczeniu, a on gorączkowo zastanawiał się, jakimi słowami mógłby ukoić jej ból.

\* \* \*

Agata podała do stołu i wyszła pospiesznie z jadalni. Pewnie chciała zawołać na kolację Wiktora.

Anna prawie nic nie jadła; wypila trochę lipowej herbaty z miodem.

– Dobranoc – szepnęła, gdy stanęli przed drzwiami jej pokoju. Przytulił ją do siebie i przycisnął usta do miękkich włosów dziewczyny.

Czuł ogromne zmęczenie, ale na próżno usiłował zasnąć. Zbyt wiele myśli przelatywało mu przez głowę. Widział pod przymkniętymi powiekami znajome twarze. Jak echo powracały zasłyszane słowa.

Poraziła go nagła myśl, że Bielecki zbyt późno rozpoznał u Barbary chorobę i rozpaczliwie uczeplił się wersji o otruciu, by zagłuszyć własne wyrzuty sumienia.

\* \* \*

Sen nie nadchodził.

Okiennice były rozchylone, światło księżycy prześwitywało przez firanki.

Z sieni dobiegły czyjeś kroki. Adam pomyślał, że Wiktor przemyka do swojego pokoju albo Agata snuje się po domu. Zaszczekał gdzieś pies i nastąpiła cisza.

Zanim zmęczenie wreszcie wzięło górę, usłyszał jeszcze dalekie pianie koguta i po chwili stłumione odgłosy krzątania.

\* \* \*

Obudził się i zobaczył, że okno jest szeroko otwarte. Najwidoczniej ktoś rano tutaj wszedł. Wpadające bez przeszkód słoneczne promienie zalewały cały pokój. Czuł na skórze ich ciepłą pieśczołę.

Szybko uporał się z poranną toaletą i pospieszył do kuchni. Nikogo w niej nie zastał. Sięgnął do kieszeni po zegarek. Dochodziło południe. Było mu trochę wstyd, ale pocieszała go myśl, że przynajmniej porządnie się wyspał.

Pojawiła się Agata.

– Dzień dobry panu. Zaraz naszykuję śniadanie.

– Nie trzeba! Muszę iść pomóc Annie. Dlaczego mnie nie obudziliście?

Wzruszyła ramionami i poczłapała do sieni.

Wiedział, co chciała dać mu do zrozumienia. Był tu tylko gościem, a oni radzili sobie i bez niego.

Ze stojącego na kredensie dzbanka nalał mleka do kubka. Popijał małymi łykami, spoglądając przez okno na stadko kur.

Uświadomił sobie nagle, że nie widział nigdy Barbary pomagającej w gospodarstwie. Anna potrafiła wydoić krowę, karmiła drób, umiała gotować. Wiktor doglądał pól, a w czasie żniw czy wykopków pracował wspólnie z chłopami. Zarazem i oni obydwój, i Agata uważali za normalne, że Barbara, wytworna i delikatna niby figurynka z porcelany, zajmowała się jedynie malowaniem oraz graniem na pianinie. To nią opiekowali się najtroskliwiej, dbając, by nic nie zakłóciło jej spokoju. Największy ciężar spoczywał na barkach Agaty, faktycznej pani domu. Barbara była jak zbyt kowna ozdoba, a jednak tak dotkliwie jej brakowało. Odnosiło się wrażenie, że lada chwila całe ich życie legnie w gruzach.

„To niemożliwe!” – powiedział do siebie w myślach. Czy ci, którzy kochali Drwęcką, byliby w stanie...

– Nie chciałam cię budzić. – Wejście Anny gwałtownie wyrwało go z zadumy.

Z radością zauważył, że nie jest już taka blada i nawet słaby uśmiech zagościł na jej ustach.

– Tak mi wstyd – powiedział ze skruszoną miną. – Miałem ci pomóc.

– Idę po chleb. Możesz pójść ze mną.

\* \* \*

Córka Agaty niespiesznie krzątała się po podwórzu. Z tyłu dochodził odgłos rąbania drewna.

– Dzień dobry, Marcelino – odezwała się Anna przyjaźnie.

Kobieta podeszła z uśmiechem.

– Dzień dobry. Zaraz przyniosę chleby.

Ruszyła w stronę domu.

Ukazał się jej syn. Był bez koszuli.

– Antek! – krzyknęła ostro Marcelina. – Odziej mi się zaraz. Wstydu nie masz!

Spąsowiał.

– Da matka spokój! – burknął, ale posłusznie zawrócił.

– Skaranie boskie z tym chłopakiem! – wzburzona Marcelina pobiegła do domu.

Wyniosła zawinięte w lnianą chustę bochenki.

– Jest tak gorąco, niech się pani nie gniewa na syna – odezwał się Adam pojednawczo.

– To grzech – rzekła surowo. – Do widzenia państwu. – Odwróciła się i poszła do szopy, za którą Antek rąbał drewno.

– Do widzenia! – zawołała za nią Anna.

Gdy wracali do domu, Adam powrócił myślami do jednej z wizyt doktora Bieleckiego, jeszcze za życia Barbary. Siedzieli wszyscy przy podwieczorku w ogrodzie za domem. Barbara z entuzjazmem opowiadała o Antku-Achillesie. Pożaliła się na Agatę i Marcelinę, które zabraniały chłopakowi pozowania.

– Powinnaś się postarać zrozumieć tych ludzi – oznajmił lekarz. – Ich tradycje i obyczaje mają swój głęboki sens, dla nas niewidoczny i niezrozumiały.

– Nie przesadzaj, mój drogi. – Drwęcka roześmiała się.

– Nie przesadzam. Podczas upału aż kusi, by zrzucić ubranie. Koszula chroni przed poparzeniem i udarem.

– Przecież Antek ma pozować w pracowni – zaproponowała Barbara. – Tam udar mu na pewno nie grozi.

Doktor uśmiechnął się do niej jak do dziecka.

– Ci ludzie wiedzą, że nie wolno chodzić bez ubrania i basta. Tego się trzymają. Zasady dają im poczucie bezpieczeństwa.

– To takie trywialne! – Westchnęła. – A artysta musi być wolny.

– Nie pasujesz tutaj, kochana Barbaro. – Bielecki pokręcił głową, nie przestając się pobłaźliwie uśmiechać.

Dopiero teraz, gdy Tarnecki przypominał sobie tę rozmowę, uderzyła go trafność poczynionej przez lekarza uwagi.

\* \* \*

Przy obiedzie poinformował, że doktor będzie na podwieczorku. Spytał wchodzącą właśnie do jadalnego Agatę, czy bryczka jest wolna.

– Może pojedziesz ze mną? – zwrócił się do Anny.

Pokręciła przecząco głową.

– Muszę pomóc Agacie. Zosia jest chora.

– Co się stało? – spytał.

– Pewnie zjadła za dużo kiszonych ogórków – powiedziała Agata. – Tylko utrapienie z tym dziewczuszką!

Adam wiedział od narzeczonej, że staruszka nie jest zadowolona z zaręczyn Antka i Zosi.

– Nie mów tak – rzekła Anna. – Poproszę doktora, żeby zajrzał do Zosi.

Wiktora nie było na obiedzie. Zapowiedział rano, że nie wie, kiedy wróci.

\* \* \*

Czekał na stacji przeszło kwadrans.

– Porozmawiamy później – zdecydował lekarz, gdy uścisnęli sobie ręce. – Teraz jedźmy, bo się spóźnimy na podwieczorek, a Agata tego nie lubi. I chyba za wcześnie na jakieś wyniki – dodał, sadowiąc się w bryczce.

– Nie bardzo wiem, od czego właściwie zacząć. – Adam zawrócił konia.

– Niech pan po prostu uważnie wszystkich obserwuje.

Kasztanka biegła rażno; doskonale znała pokonywaną już tyle razy drogę.

\* \* \*

Anna wyszła powitać Bieleckiego.

– Jak się czujesz? – spytał, patrząc z troską. – Wiem, że nie masz apetytu, ale musisz jeść. Dbaj o siebie. Pamiętaj, że tego by chciała twoja matka.

Jej oczy wezbrały łzami, bez słowa skinęła głową. Doktor pocałował ją w czoło.

Na progu ukazała się Agata.

– Podałam w jadalni.

W milczeniu zasiedli do stołu.

Pod koniec podwieczorku Anna poprosiła, by doktor zaszedł do Zosi.

– Co jej jest? – spytał z zainteresowaniem.

– Boli ją brzuch. Agata mówi, że to od ogórków i zsiadłego mleka.

– Możliwe – rzekł Bielecki. – Zajrżę do niej.

– Pójdę z panem doktorem. – Adam spojrzał pytająco na Annę.

– Dobrze – odparła. – Muszę nakarmić drób i później pomóc Agacie przy kolacji.

\* \* \*

– Cieszę się, że Anna ma mnóstwo pracy – powiedział lekarz. – Nie ma nic gorszego w takiej sytuacji niż bezczynność.

– Widzę, że o Wiktora mniej się pan martwi – zauważył Adam.

– Ależ martwię się, bardziej niż o Annę. Wiktor jest właściwie głową rodziny, a ma dopiero dwadzieścia lat. Nie chce okazywać słabości i dusi wszystko w sobie.

Dochodzili do domu Zosi. Jej matka karmiła na podwórzu kury. Była wdową, jedną z najuboższych gospodyń w Staszewie.

– Proszę tutaj poczekać – powiedział lekarz półgłosem do Tarneckiego. – Dzień dobry, pani Leciejowa – rzekł głośno, wchodząc na nieogrodzone podwórko. – Przyszedłem do Zosi. Panienna Anna martwi się o nią.

Kobieta rozsypała resztę ziarna na ziemię i szybko wytarła ręce w fartuch, rzucając Adamowi nieufne spojrzenie.

– Niech panience Pan Bóg pobłogosławi! I panu doktorowi.

Otworzyła drzwi do chałupy. Wchodząc za nią, Bielecki musiał schylić głowę.

Po dłuższej chwili ukazał się na progu, a za nim Leciejowa.

– Panienna da wam, co trzeba. – Podał jej kartkę. Chwyciła ją pospiesznie. Doktor wrócił do środka.

Gdy zdyszana kobieta pojawiła się z powrotem, wychodził właśnie na zewnątrz.

– Zosi nic nie będzie. Niech poleży do jutra. Dawajcie jej samą kaszę i ugotowaną wodę, aż ból minie.

– A co z maścią od panienki? – spytała, wysłuchawszy pilnie poleceń.

– Smarujcie jej plecy rano i wieczorem.

– Bóg zapłać panu doktorowi – rzekła z pokorą.

– Lekarstwo od Agaty wam pomaga? – spytał, przypatrując się jej z uwagą.

Zawahała się chwilę i wolno pokiwała głową.

– Idźcie do Zosi. – Bielecki w geście współczucia dotknął jej ręki. – Przyjdę jeszcze w tym tygodniu.

Dopiero gdy oddalili się od chałupy, powiedział:

– Dziewczyna chyba rzeczywiście czymś się przejadła. Ale zauważyłem, że Leciejowa łatwo dostaje zadyszki i ma obrzęki. To zwiastuje kłopoty z sercem. Pomyślałem, że być może bierze naparstnicę. Uciekłem się do wybiegu i wysłałem ją do Anny po kamforę. Nie jest potrzebna, ale na pewno nie zaszkodzi.

– Znalazł pan coś?

– W kredensie były suszone zioła. Zawinałem trochę w chusteczkę. Sądzę, że to naparstnica, ale chcę mieć pewność.

– I zablefował pan...

– Tak. Dzięki temu wiemy na pewno, że dostała je od Agaty. Gdyby tak nie było, od razu by zaprzeczyła. Jeżeli to naparstnica, musimy sprawdzić, czy pozostali domownicy mogli mieć do niej dostęp.

Te słowa zmroziły Adama. Jak będzie wyglądało ich wspólne życie z Anną, jeżeli nie zdołają odkryć prawdy?

\* \* \*

Wieczorem dwa dni później Tarnecki odwiedził doktora w jego domu. Greta przyniosła do salonu dzbanek kawy i wychodząc, dyskretnie zamknęła za sobą drzwi.

Poprzedniego dnia rano, gdy Anna poszła z Agatą do krów, Tarnecki wykorzystał okazję i przeszukał kuchnię. Nie znalazł jednak żadnych ziół podobnych do tych, które Bielecki zabrał z domu Leciejowej.

– Spodziewałem się, że w kuchni nic pan nie znajdzie – powiedział lekarz. Napełnił filiżanki i podsunął gościowi pudełko z cygarami. – Jeżeli moje podejrzenia co do Agaty są słuszne, to naparstnica prędzej znajdzie się w jej pokoju albo w domu córki.

– Czyli Anna i Wiktor nie mieli do niej dostępu? – spytał ostrożnie Adam.

– Truciciel mógł się jej po prostu pozbyć. – Bielecki starannie obciął cygaro. Zapalił i zaciągnąwszy się, kontynuował: – Nawet gdy ją znajdziemy, to niczego nie przesądza. Przemyślałem sprawę naparstnicy i doszedłem do wniosku, że nie tędy droga. Nie zapominajmy, że łatwo ją zdobyć. Musi pan przyjrzeć się dokładnie wszelkim konfliktom. Tylko znalezienie motywu daje szansę na odkrycie prawdy.

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to spór o Antka.

Doktor skrzywił się z niechęcią.

– Doradzałem Barbarze, by dla świętego spokoju tego zaniechała. Może zresztą tak uczyniła, nie chcąc denerwować Agaty. Ale doprawdy...

– Faktycznie, to nedorzeczny powód – zgodził się Adam. Po chwili dodał

niepewnie: – Jest jeszcze sprawa z Zosią. Chociaż...

– Proszę mówić – zachęcił doktor. – Nawet błahostka może wskazać trop.

– Przyszła dzisiaj. Widziałem, że płakała. Dowiedziałem się od Anny, że chodzi o wesele Zosi i Antka. Miało być zaraz po żniwach, ale Agata kazała je odłożyć co najmniej do wiosny.

– Ze względu na Barbarę?

– Tak. Ale wiem też, że nie jest zachwycona tym ożenkiem. Może żałoba po pani Drwęckiej była tylko pretekstem?

– Powinien pan jak najszybciej porozmawiać z naszym Achillesem – poradził Bielecki. – Ciekawe, jak on się na to zapatruje. Niewykluczone, że ten młokos podkochiwał się w Barbarze.

– Ależ, panie doktorze! – zachnął się Tarnecki.

Lekarz uśmiechnął się z lekką kpina.

– Już długo żyję na tym świecie i proszę mi wierzyć, widziałem rzeczy o wiele dziwniejsze.

Myśli Adama pobiegły ku Barbarze. Zobaczył jasne roześmiane oczy, delikatną twarz w aureoli złocistych włosów, giętką sylwetkę otuloną miękkością jedwabiu, wysmukłe palce na klawiszach.

I ujrzał kobiety, które Antek widywał na co dzień, ubrane w bure suknie i fartuchy, z przedwcześnie postarzałymi twarzami i szorstkimi rękoma.

Bielecki przyglądał mu się uważnie, wypuszczając kolejną chmurę dymu z cygara.

– Chyba ma pan rację, doktorze. Ale to oznacza, że Zosia mogła być zazdrosna – powiedział Tarnecki z namysłem.

– I pracuje z Agatą w kuchni – dodał wolno doktor.

Adam odczuł ulgę, że ten trop wiedzie do osoby spoza rodziny Barbary. Sam nie wiedział, dlaczego zawstydził się swoich myśli.

\* \* \*

Zapadał zmierzch, gdy wolnym krokiem zmierzał do stacji. Przyszło mu do głowy, że utrzymanie Barbary musiało być dla Wiktora sporym obciążeniem. Jako właściciel Staszewa borykał się co rusz z finansowymi problemami. Na pewno nie było mu łatwo podjąć decyzję o sprzedaży części ojcowizny.

Już leżąc w łóżku, Adam zaczął się zastanawiać, czy Bielecki go nie zmanipulował. Poczuł, jak wzbiera w nim niepokój. Przecież komisarz z Poznania twierdził, że nie ma podstaw do wszczęcia śledztwa. Może ta cała sprawa z otruciem jest jedynie urojeniem?

## IV

Nazajutrz po śniadaniu Anna i Wiktor pojechali bryczką do Dąbówki. Wiktor był umówiony z Dylewskim u rejenta.

Tarnecki poszedł na cmentarz. Już z daleka dojrzał Macieja, idącego od strony bramy i wchodzącego później do kościoła.

Na nagrobku Drwęckiej leżał krzyż. Był misternie wyrzeźbiony z jednego kawałka



lipowego drewna. Niewątpliwie wyszedł spod rąk utalentowanego artysty. Adam zachodził w głowę, kto go przyniósł. Wczoraj przed południem z Anną i Wiktorem odwiedzili grób Barbary. Krzyża z całą pewnością jeszcze nie było.

Głęboko zamyślony wracał piaszczystą drogą do domu. Zatrzymał się przed kościelną furtką. Zobaczył Macieja. Ogrodnik w milczeniu skinął głową i wolno ruszył do wsi.

\* \* \*

Na podwórzu przed domem Marcelina gawędziła z Zosią. W przeciwieństwie do Agaty jej córka sprzyjała młodym.

Adam pomyślał, że ma okazję, by porozmawiać sam na sam z Antkiem. Pospiesznie zawrócił. Na szczęście rozgadane kobiety nie zauważyły go.

Jeszcze przed furtką usłyszał odgłos rąbania drewna. Marcelina potrzebowała sporo opału do chlebowego pieca.

Adam wszedł na podwórze i skierował się do szopy. Antek szybko i sprawnie rozłupywał polana na ściętym pniu. Za jego plecami na gałęzi jabłonki wisiała koszula.

– Dzień dobry! – powiedział głośno Tarnecki.

Chłopak wyprostował się.

– Dzień dobry panu. Matki nie ma.

Niebieskie oczy nosiły ślady łez. Włosy, zawinięte za uszy, opadły z jednej strony na opalony policzek. Odgarnął je niecierpliwym ruchem ręki.

– Przyszedłem do ciebie.

Antek rzucił spłoszone spojrzenie w stronę furtki. Odwrócił się i chwyciwszy koszulę, szybko ją wciągnął. Najwidoczniej obawiał się kolejnej bury od matki.

– Wszystkim nam brakuje pani Barbary – powiedział cicho Adam, patrząc prosto w twarz Antka.

Chłopak milczał. Stał ze zwieszonymi ramionami.

– Wiem, że babcia kazała ci przełożyć ślub.

– Tak trzeba! – odezwał się Antek niespodziewanie. Adama zadziwił ton jego głosu. Czyżby Bielecki miał rację?

– Szkoda, że pani nie zdążyła cię namalować.

Oczy Antka zaszklily się.

– Niech pan już idzie.

– Wybacz, nie chciałem ci sprawić przykrości.

Adam odwrócił się i zobaczył ustawione przy bocznej ścianie domu lipowe figurki ludzi i zwierząt. Nie były widoczne od strony podwórza.

Poczuł, że coś ściska go za gardło.

\* \* \*

Dom był pusty i cichy. Adam wszedł do salonu. Patrząc w ciemne, zimne wnętrza kominka, wspominał wigilijny wieczór, gdy razem z Drwęckimi siedział przy buzującym ogniu.

Oparł się o wezglowie fotela. Jego wzrok powędrował ku portretom. Przymknął

powieki i próbował przywołać z zakamarków pamięci chwile, które spędził w towarzystwie Barbary.

Widział, jak wstaje od pianina w rozświetlonym słońcem salonie i podchodzi z promiennym uśmiechem. Słyszał szelest jedwabiu i czuł subtelny zapach perfum. Zobaczył, jak nalewa herbatę, odgarnia niesforny pukiel włosów i wyśmiewa się z wywodów Bieleckiego, gdy siedzieli przy podwieczorku w ogrodzie.

Czy doktor miał rację, twierdząc, że Antek mógł się zakochać w Drwęckiej? Adam już nie uważał tej sugestii za absurdalną. Przypomniał sobie ślady łez na twarzy Antka i kunsztownie rzeźbiony krzyż na marmurowej płycie grobowca.

Zerwał się z fotela.

W progu przystanął i odwrócił się. Miał wrażenie, że przywołało go spojrzenie Barbary z portretu nad kominkiem.

Zmarszczył czoło. Dręczyło go jakieś mgliste przeczucie, jakby z podświadomości coś próbowało wypłynąć na powierzchnię myśli.

\* \* \*

Drżącymi rękoma osiodłał konia i wyprowadził go ze stajni.

Zobaczył Agatę i Zosię, które stały przed gankiem z koszami pełnymi ogórków.

– A dokąd to się pan wybiera? – krzyknęła Agata.

– Wróć niebawem – rzekł pospiesznie i wskoczył na siodło.

Galopował, wzniecając tumany kurzu. Modlił się w duchu, by Bielecki był w domu.

\* \* \*

– Co się stało? – lekarz patrzył na niego ze zdumieniem. – Ale proszę, niech pan wejdzie.

– Doktorze! – Adam z trudem łapał oddech. – Muszę spytać o coś ważnego.

\* \* \*

– Wszystko się zgadza – rzekł wolno doktor. – To nie może być przypadek. I co pan teraz zrobi?

– Myślałem, że to oczywiste – odparł Tarnecki ze zdziwieniem.

Bielecki pokręcił głową.

– Trudna sprawa, piekielnie zagmatwana. Decyzję pozostawiam panu. Niech pan jednak pamięta o tych, którzy żyją.

– Tylko tyle ma mi pan do powiedzenia? – spytał cicho Adam.

Doktor wrzucił zgasłe cygaro do popielniczki.

– Nic już nie zwróci mi Barbary.

\* \* \*

Anna i Wiktor nie wrócili jeszcze od rejenta. Adam rozkulbaczył i wytarł zgrzanego konia.

Wyczuł nagle czyjaś obecność.

Odwrócił się. W otwartych wrotach stała Agata.

Przez całą drogę wyobrażał sobie rozmowę z nią, układał w myślach słowa, które wydały mu się najważniejsze. Teraz poczuł, że przygotowania zdały się na nic.

Niemal bezwiednie wyrwało mu się pytanie:

– Dlaczego to zrobiłaś?

W wyblakłych oczach nie ujrzął lęku. Tylko czujność.

– Nie mogłaś pozwolić, by Barbara malowała Antka. Obydwoje mają na plecach identyczne znamię.

Agata słuchała z zaciętą twarzą, a on mówił coraz szybciej i coraz bardziej chaotycznie, jakby się bał, że nie zdąży wszystkiego z siebie wyrzucić.

– Antek odgarnął włosy z twarzy... tak samo, jak ona. Uświadomiłem to sobie dopiero później. Zobaczyłem jego rzeźby. Pewnie nie wiedziałaś, że zrobił krzyż i położył go na grobie. Jest artystą tak jak matka. Zaczynałem rozumieć. Upewniłem się, gdy spytałem doktora o znamię u Barbary. Wtedy byłem już pewien.

Jej uporczywe milczenie zaczęło go niepokoić.

– Dlaczego zamieniłaś dzieci? Zabrałaś Annie brata. I matce...

– Annie brata nie zabrałam – przerwała mu.

– Co ty mówisz! Jak to nie... – Nagle zrozumiał sens jej słów. – Przecież Drwęcki nigdy by...

Dotarło do niego, że ona mówi prawdę. Dawno już zauważył, jak bardzo Anna i Wiktor są do siebie podobni. I do mężczyzny z portretu nad kominkiem.

– Marcelina uparła się rodzić – powiedziała Agata. – Głupia była, nie to co inne.

– Jak Hanna, córka ogrodnika... Przecież ona zmarła.

– Śmierć lepsza niż urodzić bękarta na nędzę i poniewierkę – rzekła dobitnie.

– Czy twoja córka...

– Ona nie wie. Urodziły tego samego dnia. Obie leżały nieprzytomne w gorączce. To był znak.

– A doktor nic nie podejrzewał?

– Ja odebrałam poród. Doktor przyjechał później. Obchodziła go tylko Barbara.

Zastanawiał się, którego ze swoich synów zdążył wziąć na ręce Gwidon Drwęcki.

– Mogłaś powiedzieć Barbarze prawdę – powiedział zmęczonym głosem.

– Prawdę na panine delikatne uszy? – spytała szyderczo. Wbiła w niego zimne spojrzenie. – Pan nic nie powie, ja i tak już długo nie pociągnę.

Nie był zaskoczony. Wiedział od doktora, że zostało jej najwyżej kilka miesięcy życia.

Zdawał sobie sprawę, że ta twarda chłopka ma rację. Teraz doskonale rozumiał, co miał na myśli Bielecki, gdy mówił, by pamiętać o tych, którzy żyją.

\* \* \*

Agata zmarła tuż przed Bożym Narodzeniem. Anna i Adam wzięli ślub latem, rok po śmierci Barbary.

# Katarzyna Rogińska

## ŚPIĄCY POLICJANT I SAMOBÓJCA

Prawo jest prawem i nie policjantom na nie wybrzydzać. Ale niektóre artykuły Kodeksu Karnego – ten o ułatwianiu i namawianiu do samobójstwa, a także ten, który mówi o samobójstwie jako skutku znęcania się – otworzył drzwi naprawdę smutnym sprawom. Przecież – tak sobie tłumaczą niekiedy rodziny samobójców – sam z siebie nie mógł się targnąć na własne życie, to na pewno było morderstwo. A jeśli nie, to może ktoś go namówił, omamił albo skrzywdził. Choroba psychiczna, zaburzenia osobowości? Jakie zaburzenia, normalny był, w domu wszystko w porządku, wesoły, spokojny. To przez jego kumpli narkomanów, przez tę dziewczynę, co go rzuciła, przez jego ojca, który choć dawno mieszka gdzie indziej, jednak przez telefon nadal może się znęcać.

Szanujemy rozpacz matek samobójców, staramy się być delikatni i taktowni, wykonujemy swoje czynności, ale z góry wiemy, na stówę, że nikt go nie zachęcał, nikt się nie znęcał; nie wytrzymał chłopak ciśnienia i tyle, za słaby był, nawet na to, żeby do psychiatrii pójść. A jakby poszedł, to może by żył.

Był u nas jeden policjant, ksywę miał Car, bo podejrzanym i innym nieposłusznym elementom zawsze powtarzał: „Ja tu jestem car i bóg, więc mi nie podskakuj!”. Dobry gliniarz, ale miał jedną dziwną przypadłość: zasypiał wszędzie i o każdej porze. Często się do niego wchodziło, nawet pukając wcześniej, a ten kimał na siedząco. Ale dochodzenia ogarniał całkiem sprawnie. I to właśnie Carowi przytrafiła się sprawa z tych, co na sto procent nigdy się nie zdarzą...

\* \* \*

Do końca dyżuru, czyli przez jakieś pół godziny, nikt już Cara nie budził. Sam wstał. Przeciągnął się, wykonał kilka ćwiczeń na kręgosłup szyjny, bo bóle karku znów dawały mu się we znaki. Sporządził pismo, przez chwilę przyglądał się papierom na biurku i tablicy z notatkami na kolorowych kartkach, po czym ze smutkiem stwierdził, że pora iść do domu.

Dom. Za dużo powiedziane. Po prostu miejsce, gdzie czasem musi przebywać. Smutna, zakurzona nora, której mu się nie chce nawet posprzątać, nie mówiąc już o wymianie mebli czy choćby upraniu zasłon. Pajęczyny we wszystkich kątach. Pożółkła emalia w wannie. Mała kawalerka w bloku; dobrze, że blisko tramwaj i sklep czynny do późna. Jego własne lokum, kiedyś tak wymarzone, już spłacone... Co z tego, skoro on, Car, poza pracą nie istnieje? Nie potrafi zapełnić pustki nawet w tak małym mieszkaniu. W pewnym sensie stanowi ideał funkcjonariusza; jest robokopem, myśli tylko o zadaniach, po pracy po prostu się wyłącza. Zrezygnował z emocji; doświadcza tylko tych, które warto mieć, z których jest jakikolwiek pożytek. Umysł wyćwiczony w dedukcji i indukcji, spostrzeganie nastawione na wykrywanie najdrobniejszych niuansów w zachowaniu świadka. Serce puste i zakurzone, tak jak

mieszkanie, o ile w ogóle ma serce. Czy się tym martwi? Nie wie. Czy jest szczęśliwy? Trudno powiedzieć. Kiedy się mu tak porobiło? Dawno. Coś umarło razem z wiarą w przyjaźń i nadzieją na ułożenie sobie życia z kimkolwiek. Tak żeby można było wyciągnąć rękę i natrafić na kogoś, kto odwzajemni dotyk.

Rzucił torbę w kąt, przysiadł na taborecie w kuchni. Zjadł suchą bułkę, popił wodą. Nawet herbaty mu się robić nie chciało. I tak był za gruby. Bezmyślnie wpatrywał się w zarośniętą brudem kuchenkę. Przeszedł do pokoju; walnął się w nieścielone nigdy łóżko, ledwie ściągnął marynarkę i spodnie. Wpatrywał się w wiszący u sufitu papierowy abażur w kształcie kuli, szary od kurzu.

Kiedy poczuł przypływ energii, wrzucił parę rzeczy do pralki, zajrzał do szafy, wyciągnął czyste ciuchy. Kiedy kupił sobie coś nowego do ubrania? Chyba wtedy, kiedy miał jeszcze cień nadziei na normalność. Ale nie zdarzyło się nic poza rozpaczliwym, krótkim romansiem z koleżanką oddelegowaną z jakiegoś prowincjonalnego komisariatu, mężatką zresztą. Przedsięwzięcie z góry skazane na niepowodzenie, więc szybko dał sobie siana. Potem już tylko praca, pustka i kurz. Jakoś tak. Postanowił jeszcze umyć naczynia i zlewozmywak. Zabrał się do tego i ponieważ zajęcie nie okazało się tak przykre, jak sobie wyobrażał, odmoczył dodatkowo kuchenkę i doprowadził ją do jakiego-takiego stanu. Zasnął potem bez trudu, a rano obudził się wyjątkowo wypoczęty.

\* \* \*

Nazajutrz przychodzi do jego pokoju na komendzie znajoma psycholożka. Znają się kupę lat. Siedzą naprzeciwko siebie w milczeniu, bo wszystko zostało już wiele razy powiedziane. Ona czeka na świadka, on przekłada papiery. Nagle psycholożka pyta:

– Czujesz się czasami tak, jakby jedynymi twoimi przyjaciółmi byli zmarli?

Car wytrzeszcza oczy, przełyka ślinę, porażony faktem, że właśnie tak może być, chce coś odpowiedzieć, ale dzwoni telefon i dyżurny oświadcza, że właśnie ktoś zleciał z najwyższego tarasu w galerii handlowej, jest krew, histeria i ogólny rozpiździaj, więc może by pojechał i ogarnął, czy to samobójstwo, czy co.

– Podwiesz mnie? – pyta jak gdyby nigdy nic psycholożka. – Świadek pewnie już nie przyjdzie, w dupie go mam, a tak sobie chociaż buty kupię...

– Podwiozę, czemu nie.

Jadą. Milczą. Stoją w korku na światłach. Car zastanawia się głośno, czy wrzucić bulaj na dach i jechać na sygnale, ale ostatecznie olewa to. Umarli już nigdzie się nie śpieszą. Pyta psycholożkę, trochę z ciekawości, trochę żeby przerwać ciszę:

– O czym może myśleć człowiek, który chce odebrać sobie życie poprzez skok z wysokości?

– A kto skoczył?

– To jakaś różnica?

– Dość istotna. Podaj przynajmniej płeć i wiek.

– Facet przed trzydziestką.

– Żonaty? Ma dziecko?

– Nie.

- Jakieś wcześniejsze zdarzenia z jego życia?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Faceci w tym wieku raczej się wieszają.

Znów światła. Psycholożka patrzy przed siebie.

- W sumie wszystko jedno. Najczęściej nic nie myśli. Jest w ciężkim stanie kryzysu, pole świadomości ma bardzo silnie zawężone, spostrzeganie zniekształcone, wysoki poziom energii. Serce mu wali, tętno około sto dwadzieścia, oddech przyśpieszony. Gdyby tylko coś pomyślał, to by nie skoczył. Jeśli ma około trzydziestu lat, jest samotny i skacze w dół, to ma depresję na dziewięćdziesiąt procent. Albo jest niedojrzały emocjonalnie.

- Widziałem trochę tych „skoczków” i zawsze się zastanawiałem...

- I co?

- Różnią się między sobą. Stopniem rozbryzgu...

- Jesteśmy walnięci. To nie jest normalna rozmowa.

- Co jest nienormalnego w tej rozmowie?

- Kto normalny rozmawia o tym, czy większą plamę robi człowiek, który zostanie pierdyknięty przez samochód, skoczy z wieżowca, czy może taki, na którego spadnie bomba?

- My. I pewnie jeszcze wielu innych. Nie jesteśmy nienormalni. Otwórz byle gazetę: „Zbezczeszczono ciała”, „Rozcięli i upiekli psa żywcem” i tak dalej. Kto tu, kurde, jest nienormalny?

- My. Bo cały czas ciągniemy ten temat. Ciekawe, czy całą galerię zamknęli?

- Raczej nie.

- To poszukam sobie tych butów. Na razie.

- Cześć.

Najniższy poziom odcięto całkowicie. Car macha legitymacją i idzie po unieruchomionych schodach na spotkanie z kolejnym umarłym. Ten skoczył z najwyższego tarasu, ominął jakimś trafem panele zabezpieczające i roztrzaskał się centralnie na skrzyżowaniu handlowych pasaży, pomiędzy supermarketem, ekskluzywnymi czekoladkami i garnkami w cenie używanego samochodu. Roztrzaskał się to dobre słowo. Mógł się tylko połamać, ale spadł na głowę, czaszka pękła jak jajko, niemal symetrycznie. Mózg się rozprysnął po błyszczącej, jasnej posadzce; dobrze go widać na takim tle. Zwłoki leżą na brzuchu, wewnątrz czaszki połyskuje krwawo w zimnym świetle lamp jarzeniowych, technik już się krząta, rozkłada numerki, miarki, błyska fleszem. Car patrzy pod nogi, by nie wdepnąć w jakiś krwawy fragment tkanki, pozdrawia technika machnięciem ręki, rozgląda się za lekarzem, ale jeszcze go nie ma, prokuratora też nie. Jakimś cudem przybył na miejsce pierwszy. Mundurowy policjant stoi tyłem do zwłok, patrzy w górę, może odtwarza tor lotu, a może po prostu zrobiło mu się niedobrze.

- Gdzie medyk i prokurator?

- Nasi pojechali, karetka wezwana, ale wszyscy pewnie utknęli w korkach – mówi policjant, nawet się nie odwracając.

Car naciąga lateksowe rękawiczki, widzi, że technik stoi beczynn timer.

- Skończyłeś?

- Taaa... Na jaśniepaństwo trzeba poczekać, żeby zgon stwierdziło, wtedy go

będziemy musieli przewalić.

– Kieszenie przejrzałeś?

Nie czeka na odpowiedź, sam sięga do lewej kieszeni ocieplanej, pikowanej kurtki, wyciąga pomięte chusteczki higieniczne, skasowane bilety, paragony, wrzuca do woreczka na dowody, technik opisuje naklejki. W prawej kieszeni znajduje klucze i złożoną we czworo kartkę w kratkę. List pożegnalny? Spogląda na technika, rozkłada kartkę.

*Wybacz, Mamusiu Kochana, znów Ci sprawiłem kłopot, ale już więcej nie będziesz przeze mnie płakała. To moja własna decyzja, pamiętaj o tym.*

*Twój syn Jacek*

*PS. Jeśli już musisz winić kogokolwiek, to pomyśl o sobie i o tym, co zrobiłaś.*

„No i będzie robota – myśli Car, pakując list do kolejnego woreczka. Nie dość, że kobita zaraz się dowie, że nie ma syna, to jeszcze ktoś będzie ją musiał przesłuchać...”. Rozgląda się wokół, zerka technikowi w notatki, no żeż kurde, nadgorliwy napisał: „Kieszeń prawa, kartka papieru w kratkę, format pół A4, złożona na cztery części, zapisana pismem odręcznym”. Przez chwilę miał pomysł, żeby umoczyć dół kartki z tym cholernym postscriptum w otwartej czaszce skoczka, przynajmniej dochodzenia by nie było, no ale skąd krew w prawej kieszeni, nie ma się co wygłupiać.

Jest lekarz, za nim nadchodzą sanitariusze z noszami. Patrzy tylko, macha ręką, potem dla porządku sprawdza puls. Nie żyje, oczywiście, że nie żyje, z deklek pękniętym na pół, z mózgiem rozbryźniętym po posadzce galerii, jak mógłby żyć? Sanitariusze przewracają zwłoki na plecy. Uuu... nieźle. Twarz też pękła na pół. Dolna warga, rozciągnięta do granic możliwości, utrzymuje te połówki razem, ale im wyżej, tym gorzej. W krwawej masie białe zęby, ochłap języka... Technik już błyska fleszem. Przyjeżdża prokurator, młoda dziewczyna o okrągłej twarzy i niebieskich oczach, krzywi się z obrzydzeniem, podchodzi do Cara:

– Szef mnie spytał, czy nie chcę sobie wcześniej z pracy wyjść na zakupy do galerii. Od razu wiedziałam, że jest jakiś haczyk, no i masz... Ten biedak sam to sobie zrobił, czy ktoś mu pomógł?

– List samobójczy jest, skakał na główkę. Sam, jak na moje oko, ale ten list brzydki, trzeba będzie przesłuchać matkę...

– Oj, nie zamazał się może trochę?

– Mózg jest wszędzie, ale akurat nie w tej kieszeni...

Jakiś facet w garniturze, eskortowany przez mundurowego, awanturuje się u wylotu alejki. Dochodzą okrzyki: „Mam prawo” i „Proszę mnie...”. Car wskazuje gościa pani prokurator:

– O prawo woła, niech prawnik się nim zajmie, policja już ogarnie ten krwawy bajzel.

– Wolałabym bajzel...

– Nie ma tak dobrze.

Prokurator coś tam mruczy pod nosem i idzie radzić sobie z garniturem, pewnie jakimś kierownikiem galerii albo kimś takim. Z dwojga złego Car też woli zwłoki.

Technik już skończył swój taniec, sanitariusze umieścili ciało w worku, przenieśli na nosze, zakryli zielonym prześcieradłem, ruszają do wejścia dla dostawców. Garnitur wymachuje rękami, coś tłumacząc zawzięcie, prokuratorka słucha go, krzyżując ręce na piersiach, w końcu odwraca się na pięcie, zostawiając gościa w pół zdania. Jest wściekła.

– Ten ciul ma pretensje, że jest brudno i uważa, że w naszej gestii leży pozmywanie podłogi. To co, mam niby iść po szmatę i wiadro?

– Nie, ja do niego pójdę.

Rusza jak czołg, powoli nabierając rozpędu, z rękami wbitymi w wypchane kieszenie marynarki, gdzie namacał wizytówkę zakładu sprzętającego po zgonach. Ledwie wyhamował przed garniturem. Ten ma pryszczatą twarz małolata, rzadki zarost i wielką pewność siebie. Car wciska mu wizytówkę w przednią kieszeń.

– Masz, tam zadzwoni, posprzątaj. A teraz wypierdalaj, śmieciu, tu zginął człowiek, a ty pierdolisz o brudnej podłodze, złamasie jeden.

Garnitur macha rękami, zapowietrza się, chcąc coś odpowiedzieć.

– Lepiej milcz, ja tu jestem car i bóg i zaraz cię zamknę za utrudnianie czynności – stwierdza Car, robi w tył zwrot i idzie pogadać z szefem ochrony.

Dla policji nie ma tu już nic do roboty.

Wsiada do samochodu i powoli rusza w kierunku komendy.

\* \* \*

Siadł za swoim biurkiem, fotel zaskrzypiał, lekko przechylił się na prawo. Trzeba będzie coś... Na razie jednak przytulił twarz do ciepłej jednostki centralnej starego kompa, zamknął oczy, zadrzemał. Zamajaczyły mu przed oczami białe odłamki zębów w krwawej miazdze głowy i karykaturalnie rozciągnięta dolna warga. Nie sprawiła mu ta wizja przykrości, nie wzbudziła lęku, ot, mózg pozbywa się nadmiaru wrażeń. Tak musi być. Woli zwłoki niż depresyjne myśli o żywych.

Obudził go dzwonek telefonu. Nie odebrał. Ułożył kwity w przepisowej kolejności, uzupełnił, spiął, odłożył do przegródki prokuratury. Niech teraz oni się martwią, co z tym zrobić.

A na drugi dzień okazało się, że sprawa jest jego. Na odprawie błądził wzrokiem po ścianach i po raz nie wiadomo który czytał wiszący nad biurkiem naczelnika ozdobny napis w ramce:

*Na górze róże  
Fiołki na dole  
Jak mi się nie chce  
O ja pierdolę...*

\* \* \*

Ledwie zdążył wziąć akta z przegródki, gdy zaczął się młyn. W chaszczech wycinanych pod budowę kolejnych apartamentowców znaleziono ludzką czaszkę, ładnie obraną z mięsa, zbrązowiałą, od dawno już musiała tam leżeć. Znów technik, medyk, prokurator, przeszukiwanie indeksu zaginionych pod kątem płci, wieku i



czasu zaginięcia, bo okazało się, że to głowa młodej dziewczuchy po krzaskach się wałała ze dwa-trzy lata. A gdzie reszta? Więc dalej szukać po systemie znalezionych rąk, nóg, korpusów bezpieczeństwa. Parę typów się znalazło, oby trafionych. Samobójca poczeka na raport z sekcji, nigdzie mu się nie śpieszy. Potem przesłucha się matkę i sprawę zamknie.

Ale nie było mu dane.

Na wezwanie przychodzi matka samobójcy. I zwykle Car żałuje, że swojej psycholożki nie może wezwać ot tak sobie, żeby te wszystkie przykre pytania zadała za niego, jakimś swoim magicznym sposobem, tak by kobieta, której syn się zabił, nie poczuła się winna. Ale na widok tej Mamusi Kochanej przestaje tak myśleć. Chuda jak szkielet upiorna starucha w krótkiej sukience z czarnej, połyskliwej tkaniny rozsiada się na krześle w pozie seksownej modelki. Artretyczne kolana opięte siatkowymi rajstopami, szpilki z otwartym przodem, tak wysokie, że Car natychmiast wyobraża sobie złamanie przezartej osteoporozą główki kości udowej. Ptasie łapy ze zgrubiałymi stawami i krwistoczerwonymi tipsami. Rzadkie włosy koloru burgunda, podniesione i usztywnione lakierem w żalostnej próbie zwiększenia objętości, ale biała skóra prześwituje mocno. Twarz jak maska, młodsza niż ciało, ale sztywność mimiki zdradza operacje plastyczne i botoks, makijaż pogłębia wrażenie czegoś całkowicie sztucznego. Kobieta może mieć kilkaset lat. „Nieumarła – pomyślał Car. – Jak na tych filmach o wampirach”.

Patrzy na nią, wręcz pożera wzrokiem, choć akurat na tę kobietę patrzeć zupełnie nie ma ochoty. Skanuje ją jak maszyna, rejestruje postawę ciała, przechylenie głowy, ruchy dłoni, krzyżowanie nóg, usadowienie się na brzeżku policyjnego krzesła. Nie ma w tej chwili dla Cara nikogo innego na całym świecie, tylko ona. Obserwuje jej twarz, każde mrugnięcie, ruch gałki ocznej, wygięcie ust, przełknięcie śliny, liczy częstotliwość oddechu i pulsowanie żyłki na szyi. Słucha jej głosu, każdego załamania i przerwy w wypowiedzi. Rejestruje niezgodności pomiędzy wypowiedzią a mimiką, niewerbalne oznaki kłamstwa. Ciężka sprawa przy botoksie.

Nieumarła jest opanowana. Nie zmienia wystudiowanej pozy. Nie szklą jej się oczy nawet. Trudno dostrzec pod gorsetem ciała jakiegokolwiek drgnienie emocji.

– Jaki był? Był jedynym, najukochańszym synem, opiekującym się matką, bo ojca niestety zabrakło już bardzo dawno temu. Ja się całkowicie poświęciłam wychowaniu dziecka, nikt mi nie pomagał, z nikim się nie związałam, dla dobra Jacusia. A on mi to oddawał z nawiązką. Wszędzie chodziliśmy razem, do kina, na spacer, pomagał mi w domu. Życzę takiego syna każdej kobiecie.

– Nie, nie miał nałogów. Czasem wypiliśmy sobie butelkę wina do kolacji. Własne towarzystwo? Przychodzili koledzy, koleżanki, najpierw ze szkoły, potem z pracy, gdzieś razem chodzili, jeździli w góry na narty. Był lubiany, dużo znajomych miał. Dziewczyny? Dziewczyny też, każdą przyprowadzał, przedstawiał, ale to nigdy zbyt długo nie trwało, nic poważnego to nie było.

– No co pan? Jasne, że chciałam, żeby się ożenił. Nie wychowałam pedała, tylko czułego, dobrego mężczyznę. Chciałam mieć wnuki. Może bym wtedy jeszcze z kimś się na starość związała, gdyby Jacus miał rodzinę...

– Czy mam kogoś bliskiego? Wyznam panu, że chciałabym mieć, w dodatku teraz, ale nie mam. Robiłam... Robię pewne kroki, żeby kogoś wartościowego zapoznać.

Jacusz mi nawet konto na portalu matrymonialnym założył, ale na razie nikt odpowiedni się nie trafił.

Wzdycha, widocznie zasmucona tym faktem. Na wzmiankę o liście pożegnalnym macha lekceważąco ręką:

– To nic nie znaczy, bo myśmy mieli naprawdę bardzo silny związek. A silny związek to nie tylko wielka miłość, ale i wielka złość, nienawiść czasami. Nie przeczę, kłóciliśmy się. Robiliśmy sobie wyrzuty o różne sprawy. Zgadza się, czasem płakałam. O co się kłóciliśmy? Trudno mi w tej chwili powiedzieć, o zwykłe, domowe sprawy, nawet nie pamiętam ostatniej... Może o remont, bo Jacusz nie chciał sam, tylko planował sprowadzić fachowców, a ci, których ja wzięłam, jemu się nie spodobali... Cały czas myślę, że on zrobił mi taki dowcip, że gdzieś wyjechał bez słowa, że udaje zmarłego. Kiedy w końcu wydacie mi ciało? Wtedy bym wiedziała przynajmniej, gdzie jest.

\* \* \*

Car sprowadził kobietę na dół i usiadł z powrotem w swoim przekrzywionym fotelu. Oparł łokcie o biurko, twarz ukrył w dłoniach. „...pomyśl o sobie i o tym, co zrobiłaś”. Nadopiekuńcza, natrętna matko, szantażowałaś go? Niejedna matka szantażuje syna. Obrzydzałaś mu dziewczyny? Chyba skutecznie, co? Co mogłaś jeszcze zrobić takiego, Mamusiu Kochana, że syn ci już nie chciał sprawiać kłopotu, a jednocześnie obarczył cię winą za swoją śmierć? Trzymając nadal twarz w dłoniach, Car zasnął. Przyśnił mu się horror. Matka wampir w erotycznych objęciach syna zombie z pękniętą czaszką i wypływającym z niej mózgiem. Po przebudzeniu stwierdził, że być może jest coś na rzeczy. Zadzwoił do psycholożki.

– Tak, zdarzają się takie związki kazirodcze. Ale najczęściej syn jest upośledzony czy jakoś inaczej zaburzony, nie ma kontaktów z rówieśnikami, sprawia wrażenie odludka, dziwaka, no coś w tym rodzaju. A ten, mówisz, normalny był? Inżynier, w dodatku pracujący, dość towarzyski. Byłe dziewczyny nawet znalazłeś. To nie, raczej nie, bo przecież wszystko u ludzi zdarzyć się może. Jesteś tam?

– Jestem, jestem...

– No. Bo myślałam, że znów przysnąłeś. Zrobiłeś sobie te badania na cukier? Przecież to, kurde, nienormalne, zasypiać co chwila wszędzie, gdzie się usiądzie...

\* \* \*

Zagadka. Cholerny list pożegnalny. Nadgorliwy pieprzony technik, nic by się nie stało, gdyby list nie pojawił się w aktach, co do samobójstwa nie ma wątpliwości, jest nagranie z monitoringu, sam skoczył, z rozpędu i na główkę. Właśnie, technik – wlażł bez pukania, trzymając przed sobą ogromniaste damskie majtasy.

– Jaki to kolor? Bo do oględzin muszę wpisać?

– Jakiś taki...

– Turkusowy! – drze się policjantka z pokoju naprzeciwko. – Turkusowy, jełopie! Ile razy ci mówiłam, że chłopów o kolory nie ma co pytać?! Trzy znacie tylko: ładny, chujowy i pedalski, nie?

– Tak jest! – odkrzykuje technik, zamykając za sobą drzwi.

\* \* \*

– Nic nie gra, pani prokurator, kompletnie nic – wkurza się Car. – Samobójstwo jest, list pożegnalny jest, matka obarczona winą zachowuje się, jakby to jej nie dotyczyło, znajomi zdziwieni, byłe dziewczyny wzruszają ramionami i robią wielkie oczy, a potem płaczą, bo przecież fajny chłopak był. Na matkę żadna złego słowa nie powie, poza śmiechami z seksownych kiecek i botoksu. Nie leczył się psychiatrycznie, nie chlał, nie ćpał, wręcz przeciwnie, zdrowy tryb życia, bieganie, piesze wycieczki. A jednak coś nie gra. Paskudnie nie gra. Ludzie tak szczęśliwi nie skaczą na główkę w takich miejscach. Nie skaczą w ogóle. Żyją długo i szczęśliwie, kurwa, a nie nam się w ten sposób naprzykrzają.

– Może jakieś drugie życie, o którym tylko on i matka wiedzieli?

– Tak, myślałem, że może ze sobą współżyli, ale jak to sprawdzić? Brałem też pod uwagę jakieś lewe interesy, mafię, coś w tym guście. Nie mam żadnego punktu zaczepienia, nic...

– Masz nakaz na zajęcie komputerów, z domu i z pracy. Tam teraz toczy się drugie życie, w sieci. I jeszcze telefon komórkowy. Sprawdź, może coś wytrzepiecie.

\* \* \*

Car zadziwił się, że czas biegnie tak szybko, a rzeczywistość się zmienia w taki sposób, że Car jej nie rozpoznaje, nie rozumie; chyba jednak przespał ciurkiem sto lat, teraz obudził się niczym jakiś hibernatus i nie ogarnia.

Bo od kiedy to dziewczyny poszukują widzianych przez kilka sekund z okna tramwaju facetów? I jakimi środkami techniki ich znajdują? Ileż to razy Car widział potencjalną podporę swojego życia, światło jego szybko zbliżającej się starości, a nie zrobił nic, bo wsiadła do autobusu i odjechała, na zawsze pozostając anonimowa? No proszę, ledwie zaczęli grzebać w pracowniczym kompie Jacka Samobójcy, a już coś takiego:

*Do chłopaka w czarnej skórce, który stał wczoraj na przystanku koło dworca PKP, w stronę śródmieścia, ze starszą panią, ekstrawagancko ubraną, z wieczorowym makijażem, chociaż była 10 rano. Trzymałeś walizkę na kółkach, małą, z jaskrawozielonym napisem, uśmiechałeś się, a ja siedziałam w tramwaju, który stanął na przeciwległym przystanku. Nie widziałeś mnie, a ja nie mogę zapomnieć twojego uśmiechu. Może cię znajdę. Napisz.*

*To chyba o mnie może chodzić, odebrałem wtedy mamę z pociągu, miło mi strasznie, że dziewczyny zwracają na mnie uwagę :-).*

Taki wpis sprzed miesiąca na „spotted.ztm”. Car wpisuje z ciekawości „spotted.kmp”, ale niestety nie szuka go żadna kobieta. W ogóle nie ma w sieci takiego miejsca, bo i po co? „Widziałam, jak cię prowadzili skutego, aż zamiatałeś grzywką o podłogę...”. Nie, szkoda czasu nawet na myśli o takich rzeczach.

Z zainteresowaniem śledzi rozwijający się internetowy romans. Akcja toczy się

na Facebooku, proszę państwa. Piszą do siebie z komputerów i komórek. Bardzo dobrze, trzeba będzie adresy IP poustalać. Panienka jest bardzo tajemnicza, nie pokazuje zdjęć, nie ujawnia danych. Intelktualnie sobie flirtują, padają coraz śmielsze aluzje, wymieniają poglądy na temat seksu, związków, zainteresowań, wszystko toczy się dość szybko. Jacek Samobójca zaczyna się domagać od tajemniczej Tramwajowej Nieznajomej szczegółów. Ona jest romantyczna i nieugięta: „Chcę Ci udowodnić, że miłość platoniczna istnieje. Że nieważne jest ciało, wygląd, całe to mięso i inne materialności. Nieważny jest kontekst społeczny. Liczy się tylko porozumienie dwojga umysłów, pokrewieństwo dusz...”.

Jacek Samobójca zaczyna sobie od czasu do czasu spekulować na temat płci i wieku Tramwajowej Nieznajomej, żartami maskując niepokój. Ona go uspokaja, że nic z tych rzeczy, przesyła mu zdjęcie swoich cycków w lustrze, częściowo przesłoniętych ekranem laptopa z toczącym się aktualnie między nimi dialogiem. Ładne cycki, nie można powiedzieć. Młode. Jacek się uspokaja, jeśli chodzi kwestie tożsamości płciowej Nieznajomej. Ale Car nie, bo co z tego, że cycki, i to młode. Mogą to być cudze cycki, cycki z Photoshopa, sztuczne cycki. Możliwości manipulacji cyckami jest wiele. Temperatura internetowych dialogów Jacka z Nieznajomą narasta, mnożą się podteksty seksualne, a w końcu jawnie pornograficzne dialogi: co, kto, komu, gdzie i jak. Car czyta je bez przyjemności. Jest zażenowany, że można takie rzeczy wypowiadać wprost, nawet jak się ludzie nie znają. No co, staromodny jest, chyba mu wolno w smudze cienia pomiędzy czterdziestką a pięćdziesiątką.

Czytanie jest nużące, pomimo ekscytujących treści. Nie do wiary, ile ludzie potrafią napisać przez miesiąc. Dwieście czterdzieści tysięcy znaków ze spacjami, sto osiemdziesiąt stron dialogów. Koszmar jakiś. I jeszcze co najmniej drugie tyle przed nim. Odchyła się na krzesło, zamyka oczy, przysypia, przewijają mu się zdania z czatu, drobne litery, awatary, coraz szybciej i szybciej, aż tworzą zamazaną smugę. Dzwonią z laboratorium, że DNA czaszki z chaszczy zgadza się z DNA nogi ze śmietnika. Bardzo dobrze. Trzeba pracować dalej. Kolejna była dziewczyna Jacka Samobójcy stawia się na wezwanie. To ta ostatnia. Jest (jak one wszystkie) młoda, ładna i inteligentna. Byli ze sobą parę miesięcy, może pół roku. Rozstali się ze dwa miesiące temu. Nie ma żalu (jak one wszystkie) do Jacka. Lubiała go, choć się rozstali. Nieumarłą matkę Jacka traktuje jako nieszkodliwe kuriozum (podobnie jak one wszystkie, miał ich chłopak niezłe stadko, ta jest piąta). Car z coraz większym trudem włącza swój tryb skanowania świadka. Dlaczego zerwaliście? O, tu jest nowość – nie tak jak one wszystkie – dziewczyna stwierdza, że nie podobało jej się, że Jacek cały czas siedział na czacie i nie chciał jej pokazać, z kim i o czym rozmawia. Podejrzewa, że z jakąś kobietą, a wiadomo, z internetowych znajomości często wynikają zdrady, a ona sobie nie życzy i już. Energiczna, pewna siebie bruneteczka z zadartym nosem. Nawet jej powieka nie drgnie. Podpisuje protokół i znika.

I tak czytając, przesłuchując, drzemiąc i odbierając telefony, Car doczekał wieczoru na komendzie. Do domu nie poszedł, bo po co właściwie. Ale teraz już pójdzie, chociaż nikt na niego tam nie czekał, nawet wirtualna nimfomanka na czacie. Jeszcze tylko pismo o ustalenie IP napisze...

W połowie drugiego dnia czytania Car natrafił wreszcie na coś interesującego: Jacek Samobójca i Tramwajowa Nieznajoma zaczęli umawiać się w realu, długo to

trwało, ale w końcu stało się. „Dobrze, w takim razie w tej knajpce obok galerii, w samo południe. I wtedy zobaczymy, czy moja teoria o pokrewieństwie dusz sprawdzi się w konfrontacji z rzeczywistością. Możesz być bardzo zdziwiony, ale to będę cały czas ja, ta którą czytasz w tej chwili, pragnąca Ciebie, pragnąca spędzić na rozmowach z Tobą resztę swoich dni. Będę ubrana w czerń i czerwień, będę miała na stoliku bukietik herbacianych róż”. „Ja się nie obawiam, choćbyś miała sto lat, była bez zębów, kulawa, szpetna, Twoje serce i umysł zrekompensują wszystkie braki, o których myślę, że ich nie masz, tylko tak się ze mną droczysz. Nikt mnie tak dobrze nie rozumiał, z nikim nie czułem się tak bezpiecznie...”.

O losie, Car czuł, że zaraz się zrzyga od nadmiaru romantycznego kiczu, ale miał trop. Data spotkania pokrywała się z datą śmierci, godzina randki była wcześniejsza – samo południe, a do skoku doszło około czternastej. Czyli spotkali się, a potem nagle życie mu zbrzydło? Trzeba się koniecznie dowiedzieć, kim jest Tramwajowa Nieznajoma. I tu pojawił się problem, bo logowała się na Wi-Fi czy innych hotspotach, na uniwerku, na ulicy, w parku, w knajpach, w internetowych kawiarenkach. Nic stałego, jakby naumyślnie, żeby jej nikt nie namierzył. Musiała się znać na rzeczy choć trochę, bo Car dopiero teraz dowiedział się, że tak można; niby wcześniej prosił o IP, ale nie zastanawiał się, jak to działa. Obojętnie, zawsze na koniec pozostaje zużyty, śpiący gliniarz i osobiste rozpytanie w miejscu zdarzenia.

Knajpa jak knajpa. Design „swojsko, przytulnie i vintage”, stare mebelki, każdy z innej wyprzedaży, suche bukiety, durnostojki na parapetach, ciemnawo, pusto. Przedtem był tu sklep rybny. Za chwilę będzie biuro porad prawnych albo piekarnia. Takie czasy. Istniała nadzieja, że właściciel sam tu siedzi od rana do wieczora, zamiast zatrudniać milion studentów, nie spisując z nimi umów. Bo jeśli w ten sposób działa, to kicha. Car nigdy nie znajdzie świadka. Jednak szczęście dopisało. Właścicielka robiła jednocześnie za barmankę i kelnerkę. Pracy nie miała zbyt dużo, wyglądała na zrezygnowaną i zniechęconą. No cóż, nie jej jednej biznes nie wypalił. Ale chyba przez ten brak klientów Tramwajową Nieznajomą pamiętała wyjątkowo dobrze.

– Tak, obsługiwałam ją, kawę zamówiła i wazonik na róże kazała sobie podać. Bardzo wyzywająco ubrana, można powiedzieć burdelowo, czarny top z koronki, na to króciutkie bolerko z takiego błyszczącego materiału, do tego czerwona miniówka od kompletu, czarne kabaretki, czerwone szpilki. I ten makijaż, na sylwestra taki pasuje, a nie starej babie w południe. Makabra.

– Starej babie?

– Tak, znaczy po twarzy to w pierwszej chwili nie poznałam wieku, figura też niezła, ale dłonie... Dłonie trudniej zamaskować, botoksu na nie się nie stosuje.

– Botoksu?

– Twarz miała aż opuchniętą, chyba śmiać się nie mogła. A po dłoniach co najmniej sześćdziesiątka.

– Aha. I co, ktoś przyszedł?

– Nie, posiedziała z pół godziny nad tą kawą i poszła. O, tu siedziała. Twarzą do drzwi, czekała na kogoś, ale widać nie przyszedł.

Car siadł na miejscu wskazanym przez właścicielkę. Patrzył w stronę wejścia, a raczej przedsionka, bo drzwi znikąd nie widać. Czyli co? Jacek wchodzi i zamiast

Tramwajowej Nieznajomej, zaocznie pokochanej, wyobrażonej w dziesiątkach scen erotycznych, widzi swoją matkę w randkowych atrybutach? A ona widzi jego? I co?

– Jest pani pewna, że nikt nie wchodził?

– Może na chwilę ktoś wszedł, bo nie patrzyłam cały czas w drzwi, czasem się tak zdarzy, że ktoś zajdzie, rozejrzy się i wyjdzie. W lustrze mogę zobaczyć, kto drzwi otwiera, ale w ten dzień naprawdę nie pamiętam...

Fakt, w przedsiönku wisi lustro pod osobliwym kątem. Car sadza na swoje miejsce właścicielkę, sam wychodzi z knajpy, wchodzi z powrotem. Na twarz kobiety pada światło z okna, może jej się dobrze przyjrzeć. Przyjrzeć się i zawrócić. Wybiec na ulicę, pójść przed siebie... Jak to było? „...ciężki stan kryzysu, pole świadomości silnie zawężone, spostrzeganie zniekształcone, wysoki poziom energii, tętno około sto dwadzieścia, oddech przyśpieszony, nie myśli, gdyby tylko coś pomyślał, to by nie skoczył...”. Jackowi załamał się cały świat. Zakochał się we własnej matce. Własna matka zrobiła go w totalnego balona. Własna Mamusia Kochana postanowiła zostać jego kochanką, udowodnić mu, że żadna inna kobieta go nie zrozumie. Poszedł przed siebie, tętno sto dwadzieścia, wlaźł do galerii, na samą górę, rozpedził się i poleciał.

– Widziała mnie pani w tym lustrze dokładnie?

– Nie, tylko zarys postaci. Od siebie z baru bym widziała, bo tam światło już lepiej pada na twarz.

Podziękował, wyszedł na ulicę, zajrzał jeszcze przez okno. Tak, stąd też dobrze widać, kto siedzi przy tym stoliku. Widać też całą knajpę, czyli prawdopodobnie Jacek Samobójca najpierw zajrzał, zobaczył kobietę w czerwieni, z bukietem róż. Może nie widział dokładnie twarzy, może nie uwierzył. Może wszedł, żeby się upewnić, zobaczył lustro, a w nim swoją matkę. A potem już nie chciał się konfrontować ani dociekać, czemu Mamusia Kochana siedzi tu, o tej porze, w takich akurat ciuchach i z bukietem herbacianych różyczek. Może przedtem coś już było między nimi dziwnego, może coś zdarzyło się w dzieciństwie, we śnie, po pijanemu? Wolał umrzeć, niż się dowiedzieć? Ale on, Car, musi się dowiedzieć. Niestety. Bo niedobrze mu się robi na samą myśl o takich obrzydlistwach jak współżycie matki z synem.

\* \* \*

Pomimo że flaki mu się wywracały, zaczął grzecznie.

Czy pani sprawnie posługuje się komputerem? Internetem? Tak sobie. Czy ma internet w telefonie? Ma, ale woli swój domowy komputer, bo na telefonie nie widzi literek (kokietyjne „hihi”). Czy z kimś rozmawia, pisze? A owszem, pisze, już mówiła, że syn jej konto na portalu randkowym założył. Pewna siebie, ale ostrożna, nie wie, o co chodzi. Mowa ciała nieco inna niż poprzednio, już nie siedzi jak modelka, raczej jak grzeczna uczennica, chociaż ubrana zupełnie bez sensu, w jakiś dziwny kombinezon w tygrysie pręgi, straszny. Co robiła w dzień śmierci syna? Właśnie na randkę się umówiła, Niestety. Ale on nie przyszedł. Jaki on? Zygmunt, znajomy z tego portalu, najpierw ze sobą dwa miesiące pisali, jej się wydawało, że to odpowiedni mężczyzna, w końcu zaproponował spotkanie, nawet ubrać się kazał tak

jak ponoć lubił, w czerń i czerwień. I bukietik herbacianych róż? No tak, skąd pan wie? Jasne, pan jest z policji, pan może wiedzieć, a komputer bardzo chętnie udostępni. Jeśli to coś pomoże. Chociaż nie wie w czym. I tak naprawdę to ma wyrzuty sumienia, że poszła na tę randkę. Może gdyby wtedy została z synem, to nic by się nie stało?

Opada z niej poza, znika maska i pomimo botoksu, kurewskiego wdzianka i makijażu Car nareszcie widzi kobietę – matkę.

– Ja wiem, proszę pana, jak to wygląda, samotna matka i syn, który już dawno powinien założyć rodzinę. Może to moja wina, że traktowałam go czasem jak partnera, że za dużo mu się zwierzałam, zbyt wiele na niego nakładałam, był moim małym mężczyzną, jedynym w moim życiu... Spał ze mną czasem, jeszcze jak miał jedenaście lat, potem już mu nie pozwalałam, ale chodziliśmy razem wszędzie, za rękę albo pod rękę, jaka byłam dumna, że on tak mnie kocha. Ale nic... No, rozumie pan, nigdy niczego niestosownego, był moim synem... Teraz nie wiem, czy i tak nie mogło go to wypaczyć, wychowanie bez ojca.

Carowi robi się żal Nieumarłej. Trochę. Nie wygląda, żeby kłamała, chociaż nie płacze. Pewnie nigdy nie płacze, makijaż by spłynął. Lata praktyki, ale oczy jednak się szklą. Matka to matka.

Przy czytaniu dialogów Nieumarłej z Zygmuntem przeżywa *déjà vu*. Taka sama komunia dusz, powolne nakręcanie się romansu, tyle że są zdjęcia – szpakowaty przystojniak po sześćdziesiątce szczerzy sztuczne zęby do obiektywu, w tle Santorini czy inna Grecja. Pewnie ściągnięte z netu. Dużo informacji niby osobistych, ale nie do końca. Pisze, że ma firmę, ale nazwy nie podaje, ma dom, ale nie wiadomo w jakiej dzielnicy, żona mu zmarła, jest samotny... Chwyta za serce tak, że biedna Nieumarła łyka to wszystko bezkrytycznie, pociesza, przesyła wyretuszowane, zamglone zdjęcia. Car przysypia, czyta, znów przysypia. W końcu randka, wskazówki, jak się ma ubrać, bukietik herbacianych róż, żeby na pewno nie pomylił jej z inną. Zygmunt pisze z hotspotów, używa Wi-Fi, czasem pojawia się kawiarenka, pory postów wysyłanych stamtąd do Jacka i do Nieumarłej pokrywają się.

Teraz trzeba dobrze do tego podejść, pomyśleć jak sprawca. Co to miało być? Dowcip zapewne, złośliwy, raniący, w złym guście. Żeby zabołało. Obydwoje, matkę i syna. Dlaczego? Bo autora dowcipu też zabołało? Zdenerwowało? Komu mogli zawinić? Obydwoje czy tylko jedno miało cierpieć? Zrobił to ktoś, kto się zna na internecie, wie, co to spotted, wie, skąd się bierze adres IP, jak działają portale randkowe i społecznościowe. Ktoś młodszy od Cara czy może pasjonat internetu w poważniejszym wieku? Kobieta udająca mężczyznę, mężczyzna udający kobietę? Para? Samobójstwo to skutek uboczny całego zamieszania czy efekt zamierzony?

Car szuka motywów, a te najczęściej spotykane to afekt i majątek. O majątek raczej nie chodziło. Jacek Samobójca nie miał też wrogów czy urażonych rywali. Porzucona dziewczyna? Która w takim razie?

Przejdźcie się po wytypowanych kawiarenkach internetowych z plikiem zdjęć brunetek i blondynek nie przyniosło żadnych rezultatów. Jeden z obsługujących posunął się nawet do stwierdzenia, że „takie dupy to tu nie wchodzi”, natomiast częstymi gośćmi są bezdomni, wariaci i zboczeńcy wszelkiej maści. Ewentualnie małośni nałogowcy, uzależnieni od gier, którym starzy postawili szlaban na

komputer w domu. Sami faceci.

Dochodzenie kręciło się w kółko, aż w końcu prokurator uznała, że nawet jeśli ktoś zrobił niesmaczny kawał, to jednak nie podżegał do samobójstwa ani też nie znęcał się. Zapadła decyzja o umorzeniu, ciało wydano rodzinie. Jacek Samobójca mógł spocząć przy swojej babci, a jego matka będzie już wiedziała, gdzie jest. Car poszedł na pogrzeb, nie z sentymentu do zmarłego, czy też jego matki, ale z poczucia niedosytu i zawodu, że sprawa nie została rozwiązana, ktoś się śmieje z nieudolności policji i nawet nie można mu palcem pogrozić, że – chcący czy niechcący – jego głupi żart skończył się tragedią. Podobno mordercy pojawiają się na pogrzebach swoich ofiar, ale czy w tej sprawie można w ogóle mówić o morderstwie?

Trumna z ciałem była oczywiście zamknięta. Car przypomniał sobie rozłupaną czaszkę i pomyślał, że nawet najzdolniejszy tanatopraktor nie zrobiłby z tego materiału nic, co by się nadawało do oglądania i w czymkolwiek przypominało denata za życia. Nieumarła, zobaczywszy policjanta, kurczowo uczepiła się jego ramienia i nie puściła do końca ceremonii. Przyjmował razem z nią kondolencje; czuł się mocno nie na miejscu, ale przyglądał się podchodzącym osobom. Rozpoznał kilku kolegów Jacka z pracy, wszystkie przesłuchane dziewczyny, kilkoro starszych osób, zapewne sąsiadów. Jako ostatni podszedł starszy, wysoki mężczyzna, elegancko i stosownie ubrany, lecz zamiast złożyć wyrazy współczucia, syknął tylko: „No to się doigrałaś, zdziro, ty, ten twój pomiot i gach”, odwrócił się na pięcie i poszedł. Nieumarła stała niczym zmieniona w kamień.

– Kto to był? – spytał Car.

– Ojciec Jacka. Boże, co za podły człowiek...

Car wyrwał się i pobiegł za oddalającym się mężczyzną, wyciągając po drodze policyjną legitymację. Złapał go za ramię, facet odwrócił się gwałtownie:

– Co, chce ci się bronić tej starej kurwy?! Dobrze ci dupy daje?!

– Policja, proszę pana o dokumenty.

– Spierdalaj, chuju!

Car, uznawszy, że nastąpiło znieważenie funkcjonariusza na służbie i próba ucieczki podejrzanego, z radością powalił faceta twarzą w cmentarne błoto. Gdy zakuwał go w kajdanki, mruzczał pod nosem:

– Ja tu jestem car i bóg i jak mówię, że masz dokumenty pokazać, to nie fikas, tylko pokazujesz.

\* \* \*

Nie przyznawał się do końca, pomimo że został rozpoznany przez obsługę kilku kawiarni. Jego komputer i telefon były czyste. Czyste, bo nowe. Poprzedni sprzęt niedawno powędrował do śmietnika. Stary, złośliwy skurwiel, chociaż trzeba przyznać, że niegłupi, niedawno przeszedł na emeryturę, pracował – niespodzianka – jako konserwator sprzętu komputerowego w jednym z dużych przedsiębiorstw. Leczył się kiedyś psychiatrycznie; parę diagnoz, syndrom Otella, urojenia zdradzania, zespół paranoidalny. Nie sprawiał nikomu trudności, więc nikt też nie pilnował jego leczenia. Na byłą żonę i syna nadal wściekły, jakby od rozwodu nie



minęło ponad dwadzieścia lat. Inaczej o Nieumarłej nie mówił jak „suka” lub „zdzira”. Twierdził, że Jacek nie był jego synem, tylko „któregoś z gachów suki”. I bardzo dobrze, że nie żyje, bo pewnie też ją pierdolił. Podleczyli go na obserwacji, pouczyli, że nieładnie się tak bawić, wypuścili. Przepadł.

\* \* \*

Car się nie załamał. Nawet już później nie dbał, jak się postępowanie toczyło. Dalej pracował jak maszyna, przysypiając w wolnych chwilach. Nie znalazł sobie żadnej kobiety, przynajmniej do momentu, kiedy hucznie wyprawiliśmy go na emeryturę. Raz tylko kiedyś o mało nie przywalił jakiemuś młodemu funkcjonariuszowi, gdy ten mu poradził, żeby sobie baby w internecie poszukał. Pewnie ta sprawa jednak ciągle go gryzła.

A wszystko przez te artykuły z Kodeksu Karnego. Niech zmarli spoczywają w spokoju, im już żadne prawo nie pomoże; dla żywych też w sumie marna z niego pociecha...

# Iwona Mejza

## ALIBI

Komisarz Jodła nudził się jak mops. Na zielonym ekranie monitora widniał w połowie ułożony pasjans. Za oknem zapadał szybko zimowy wieczór. Na dworze nieustannie sypał śnieg, tworząc prawdziwie świąteczną atmosferę. Bogato ubrane wystawy okolicznych sklepów przyciągały wzrok feerią barw. Dookoła migotały lampki made in China; a to święty Mikołaj w saniach zaprzęzonych w wybujałe renifery, a to znowu, na następnej wystawie pełnej delikatesów, złociście połyskujący, rozkoszny, malutki renifer w czerwonej czapeczce okolonej białym futerkiem, oczywiście w towarzystwie Aniołka. Sam kicz i bajka. Opustoszałymi ulicami przemykali ostatni przechodnie spieszący się do domów. Zaspy na chodnikach rosły z minuty na minutę, a świeży śnieg w świetle lamp ulicznych przyciągał oczy wszystkimi kolorami tęczy. Był dwudziesty czwarty grudnia, Wigilia. Dzień, który rodacy najchętniej spędzają w domu.

Komisarz Jodła, od ponad dziesięciu lat szczęśliwie rozwiedziony, biorąc świąteczne dyżury, świadczył przysługi bardziej obrośniętym w rodziny kolegom. Sam nie przepadał za świętami, bo co to za przyjemność: samotna Wigilia, sprowadzona do barszczyku z torebki i mrożonych pierogów z kapustą i grzybami. Gdyby miał dzieci, gdyby żyli rodzice... A tak wolał czas świąt spędzić w murach komendy.

Komisarz wstał z obrotowego krzesła, przeciągnął się i ziewnął. Zapowiadał się długi, nudny dyżur, okraszony gramami komputerowymi, kawą jak siekiera i lukrowaną makówką. Mówi się trudno. Pochodził przez parę minut po pokoju, spojrzął w ciemne okno, podszedł i zasunął roletę. Zrobiło się przytulniej. Wrócił do biurka i wzdychając ciężko, usiadł. Żeby zrobić cokolwiek, zaczął przeglądać bieżące raporty. Zawsze miał nadzieję, że trafi na coś ekstra, na sprawę, która pozwoli mu zasłynąć wśród kolegów i zyskać miano „tego” komisarza Jodły, a nie Jodły nudziarza i przeciętniaka. Niestety w raportach też królowała przeciętność.

Napad na staruszkę: w wyrwanej torebce znajdował się dwudziestoletni portfelik i papierowe dziesięć złotych oraz obrazek ze świętym Krzysztofem, pamiątkowy, po mężu kierowcy. Torebka też niewiele warta, wprawdzie skóra, ale wytarta na brzegach, z rączką dorobioną niedawno przez szewca, bo ta oryginalna zdążyła się całkiem przetrzeć. Sprawcy oczywiście nie ujęto. Teraz młodzież szybko biega, a los napadanych staruszek niezbyt obchodzi zajętych własnymi sprawami przechodniów.

Zima, święta, zakupy. *À propos* zakupów: znowu złapano małego złodzieja w nowo otwartej galerii handlowej. W tejże samej galerii dwie nieletnie czyniły sprośne oferty aspirantowi Kulikowi. Chłopak jest przystojny, wygląda bogato, to i czyniły. Komisarz Jodła już dawno przestał się dziwić zmianom kulturalno-obyczajowym zachodzącym w ekspresowym tempie. *O tempora, o mores!* – jak mawiał mędrzec całe wieki temu. Nudą wiało nawet z raportów pisanych byle jak, na

chycbika, zwykle pełnych zabawnych lapsusów. Komisarz odsunął korytko z papierami na brzeg biurka. Był zniechęcony. Że też nie pomyślał o zabraniu z domu czegoś do czytania. Jakiś krwisty kryminał sprawiłby mu przyjemność. Nagle wśród coraz bardziej ogłuszającej ciszy rozległ się dźwięk telefonu. To dzwonił Janiak z dyżurki. Pytał, czy może wpuścić do komisarza obywatelkę Mariannę Kornaś.

– A wpuść, wpuść – ożywił się komisarz. – Powiedziała, w jakiej sprawie? – dopytywał się.

– Pani mówi, że tylko tobie powie, bo to skomplikowane i nie będzie dwa razy tego samego powtarzała – odparł zmęczonym tonem dyżurny Janiak. Posiadał rodzinę i dyżur przypadł mu w drodze losowania. Ktoś musiał zostać.

– No to czekam. – Komisarz Jodła przygładził krótkie włosy, poprawił kołnierzyk koszuli. Strzepnął z piersi resztki makówki. Lukier lubi się przylepiać do wełny, a dzisiaj akurat założył wełniany sweter w ulubione norweskie wzory. Jeżeli tylko mógł, unikał noszenia munduru. Tak przygotowany patrzył wyczekująco w stronę drzwi, ciekaw, jak wygląda zapowiedziana pani Marianna.

Nie czekał długo; jak na życzenie drzwi otworzyły się cichutko, tak jakoś ukradkiem, a on aż się wzdrygnął. Stała przed nim młoda jeszcze kobieta, włosy w kolorze mysiego brązu i wyzywający makijaż nie dodawały jej urody. Widać było, że niedawno płakała; pod oczami utworzyły się dwie czarne smugi.

– Czy można? – zapytała. Głos miała cichy, ale miły dla ucha.

– Proszę, niech pani wejdzie, proszę usiąść. – Komisarz wyszedł zza biurka i podsunął kobiecie krzesło. Czuł, że tak wypada. – W czym mogę pani pomóc? – zapytał łagodnie.

Kobieta usiadła, machinalnie strzepała z płaszcza płatki topniejącego śniegu, torebkę przewiesiła przez oparcie krzesła. Zakłopotana wyłamywała palce, milcząc.

– Proszę pani – odezwał się łagodnie komisarz. Widział, że z kobietą dzieje się coś bardzo złego. – Jestem tutaj po to, żeby pani pomóc, ale jak na razie nie wiem w czym. – Pochylił się ku niej w geście zatroskania.

Kobieta zadrżała jakby przeszły ją dreszcze. Tak też mogło być. Nie była odpowiednio ubrana na taką pogodę. Podniosła głowę do góry i spojrzała Jodle prosto w oczy.

– Panie komisarzu, mój mąż chce mnie zabić – powiedziała cicho.

– Zabić? Skąd pani o tym wie? – zapytał błyskotliwie Jodła.

– Wiem. Więcej, jestem tego pewna. – Kobieta ożywiła się, na jej policzki wypełzła nieśmiały rumieniec. – Nie zwariowałam. Od jakiegoś czasu mój mąż zachowuje się w podejrzany sposób, a ja już dwa razy prawie cudem uniknęłam śmierci.

– Ależ...

– Za pierwszym razem – pani Marianna przerwała komisarzowi – ledwo zdążyłam uskoczyć przed rozjeżdżonym motocyklistą. Wiem, że mógł to być przypadek, ale drugi raz na pewno nie. Widzi pan, mieszkamy w starym domu, wyremontowanym, jednak w takim domu zawsze jest coś do zrobienia. A to drzwi się zacinają, a to podjazd trzeba nowy ułożyć, a to znowu okno wymienić. I właśnie od dawna była mowa, że musimy wymienić schody do piwnicy. Mamy drewniane, skrzypią, gdy się ich używa. Przecież sama nie naprawię. – Kobieta spojrzała na

komisarza z takim wyrzutem, że poczuł się zobowiązany potwierdzić:

– No oczywiście, że nie!

– Właśnie! Mówiłam mężowi, żeby zrobił z nimi porządek, ale potem o tym zapomniałam. No i wczoraj otwieram drzwi do piwnicy, chcę zejść, a tam, wyobraża pan sobie, nie ma schodów! Znikły! Przecież gdybym nie popatrzyła pod nogi, to bym się zabiła na miejscu. Właśnie dlatego przyszedłam, bo mój mąż się upiera, że mówił mi o demontażu tych schodów. Nic mi nie mówił, jestem pewna! On chce mnie zabić, ale tak, żeby wyglądało na wypadek, wtedy zgarnie cały majątek i będzie go przepuszczał z panienkami!

– Ależ proszę pani, to wcale nie świadczy, że mąż chciał panią zabić. Może faktycznie mówił o tych schodach, tylko pani nie zwróciła uwagi...

– Jestem pewna, że nie mówił. Zresztą to nie wszystko. Panie komisarzu, jesteśmy małżeństwem od prawie siedmiu lat. Nie znaliśmy się zbyt długo, ale cóż, pobraliśmy się. Ja byłam po rozwodzie, Krzysztof dużo młodszy ode mnie i wolny. Imponował mi, zakochałam się... – Kobieta westchnęła przeciągle. – Nie byłam biedna, wręcz przeciwnie, miałam własną, dużą firmę. Pracowaliśmy razem, ale z czasem to mąż zaczął o wszystkim decydować. Niby firma nadal należała do mnie, ale on był szefem. I tak krok po kroku odsuwał mnie od interesów, od spotkań z kontrahentami. W końcu doszło do tego – kobieta sapnęła z oburzenia – że zaczął się chwalić, iż taka dobra kondycja firmy to wyłącznie jego zasługa! W stosunku do mnie był coraz częściej nieprzyjemny, agresywny. Zaczęłam się go bać! – Prawie płakała. Komisarz widział, jak jej ręka wędruje do kieszeni płaszcza w poszukiwaniu chusteczki do nosa.

– Dlaczego się pani z mężem nie rozwiedzie? To chyba najprostsze rozwiązanie. – Nigdy nie potrafił zrozumieć kobiet, które trwały w toksycznym związku małżeńskim.

Kobieta pokręciła przecząco głową i jeszcze bardziej przygarbiła szczupłe ramiona.

– Nie mogę. Powiedział, że prędzej mnie zabije, niż da mi rozwód. A jeszcze dochodzi podział majątku, nie spisaliśmy intercyzy... Same kłopoty! Na szczęście nie mamy dzieci. Poza tym nie mam świadków. Przy ludziach Krzysztof jest najczulszym z mężów. Z tym, że wśród ludzi nie bywamy zbyt często. Niech pan spojrzy, jak wyglądam, zaniedbana, starzejąca się kobieta. Jeszcze dwa lata temu było całkiem inaczej. Prowadziłam firmowe interesy, spotykałam się z ludźmi, wyjeżdżałam. W ciągu tych dwóch lat mój mąż odciął mnie od wszystkich kontaktów. Nie stosuje fizycznej przemocy, o nie! Jest na to za sprytny. On mnie dręczy, upokarza, i właśnie dlatego przyszedłam do pana. Przyniosłam takie oświadczenie, taki list, żeby pan wiedział, jak to wszystko wygląda. Żeby pan przeprowadził porządne śledztwo, jeżeli coś mi się stanie. To na pewno będzie jego wina! Sam tego nie robi, jest sprytny, wynajmie kogoś, żeby mnie zabił. A jemu nic pan nie udowodni! Będzie miał żelazne alibi. Zobacz pan! – Wykrzyknęła w nerwach.

– Wolałbym nie – odmruknął komisarz i podsumował: – Jeżeli dobrze rozumiem, oskarża pani męża o usiłowanie zabójstwa?

– Nie, na razie nie. Ja wiem, że ten motor i te schody to jego sprawka, ale nie mogę tego udowodnić. On mnie na razie straszy, mówi, co mi robi, ale nie robi –

wychlipała, potem drżącą ręką otarła łzy i spokojniejszym tonem dodała: – Niech pan po prostu zachowa mój list. Na wszelki wypadek, w razie czego. – Wyjęła z wilgotnej torebki zaklejoną kopertę i podała komisarzowi. Ten schował ją do szuflady biurka, nie oglądając zbyt dokładnie.

– Proszę się nie martwić, na pewno wszystko dobrze się ułoży – pocieszył ją. – Na pewno dojdzie pani do porozumienia z mężem, proszę z nim porozmawiać. Może mylnie odczytuje pani jego zachowania? Gdyby pani chciała jeszcze porozmawiać ze mną lub złożyć oficjalną skargę, to jesteśmy do dyspozycji. – Komisarz chciał jej pomóc w jakikolwiek sposób.

Jego ostatnie słowa zabrzmiały jak zakończenie rozmowy i tak zrozumiała je kobieta. Energicznie wstała z twardego, służbowego krzesła, zapięła biały, wełniany płaszcz i zdjęła torebkę z oparcia. Przeszła parę kroków w stronę wyjścia, przy samych drzwiach przystanęła i powiedziała:

– Panie komisarzu, nawet pan nie wie, jak bardzo pan mi pomógł. Mam nadzieję, że nie uznał mnie pan za wariatkę. Nie chciałabym, żeby tak pan o mnie myślał. Wszystko, co panu powiedziałam, to niestety prawda. Smutna prawda. Liczę, że jeszcze się zobaczymy, i jeszcze raz dziękuję panu za pomoc. – Podała mu rękę na pożegnanie.

– Ależ ja nic takiego nie zrobiłem – wymruczał zażenowany komisarz i odprowadził ją aż do dyżurki. Chociaż tyle mógł dla niej zrobić.

\* \* \*

Doktor Ziębiński, patolog policyjny, nie cierpiał takich sytuacji. Zaproszenie na bal sylwestrowy uszykowane, frak wyczyszczony, lakieryki wyglansowane, muszka zapięta idealnie. I co? I trup! Jak zawsze! Jakby ci ludzie nie mogli poczekać chociaż do Nowego Roku. A najlepiej byłoby, gdyby głupie pomysły z jazdą po ośnieżonych, krętych i zapewne śliskich drogach w ogóle nie przychodziły im do głowy. Byłoby, ale nie jest, niestety. I dlatego teraz on, Roman Ziębiński, ma kłopot.

Tu kobieta czeka, mają iść na bal, czas leci, jest już późno! Tam też podobno kobieta. Jodła kategorycznie kazał mu rzucić wszystko i lecieć. Jemu łatwo mówić. Siedzi w komendzie, nudzi się, nie tańczy, nie bawi się, to przynajmniej nieboszczka życie mu urozmaici. „Nie to co ja. Taką babkę poderwałem i znowu nic z tego!” – użalał się nad sobą w myślach, zdejmując frak i muszkę. Tam, dokąd miał jechać, o wiele bardziej nadawały się puchowa kurtka, walonki i barania czapa.

Samochód, pokryty resztkami opadającej piany, robił przykre wrażenie. Strażacy na wszelki wypadek zabezpieczyli wrak przed pożarem. Stara Toyota Corolla leżała na lewym boku, zaraz za zakrętem drogi. Prawe drzwi wycięte przez strażaków straszyły metalowymi resztkami. Zanim doktor Ziębiński dojechał, technicy zdążyli już zrobić zdjęcia i zabezpieczyć ślady. Teraz czekali na przyjazd lawety. Jakoś musieli ten samochód wyciągnąć. Kobieta leżała na lewym boku; nie zapięła pasów. Jej głowę, całą skrwawioną, pokrywały kawałki szkła. Była martwa. Doktor Ziębiński poczuł się rozczarowany. Taki banał – wypadek samochodowy. Wszystko wskazywało na to, że kobieta, tak jak wstępnie referował mu Jodła, nie wyrobiła na zakręcie, wpadła w poślizg i tyle. I dla takiej sprawy marnował sobie Sylwestra! No

nie, porozmawia sobie z Kaziem od serca.

Ziębiński z powątpiewaniem pokręcił głową, odszedł parę metrów od rozbitego auta. Wszędzie śnieg, ciemność rozświetlały ustawione przy samochodzie reflektory. Popatrzył w czyste niebo, zapowiadał się surowy styczeń. Patolog wdychał mroźne powietrze i powoli zaczynał się niecierpliwić. Gdzież ten Kazik? Nie musiał daleko szukać, szybko namierzył go wzrokiem. A czegoż on tam jeszcze szuka?! Ze zdziwieniem zobaczył komisarza nurkującego w otworze drzwi. Po chwili Jodła wynurzył się z samochodu, trzymając w rękach coś kolorowego. Bez zwłoki podszedł do patologa.

– Popatrz, Roman, torebka ofiary. – Podsunął mu pod oczy kolorowy kłęb materiału.

– No, że ofiara, to prawda – potwierdził zgryźliwie Ziębiński. – Kto jeździ w taką pogodę, na dodatek tym karkołomny skrót.

– Ja nie o tym. Tak mi się wydawało, że to ona była u mnie w Wigilię. – Komisarz powoli otworzył torebkę. Wysupłał z głębin portfel, duży, męski, otworzył go i wyciągnął dowód osobisty.

Miał rację, denatką była Marianna Kornaś, lat trzydzieści cztery, żona Krzysztofa Kornasia. Ze zdjęcia w dowodzie patrzyła na nich ładna, sympatyczna kobieta. Mało przypominała tę zmarnowaną, postarzałą Mariannę, która odwiedziła komisarza w Wigilię. Zrobiło mu się przykro. Może nie powinien był lekceważyć jej opowieści, należało porozmawiać z jej mężem, choćby w celach profilaktycznych. Może... Był wściekły, przecież ta kobieta miała przed sobą jeszcze wiele lat życia! Przeczuwała niebezpieczeństwo i nie żyje! Jedyne, co mógł teraz zrobić, to nie dopuścić, by zbrodniarz pozostał na wolności. Dopadnie go.

– Przeszukajcie dokładnie teren, tak, wiem, że zimno, ale musimy wszystko sprawdzić. Samochód do zbadania. Jest ślisko, ale trzeba sprawdzić przyczynę wypadku. Ta sprawa mi śmierdzi! – Wydał polecenia technikom i skierował się do wraku.

Nie mógł zrozumieć, co skłoniło Mariannę Kornaś do wyjścia z domu i jazdy w bliżej nieznanym celu. Droga, na której zdarzył się wypadek, należała do rzadziej uczęszczanych. Wprawdzie przejezdna, ale kręta, stanowiła skrót drogi do miasta. Wynikało stąd, że Marianna Kornaś jechała do kogoś w mieście. Ubranie nie wskazywało, by wybierała się na bal sylwestrowy. Teraz wszystko leżało w rękach techników i doktora Ziębińskiego, natomiast komisarz postanowił zacząć śledztwo od przesłuchania męża nieboszczki, Krzysztofa Kornasia. Jeszcze tego wieczoru zamierzał zadać mu parę prostych pytań.

Ściągnięty z domu w trybie pilnym aspirant Kulik pojechał na objazd okolicznych knajp. Podobno Kornaś miał się bawić w jednej z nich. Jodła powędrował tymczasem do prosektorium, królestwa doktora Ziębińskiego. Ten, cały wściekły, w zimnym świetle świetlówek popijał kawę, krążąc z kubkiem w ręku nad doczesnymi szczątkami Marianny Kornaś.

– O dobrze, że jesteś. Przyjrzyj się. – Doktor wskazał głową ciało denatki.

– No dobra, przyjrzałem się. – Komisarz z trudem utkwiał wzrok w obmytej już z krwi twarzy.

– Nie na twarz, popatrz na ręce, na przeguby.

– Ożeż, masz rację. Jak ja dorwę tego jej męża, to pożałuje, że się urodził – sarknął.

– To już twoja sprawa. Najwyraźniej denatka szarpała się z kimś, te obrażenia musiały powstać przed śmiercią. Popatrz jeszcze tu. – Doktor odstawił kubek na szafkę z dokumentami, podszedł i delikatnie odwrócił zwłoki. Z tyłu głowy widniał sporych rozmiarów guz. – Może się poszarpali, on ją popchnął, upadła, myślał, że ją zabił, więc wykombinował upozorowanie wypadku samochodowego. Ale to tylko przypuszczenia, tak na już, więcej będę ci mógł powiedzieć po sekcji.

Komisarz Jodła stał zadumany nad zwłokami, rozważając w myślach tryb postępowania, gdy rozdzwoniła się jego komórka. Aspirant Kulik zameldował, że mąż Marianny Kornaś jest już na komendzie.

– Dobrze, szukaj, może coś znajdziesz, a ja idę przesłuchać tego drania. Podobno balował w Mikado. Teraz trzeźwieje. – Komisarz Jodła z ulgą wyszedł z prosektorium. Lata przyzwyczajenia zdały się na nic; dzisiaj czuł się tam wyjątkowo nieswojo. Cały czas miał przed oczami zdruzgotaną kobietę szukającą u niego pomocy.

Mąż Marianny Kornaś był wyjątkowo przystojnym mężczyzną w typie latynoskich amantów. Czarne, lśniące od brylantyny włosy, zabójczy wąsik i opalenizna z solarium musiały przyciągać wzrok kobiet. Dziwiło, w jaki sposób przykuła jego uwagę bezbarwna uroda Marianny. A może to nie o urodę chodziło, lecz o pieniądze? Komisarz przypomniał sobie wyznanie kobiety na temat posiadanego przed ślubem majątku.

Kornaś siedział na stołku, wierząc się niespokojnie. Nie bardzo wiedział, o co chodzi tym ludziom z policji. Wyglądało na to, że nie grzeszył inteligencją. Aspirant Kulik opowiadał komisarzowi, że mieli trochę kłopotu z zatrzymaniem Kornasia. Ponoć z trudem wyrwali go z ramion jakiejś nadpobudliwej blondynki, amatorki cudzych mężów. Pijany w sztok twierdził, że nie zna kobiety, kocha żonę i nie rozumie, co się stało. Nie, ideałem męża to on nigdy nie był, ale Marianna dokładnie wiedziała, kogo poślubiła. Taki mieli układ.

– Taki układ, że maltretował pan żonę, gnębił ją psychicznie, groził śmiercią, a nawet posunął się do demontażu schodów? A kto próbował potrącić ją motocyklem? – Komisarz pytał pozornie spokojnie. Zdążył już opanować rozszalałe emocje. Jakiegokolwiek utarczki z podejrzanym nie wchodziły w grę. Zaraz wezwałby adwokata. Lepiej unikać takich sytuacji. Komisarz wolał przeprowadzić rozmowę na zimno. Stanowczo i uprzejmie.

Kornaś nie miał pojęcia, o co komisarzowi chodziło.

– Jakie groził? Jakie maltretował? A schody? Przyszedł fachowiec i zdemontował, przecież sama chciała, i to od dawna! – Kornaś wytrzeszczał na komisarza półprzytomne oczka. W głowie mu szumiało i najchętniej strzeliłby sobie małe piwo, albo chociaż kefirek. Dostał wodę mineralną, niegazowaną. Pił długo, chcąc zyskać na czasie. Dlaczego ta głupia Marianna nie żyje? Podejrzewał, że ktoś mu zrobił niewybredny dowcip.

Komisarz Jodła przyglądał się podejrzanemu z uwagą. Mąż Marianny posiadał bardzo wyrazistą mimikę i komisarz zaczynał wątpić, czy faktycznie Kornaś miał coś wspólnego ze śmiercią żony. Na razie nie posiadał żadnych dowodów jego winy, żadnych poszlak, oprócz oświadczenia nieżyjącej już kobiety.

– Panie Kornaś, pańska żona przyszła do mnie do komendy w wieczór wigilijny i złożyła na pana nieformalną skargę. Obawiała się o swoje życie.

Reakcja podejrzanego na słowa komisarza była zaskakująca. Wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak długo, że Jodła zaczął się obawiać, czy siedzący przed nim mężczyzna nie wpadł w histerię.

– Ja miałbym ją zabić? Po co? To prawda, poszarпалиśmy się trochę, ale sama to sprowokowała. Od słowa do słowa i poniosło mnie. Szybko się opanowałem. Potrzebowałem żony żywej, nie martwej. Nie jestem niewiniątkiem, przyznaję, zdarzały mi się skoki w bok, ale to nie było nic poważnego. Ona też nie była taka święta. Zapytajcie przyjaciółkę Marianny, Renatę Chachurską, ona to potwierdzi! Moja żona nie miała żadnego racjonalnego powodu, aby się mnie obawiać. Poza tym całego Sylwestra, i to od szóstej wieczór, spędziłem w towarzystwie. Wszyscy mnie widzieli! Zapytajcie!

– Zapytaliśmy i ma pan problem. Niektórzy pańscy znajomi twierdzą, że zniknął im pan z oczu przynajmniej na godzinę. Dość czasu, by pojechać do domu, pokłócić się z żoną, uderzyć ją czymś twardym, albo pchnąć na coś twardego, potem nieprzytomną wsadzić do samochodu i zepchnąć ze zbocza. To nie tak daleko od państwa domu. W lecie mniej niż dziesięć minut jazdy, zimą najwyżej piętnaście. Nieustannie sypiący śnieg zatarłby ślady. Gdyby ktoś przypadkiem tamtędy nie przejeżdżał, zgłoszenie o wypadku najpewniej dotarłoby do nas dopiero jutro, a wrak utonąłby w śniegu. Mógł pan to wszystko zrobić, wrócić do domu, wsiąść do swojego samochodu i przyjechać z powrotem do Mikado. Zgadza się? – Komisarz pozwolił sobie na triumfujący półuśmieszek.

– Nic się nie zgadza! – Kornaś był bliski łez. – Powiem panu, jak było naprawdę. Spędzałem wieczór z taką jedną znajomą. Spotkaliśmy się po latach. Wiedziałem, że żona nie pójdzie, więc zaprosiłem Kaśkę. Chciałem potańczyć, zabawić się, zapomnieć o problemach. No i zapomniałem. Tę godzinę spędziliśmy wspólnie w pokoju na piętrze, mój znajomy prowadzi tę restaurację, to dał mi klucze. Zapytajcie Kaśkę, ona na pewno potwierdzi moje alibi. Niech mi pan wierzy, komisarzu, nie miałem powodu, by zabijać żonę. Przecież firma jest na nią. Zamykaj teraz działalność, przebijaj się przez te wszystkie rozliczenia, sprawy spadkowe, to przecież koszmar! Ja i tak miałem wszystko, czego potrzebowałem.

– Wszystko oprócz wolności. A może chciał się pan ożenić z inną kobietą, na przykład z tą panią Katarzyną? – Jodła nie dał się zbić z tropu.

– Panie komisarzu – obruszył się Kornaś – skoki w bok, tak, bez zobowiązań, na luzie. Ale żenić się? Zawsze mogłem powiedzieć, że żona nie da mi rozwodu. Trochę płaczu, gderania... Niech mi pan wierzy, tak jest dużo wygodniej.

Komisarz Jodła miał dość praktycznego podejrzanego. Krętacz, dziwkarz, a udaje niewiniątko. Dopóki nie potwierdzi się jego alibi, pozostawał głównym podejrzanym. Marianna Kornaś wprawdzie nie wyglądała na specjalnie inteligentną kobietę, ale na pewno nie była głupia! Nie miała powodu, żeby robić rajd po okolicznych krętych drogach. Chyba że w celach samobójczych. Komisarz musiał cierpliwie poczekać na wyniki sekcji od doktora Ziębińskiego i raport od techników.

Dochodziła druga w nocy. Pierwsze godziny Nowego Roku. Dopiero teraz zaczynały docierać do niego ostatnie wybuchy rac i wycie karetki pogotowia. Oczy



mu się tak kleiły, że nawet nie pojechał do domu, tylko położył się na aresztanckiej kozetce. Byle złapać trochę snu. Reszta współpracowników wróciła do domów.

Ranek komisarz zaczął od mocnej kawy. Chciało mu się jeść, ale tak prozaiczna sprawa jak śniadanie musiała poczekać. Teraz należało przesłuchać ową przypadkową towarzyszkę wieczornych uciech Kornasia. Sprawdził, gdzie kobieta mieszka – wcale nie tak daleko od komendy. Ubrał się ciepło. Dobrze, że wychodząc wczoraj z domu, zabrał czapkę i rękawiczki. Owinął szalik wokół szyi i tak zabezpieczony przed mrozem i wiatrem, wyruszył w odwiedzinę do Katarzyny Ćwiek, owej nadpobudliwej blondynki.

Drzwi prowadzące na klatkę schodową były otwarte, domofon nie działał. Pani Katarzyna mieszkała na drugim piętrze. Do jej domu prowadziły obite boazerią drzwi. Gustowna wizytówka informowała, że mieszka tutaj Katarzyna Ćwiek – psycholog. Na dole drobnymi literkami podano godziny przyjęć. Dwa razy w tygodniu. Komisarz nigdy by nie przypuszczał, że rozrywkowa znajoma Kornasia pracuje w takim zawodzie.

Otworzyła mu szybko. Ubrana elegancko, chociaż po domowemu, bez makijażu wyglądała na pewno o wiele lepiej niż w czasie sylwestrowej nocy. Włosy związane w koński ogon i bystre spojrzenie niebieskich oczu odmładzały kobietę o dobrych parę lat.

– Dzień dobry, słucham pana? – zapytała miłym, acz stanowczym głosem.

– Komisarz Kazimierz Jodła – przedstawił się, sięgając jednocześnie do kieszeni kurtki po legitymację.

– Nie trzeba, proszę wejść. – Kobieta otworzyła szerzej drzwi i cofnęła się w głąb przedpokoju. – Napije się pan ze mną kawy? – zaproponowała. – Właśnie zaparzyłam.

– Bardzo chętnie. – Komisarz powoli odwijał szal, wieszał kurtkę, a rękawiczki wpychał głęboko do kieszeni. Nieprzyzwyczajony do noszenia rękawiczek bał się, że znowu gdzieś przepadną.

Kawa pachniała wybornie. Tosty parowały, masło roztapiało się na nich smakowicie. Komisarz powstrzymywał się całą siłą woli, by nie rzucić się od razu na stojące na stole przysmaki.

– Czyli mówi pan, komisarzu, że jestem alibi tego pana, z którym podobno spędziłam cały wieczór? – zapytała gospodyni.

– Zgadza się. Jeżeli potwierdzi pani jego alibi na czas od mniej więcej dziewiętnastej do dwudziestej, to będziemy musieli go wypuścić. Właśnie w tym czasie zginęła Marianna Kornaś. Nie znamy godziny zgonu z dokładnością co do minuty, ale o dwudziestej pięć dostaliśmy zgłoszenie wypadku. Liczę, że aby dotrzeć do domu, uderzyć żonę, wsadzić ją do samochodu, przejechać ten kawałek, przesadzić żonę na siedzenie kierowcy i zepchnąć samochód, musiał mieć minimum czterdzieści pięć, pięćdziesiąt minut. To tylko przypuszczenia, być może było całkiem inaczej. Po kłótni ona sama wsiadła w samochód i pojechała, nie spodziewając się problemów. Jechała dość szybko, zbyt szybko jak na panujące warunki. Akurat tam, gdzie zginęła, jest taki nieprzyjemny zakręt. Zarzuciło nią i poleciała w dół. Tak czy owak, mąż jest winny, chyba że cały czas był z panią.

Popatrzyła na niego uważnie.

– A więc w moich rękach spoczywa los człowieka? – zapytała.

– Zgadza się. To znaczy my wszystko sprawdzimy, ale pani zeznania mają niebagatelną wagę.

– No cóż... policji powinno się mówić całą prawdę i tylko prawdę. Niestety nie jestem w stanie dać pełnego alibi panu Kornasiowi. To prawda, że spotkaliśmy się przypadkowo dwa dni przed Sylwestrem. Kupił już bilety na bal, ale nie chciał iść sam, a z kolei żona nie miała ochoty wybrać się wraz z nim. Był na nią wściekły, żądny zemsty. Odgrażał się, że jeszcze pożałuje. Nie brałam jego gadania na serio. Umówiliśmy się na tego wspólnego sylwestra i od osiemnastej zaczęliśmy balować. Krzysiek przyszedł już na rauszu. Trochę tańczyliśmy. Przyznaję, gdy zaproponował, żebyśmy poszli razem do pokoju, powinnam odmówić. Żałuję, że tego nie zrobiłam! Ale przynajmniej posłałam go po prezerwatywy. Wie pan, przypadkowy seks z przypadkowym mężczyzną, nie chciałam ryzykować. Krzysztof bardzo długo nie wracał, znudziło mnie samotne oglądanie telewizji w pokoju, więc zeszłam na dół, do restauracji, i bawiłam się ze wszystkimi. Wrócił, odnalazł mnie. Twierdził, że nigdzie nie mógł kupić prezerwatyw. Mnie tymczasem zdążyła przejść ochota na seks i skończyło się na tańczeniu i piciu. Razem i osobno. Tyle. Nie było go faktycznie pomiędzy dziewiętnastą a dwudziestą trzydzieści, czy coś koło tego, nie pamiętam. Mam nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto potwierdzi jego alibi, ja nie mogę. – Pani Katarzyna zrobiła smutną minę i westchnęła. – Gdybym wiedziała, że zdarzy się taka sytuacja, to nigdzie bym go nie wysyłała.

– Jeszcze tylko jedno pytanie. Skąd się państwo znacie? Pan Kornaś powiedział, że spotkał panią po latach.

– To się zgadza, chodziliśmy do jednego liceum, nie widzieliśmy się od dawna, aż tu pewnego dnia spotkaliśmy się w sklepie. Był akurat z żoną, poznałyśmy się. Chwilę postaliśmy, pogadaliśmy, powspominaliśmy. A drugi raz to właśnie przed tym sylwestrem, już panu mówiłam, postanowiłam mu towarzyszyć, żeby bilet się nie zmarnował. Ani mi przez myśl nie przeszło, że to się tak tragicznie skończy!

– No cóż, nie mogła pani tego przewidzieć. – Komisarz smutno pokiwał głową.

– To prawda, niczego nie mogłam przewidzieć. W końcu prawie w ogóle się nie znaliśmy. – Uśmiechnęła się słabo i wyciągnęła rękę na pożegnanie.

\* \* \*

Po kilku dniach podejrzenia przerodziły się w pewność. Wypadek pani Kornaś nie był przypadkiem. Ktoś, działając z premedytacją, odkręcił śruby mocujące koło. Praktycznie nieboszczka do miejsca zdarzenia dojechała tylko na jednej śrubie, reszta wypadła po drodze, a ta ostatnia śruba puściła przy braniu ostrego zakrętu. Technicy stwierdzili, że ponad wszelką wątpliwość to spowodowało wypadek. Denatka jechała zbyt szybko i mówiąc językiem potocznym, nie wyrobiła na zakręcie. Układ hamulcowy, jezdny, opony, wszystko było w bardzo dobrym stanie.

Doktor Ziębiński przysłał komisarzowi cienką teczkę z wnioskami posekcyjnymi. Zdrowie w doskonałym stanie. Urazy zewnętrzne powstały przypuszczalnie dzień przed śmiercią. Na to wskazywał kolor siniaków. Kornaś mówił prawdę. Wyglądało na to, że Marianna Kornaś nagle, gnana jakimś impulsem, wsiadła do samochodu i

pojechała w kierunku miasta. Na taki tok postępowania wskazywało niedostosowane do pogody ubranie. Komisarz Jodła kazał także sprawdzić bilingi telefonów należących do państwa Kornasiów. Okazało się, że o dziewiętnastej trzydzieści dzwonił do Marianny Kornaś jej własny mąż, choć on zarzekał się, że nie dzwonił. Owszem, miał przy sobie komórkę, to prawda, to był jego numer telefonu, ale litości, po cóż miałby dzwonić do żony?! Uparła się zostać w domu, to została. Nie nalegał na jej towarzystwo. Może powinien, nie miałby teraz takich kolosalnych kłopotów. Zatrzymany do wyjaśnienia sprawy, cały czas twierdził, że jest niewinny jak nowo narodzone dziecko i powtarzał własną wersję wydarzeń, w której przewijały się wciąż dwa słowa: „nie rozumiem”. Gdyby nie wigilijna wizyta pani Kornaś, odkręcone śruby mocujące przednie koło oraz niewyjaśniony telefon tuż przed wypadkiem, sprawę zakwalifikowano by do nieszczęśliwych wypadków i zamknięto. Niestety wszystkie poszlaki wskazywały na męża.

\* \* \*

Rozprawa trwała krótko, a wyrok nie był zbyt wysoki. O dziwo, przyjaciółka zmarłej Renata Chachurska świadczyła na korzyść oskarżonego. Twierdziła, że Kornasiowie byli małżeństwem jakich wiele. On zdradzał żonę, ona nie pozostawała mu dłużna. Renata wiedziała o przynajmniej dwóch romansach, które Marianna miała w czasie trwania małżeństwa. Poza tym Kornasiowa doskonale wiedziała o zdradach męża i nie reagowała na nie. Dlaczego nie reagowała, tego Renata już nie wiedziała. Jedno zdanie wypowiedziane przez przyjaciółkę nieboszczki zwróciło uwagę komisarza.

Na pytanie sądu, czy państwo Kornasiowie tworzyli dobre małżeństwo, Renata odpowiedziała dwuznacznie:

– Dopóki taki układ pasował obojgu, byli bardzo dobrym małżeństwem. Nie zdziwiłabym się, gdyby to Marianna chciała odejść. Podobno miała kogoś na serio. Nie, nie wiem kogo. Ja nawet nie jestem tego pewna na sto procent. Niby się przyjaźniłyśmy, ale Marianna była bardzo ostrożna i skryta.

Nie ustalono, w jakim celu Krzysztof Kornaś dzwonił do żony. On cały czas konsekwentnie utrzymywał, że nie dzwonił.

Zarówno w trakcie śledztwa, jak i procesu komisarz Jodła przeżywał rozterki. Cały czas myślał, że nie sprawdził wszystkiego należycie, że jakiś ważny szczegół uszedł jego uwadze. Ten telefon... Nie dawał mu spokoju. Z jakiego powodu zginęła Marianna? Komu mogło zależeć na jej śmierci? Jeżeli nie mężowi, to komu?

\* \* \*

Pani psycholog robiła porządki w dokumentach. Powyciągała segregatory, poopisywała. Osobno układała rachunki, osobno umowy, takie na prąd, gaz, telefon, telewizję satelitarną. Wszystko dokładnie, po kolei. Na końcu dla odprężenia sięgnęła po zdjęcia.

Ich klasa w Krakowie, wycieczka do Warszawy. Ona przytulona do Krzysztofa, nieodrywająca od niego oczu. Stanowili parę od pierwszej klasy liceum. Wieczną parę, przynajmniej tak się jej wydawało. Myślała, że po liceum pójda wspólnie na

studia, wezmą ślub, będą zawsze razem... Nawet się nie obejrzała, jak najpierw pojawiła się Danka, potem Anula, Beatka i cała parada innych imion. Na męża złapała go Marianna. Stara, głupia, bogata Marianna. Trafiło się jej jak ślepej kurze ziarno. Ona, Katarzyna, nigdy nie zapomniała. Po prostu czekała na sprzyjający moment..

W większości powiedziała komisarzowi prawdę, swoją prawdę. Z Marianną poznały się w sklepie. Krzysztof je sobie przedstawił. On sam pamiętał Kasię, ale zapomniał, co ich łączyło. Traktował ją jak obcą osobę. Może by mu darowała, ale naprawdę nie mogła. Przygotowała się sumiennie. Wcześniej, pod nieobecność Krzysztofa, spotkała się kilka razy z Marianną. Polubiły się. Marianna chciała jak najszybciej pozbyć się Krzysztofa. Nie zamierzała sięgać do środków ostatecznych, ale nie miała ochoty na podział majątku. W grę wchodził rozwód z orzeczeniem o jego winie. Do tego potrzebny był dowód zdrady. Najlepiej wśród całej masy świadków.

Wszystko zaplanowały w najdrobniejszych szczegółach. Wizyta u komisarza Jodły służyła zwróceniu uwagi na agresywność Kornasia. Na to, że Marianna żyje w ciągłym stresie, w stanie totalnego zagrożenia. Gdyby Krzysztof zginął, oczywiście w ostateczności, w trakcie obrony koniecznej, komisarz Jodła świadczyłby na korzyść oskarżonej. Tak sobie wymyśliły. Ponieważ Mariannie chodziło tylko o wolność i pieniądze, zaplanowały, że niby przez przypadek Katarzyna spotka się z Krzysztofem. Wiedziała, że w szufladzie biurka leżą bilety na bal sylwestrowy. Wystarczyło, że Marianna odmówiła pójscia, a jej mąż już szukał zastępstwa. Po pięciu minutach Katarzyna z uśmiechem zgadzała się na jego propozycję. Dogadały się, że Katarzyna zadzwoni i Marianna przyjedzie. Zobaczy męża w objęciach Katarzyny, zrobi im zdjęcie na dowód, a potem zemdleje.

Tyle tylko że Marianna nie wiedziała, iż Katarzyna miała swój własny, autorski plan. Z główną rolą dla Marianny w charakterze nieboszczki. Wystarczyło tylko odkręcić śruby mocujące koło.

W końcu to nie był jej pierwszy raz.

# Agnieszka Krawczyk

## ŚMIERĆ POETY

### Wstęp

Edgar Allan Poe – amerykański poeta i autor opowiadań takich jak *Studnia i wahadło*, *Zagłada domu Usherów* czy *Rękopis znaleziony w butli* zmarł 7 października 1849 roku, w szpitalu miejskim w Baltimore.

Cztery dni wcześniej znaleziono go półprzytomnego na jednej z ulic miasta. Miał na sobie groteskowe i niedopasowane ubranie (Poe był znany jako dandys i przykładał wielką wagę do stroju); nie był też w stanie powiedzieć, co się z nim wcześniej działo. Powtarzał wciąż nazwisko „Reynolds”, które nie należało do nikogo z jego znajomych.

Jako przyczynę zgonu poety podano zapalenie mózgu, będące wynikiem choroby alkoholowej – Poe istotnie nadużywał alkoholu i laudanum.

Co ciekawe, zagadka jego śmierci pozostaje niewyjaśniona do dzisiaj: mówi się o zarażeniu wścieklizną, cholera, nowotworze mózgu, a także – i to jest niezwykle ciekawa teoria – że padł ofiarą tak zwanego *coopingu*, oszustwa wyborczego polegającego na odurzaniu przypadkowych ofiar narkotykami, przebieraniu ich w coraz to inne stroje i wysyłaniu do lokali wyborczych celem głosowania na jakiegoś kandydata.

Jak było naprawdę? Nikt nie wie.

Każdy wielbiciel Poego ma swoją teorię...

\* \* \*

Dwaj mężczyźni, wracający właśnie z wyborczego wiecu kapitana Drummonda, minęli zaułek Gunners Hall i skierowali się ku głównej, jasno oświetlonej ulicy Baltimore. Byli tak pochłonięci ożywioną dyskusją, że prawie nie usłyszeli cichego wołania o pomoc, dobiegającego z uliczki obok tawerny Rayana. Leżał tam człowiek w poszarpanym i źle dopasowanym ubraniu – miał zniszczone, zbyt duże buty, wyblakły, za obszerny stary płaszcz i równie źle dobrane pantalon z żałobnej czarnej bombazyny. Na głowie nosił komiczny kapelusz ze słomki; jego twarz była przerażająca: blada, wymizerowana, z pozbawionymi wyrazu oczami, a rozczochrane i brudne włosy dopełniały tego obrazu nędzy i rozpacz.

– Co się panu stało? – spytał wyższy z przechodniów, drukarz nazwiskiem Walker, pochylając się nad leżącym. – Czy jest pan chory? Może pana napadnięto?

– Nie, nie jestem chory – z wysiłkiem odpowiedział nieznajomy. Walker przyglądał mu się uważnie, ponieważ miał niejasne wrażenie, że kiedyś już go widział.

– Kim pan jest? Wydaje mi się, że znam pana...

– Reynolds – powiedział ów człowiek z wysiłkiem, a na jego czole pojawiły się

kropelki potu.

„Alkohol albo laudanum” – pomyślał Walker. Choć sam był tylko drukarzem, miał brata pracującego w szpitalu Waszyngtona w Baltimore i niejednokrotnie widywał tam ofiary delirium. Był to smutny obrazek. Nieprzytomne, szalone oczy, drżące dłonie, twarze pełne udręki. Dokładnie takie, jak oblicze nieznanego z zaułku.

– Nazywa się pan Reynolds? – zapytał więc, usiłując przy pomocy swego towarzysza podnieść nieszczęśnika z ziemi.

– Nie – powiedział dziwny człowiek, jakby z ogromnym trudem zbierając myśli. – Nazywam się Poe...

– Edgar Allan Poe? – zdziwił się Walker. Choć mężczyzna wydawał mu się znajomy, nie przypominał jednak znanego w całym mieście poety.

Osobnik, który przedstawił się jako Poe, jęknął tylko i przyciskając dłonie do skroni, zaczął mówić szybkim, ale momentami urywanym głosem:

– Co za żałosny stan, tragiczne położenie...

Nie sposób było nie przyznać mu racji i Walker wraz z towarzyszem popatrzyli wymownie na siebie. Mężczyzna usiadł na trotuarze i zawodząc cicho, kiwał się na boki jak małe dziecko. Naprawdę przedstawiał sobą godny pożałowania widok.

Walker położył mu dłoń na ramieniu, ale on nie zareagował.

– Może powinniśmy zawiadomić kogoś z jego bliskich? – zapytał niepewnie znajomy drukarza, patrząc nań z wyczekiwaniem.

Walker zamyślił się.

– Jeżeli to rzeczywiście Edgar Allan Poe, to skreślę parę słów do jego przyjaciela, doktora Snodgrassa...

– Myśli pan, że to dobry pomysł? Snodgrass to przewodniczący Ligi Trzeźwości, a ten tu biedaczysko wygląda, jakby cierpiał na *delirium tremens*...

Walker zastanowił się przez chwilę.

– Nie znam nikogo, kto mógłby się nim zająć. Na razie jednak wezwijmy dorożkę i zawieźmy go do szpitala.

Nie bez trudu dźwignęli mającego mężczyznę i skinęli na fiakra. Drynda przytoczyła się niespiesznie, kołysząc resorami na wybojach bruku. Jazda z szamoczącym się w dziwnych urojeniach pasażerem nie była prosta. Mężczyzna podający się za Edgara Allana Poe wciąż budził się z krzykiem i znowu zapadał w letarg. Głowa opadała mu na boki, oczy wywracały się białkami w górę, a w kącikach ust pojawiała się piana. Nieustannie zaciskał dłonie o brudnych i połamanych paznokciach, a gdy nagłym drgnięciem prostował ręce, widać było potargane i wystrzępione mankiety jego nieświeżej koszuli.

Zajechali pod bramę szpitala Waszyngtona. Przyjęła ich pielęgniarka, starsza kobieta słusznej tuszy, którą Walker znał z widzenia. Niewiasta rzuciła tylko okiem na nieszczęśnika w dorożce, a potem szybko zawołała pielęgniarzy i poleciła im, żeby zanieśli pacjenta do odosobnionego pokoju w wieży.

Tam, jak wyjaśniła drukarzowi i jego strapionemu tą niezwykłą przygodą koledze, trzymano deliryków. Przebywali w klasztornym niemal odosobnieniu gwarantującym, że nie zrobią sobie czegoś złego, ale też nie zdenerwują innych chorych.

– Mamy tu dosyć kłopotów – powiedziała, spoglądając na Walkera groźnie. Być

może zastanawiała się, czy to drukarz i jego kompan przywieźli biedaka do tego stanu.

Walkerowi zrobiło się nieprzyjemnie. Wyjaśnił kobiecie, choć wcale przecież nie musiał tego robić, że w szpitalu pracuje jego brat, a mającego mężczyznę znaleźli przypadkiem, w bocznej ulicy, w stanie skrajnej desperacji i opuszczenia.

– Rozumiem – rzekła tym samym groźnym głosem. – Zrobili panowie po prostu dobry uczynek, czy tak?

– A jakże! – przyświadczył znajomy drukarza z wyraźną ulgą. Miał bowiem wrażenie, że niepokojąca historia zaczyna się powoli wyjaśniać, a mroczne mgły, które spowiły ich w zaułku Gunners Hall, rozstępują się.

– Bóg wam zapłać za szlachetne serca, panowie – powiedziała szyderczo pielęgniarka i odwróciła się do drzwi.

– Proszę zaczekać! – zawołał Walker, a kobieta przystanęła niechętnie.

– I cóż jeszcze? – rzuciła przez ramię.

– Chcemy wiedzieć, czy ten nieborak znajdzie tu opiekę?

Niewiasta zmierzyła go wzrokiem i roześmiała się tak serdecznie, że fartuch na jej obfitym brzuchu zatrzęsł się frywolnie.

– A jużci! Doktor Moran jest na dyżurze, on go dogładnie najlepiej ze wszystkich! – I nie odezawszy się już więcej, zamknęła ciężkie drzwi, pozostawiając ich w lepkiej, przenikającej wszystko na wskroś mgle październikowego wieczora.

– Nie podoba mi się to zupełnie! – mruknął do siebie rozdrażniony Walker, zajmując miejsce w dryndzie. Obiecał sobie solennie zaraz po powrocie napisać do doktora Snodgrassa, co zresztą niezwłocznie uczynił.

Tymczasem milczący pielęgniarze zanieśli chorego do pokoiku w wieży. Było to smutne i niegościnne miejsce, rzeczywiście przypominające klasztorną celę. Puste brudnawe ściany i nader proste urządzenie pokoju tylko potęgowały ten przygnębiający obraz. Przez wąskie okienko wsączało się nieco światła z latarni stojącej tuż przed bramą szpitala. Mdły gazowy płomień miał dziwny trupi blask, przywodzący na myśl błędne ognie.

Pielęgniarze rzucili nieznajomego na wąską prycę, wyposażoną w szpitalny siennik i skromną pościel. Mężczyzna jęknął z cicha i otwartymi szeroko oczyma wpatrywał się w cienie przesuwające się na ścianie. Mamrotał przy tym do siebie jednostajnie, a jego głos przypominał modlitwę.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich lekarz, doktor Moran. Był to człowiek w sile wieku, postawny, ale przygarbiony nieco i wyraźnie zmęczony pracą.

– Czy to ten? – spytał, zwracając się gdzieś za siebie. Stała tam najwyraźniej owa zażywna niewiasta, którą tak niemiło miał wspominać później drukarz Walker, bo dał się słyszeć jej przytłumiony groźny głos.

– Tak, panie doktorze! Jacyś dwaj go przywieźli dorożką. Nie wygląda na to, żeby się znali... Mówili, że znaleźli go w zaułku i że to poeta Edgar Allan Poe...

– Poeta? – zdziwił się lekarz, przyglądając wymizerowanej twarzy pacjenta, która nosiła ślady uporczywego cierpienia. Pielęgniarze zdjęli mu wysłużone obuwie i komiczny kapelusz ze słomki, ale zostawili w brudnej koszuli i spodniach.

Lekarz westchnął, polecając kobiecie, by założyła pacjentowi szpitalne odzienie.

– Za chwilę zrobię mu zastrzyk – powiedział jeszcze Moran po zbadaniu pulsu

chorego i zajrzeniu mu w oczy. – Boję się, żeby w tym stanie nie dostał zapalenia płuc...

Pielęgniarka wymruczała coś do siebie, ale posłusznie poszła do składu bielizny na końcu korytarza. Przyniosła stamtąd płócienną koszulę i wprawnymi szybkimi ruchami przebrała chorego. Ten prawie się nie poruszył, dając się bezwolnie przekładać z miejsca na miejsce. Jego bladość, udręczony wyraz twarzy i ciche mamrotanie zrobiły na kobiecie pewne wrażenie, bo przyniosła drugi koc i starannie okryła nim cierpiącego. Miała duże doświadczenie w pracy na oddziale dla deliryków i wiedziała na pewno, że ten nie będzie agresywny. „To taki, co widzi boga i aniołów” – uznała, starannie upychając brzegi koca pomiędzy siennik a ramę łóżka.

Doktor Moran wrócił ze szklaną strzykawką napełnioną mętnym, jakby opalizującym płynem. Pewnym ruchem podwinął rękaw chorego, wbił igłę i nacisnął tłoczek. Ciało mężczyzny wyprężyło się, napięło jak struna, a potem zwiotczało i opadło bezwolnie na siennik. Zapadł w sen.

Lekarz przyglądał mu się przez chwilę, po czym wyszedł z pokoju, cicho zamykając drzwi.

Wrócił do swego skromnego kantorka, ale nie mógł skupić się nad papierami. Lampa filowała, rzucając na ścianę niesamowite cienie. Za oknem zerwał się wiatr, przyginający bezlistne gałęzie drzew ku ziemi. Po całym budynku snuły się niesamowite szepty, nasilając się i cichnąc na przemian. Moran miał wrażenie, że ktoś wędruje korytarzami, zagląda z zewnątrz do okien, mąci płomienie gazowych lamp.

Zmęczony wstał od biurka i poszedł w kierunku wieży, gdzie zostawił nowego pacjenta.

Otworzył drzwi do pokoju chorego i ujrzał go leżącego na łóżku na wznak z oczami wbitymi w sufit.

Słyszając skrzypienie drzwi, mężczyzna odwrócił się i zapytał z niepokojem:

– Reynolds?

– Nazywam się doktor Moran, panie Poe. Znajduje się pan w szpitalu Waszyngtona na oddziale dla nerwowo chorych.

Na leżącym ta wiadomość nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Śledził wzrokiem przesuwające się po suficie cienie i nasłuchiwał.

– Zimno mi – powiedział po chwili. – Jestem taki słaby, taki słaby. – Język zaczął mu się plątać, mowa stała się bełkotliwa, ciałem znowu wstrząsnęły drgawki. Lekarz bezskutecznie starał się opanować nieskoordynowane ruchy pacjenta. Musiał wezwać na pomoc dwóch sanitariuszy, którzy przytrzymali go za ręce i nogi. Rzeczywiście, stopy miał lodowate, a chrapliwy, urywany oddech przypominał rżenie.

Moran zaaplikował mu kolejny zastrzyk i chory się uspokoił. Doktor patrzył na niego pełnym smutku wzrokiem, gdy do pokoju weszła siostra Porridge, owa zażywna kobieta.

– Panie doktorze, jest tu krewny tego pacjenta, najwyraźniej ktoś go powiadomił, że ten nieszczęśnik do nas trafił.

– Chwała Bogu! – powiedział Moran. – Już do niego idę. Niech pani przypilnuje chorego. Dostał zastrzyk, ale ponieważ przed chwilą niebezpiecznie się dusił, trzeba



na niego zwrócić uwagę.

– Dobrze, doktorze – odparła Porridge swym surowym głosem. – Przy mnie włos mu z głowy nie spadnie.

Moran zszedł do swego skromnego kantorka, gdzie przy stole siedział już gość. Był to mężczyzna w średnim wieku, dosyć wymizerowany, o zaczerwienionych oczach, jakby cierpiał na chroniczne zapalenie spojówek. Miał czarne zniszczone ubranie, a w ręku obracał wyświecony kapelusz. Wstał na powitanie lekarza i przedstawił się jako kuzyn pacjenta nazwiskiem Herring.

– Ponoć Edgar wspominał o mnie? – zapytał przybysz, mnąc w rękach rondo kapelusza.

Doktor wyjaśnił, że jedynym nazwiskiem, które usłyszał od chorego, było „Reynolds”.

– Och, nie! – gorliwie sprzeciwił się kuzyn. – Chodziło mu zapewne o mnie, nazywam się Henry Herring, musiał się pan przesłyszeć!

Moran spojrział na niego badawczo. Był pewny, że się nie przesłyszał i nie rozumiał, dlaczego kuzyn chorego tak się przy tym upiera. Sprawiał wrażenie, jakby ta kwestia interesowała go bardziej niż stan zdrowia krewniaka.

– Mniejsza z tym – powiedział wreszcie Moran, zmęczony tą dyskusją, która od początku zdawała się jałowa. – Pański kuzyn jest w złym stanie, trudno powiedzieć, czy przeżyje noc.

Herring wyraźnie się zdenerwował. Wlepił w lekarza swoje zaczerwienione oczy i zaczął nerwowo wymachiwać rękami.

– Umrze? – upewniał się, kręcąc przecząco głową. – Dlaczego?

Lekarz wyjaśnił mu cierpliwie, że pacjent dotarł do szpitala w kiepskim stanie, najprawdopodobniej w delirium. Mógł nadużywać zarówno alkoholu jak i laudanum, które jest mieszanką opium z wódką. Długotrwałe stosowanie tych trucizn daje właśnie takie efekty – drzenie, osłabienie, paraliż i omamy.

– Pański krewny musiał długo pracować na stan, w jakim się znalazł. Jako rodzina winniście go wspierać, namawiać, by porzucił zgubny nałóg...

Herring, jękając się ze zdenerwowania, zaczął wyjaśniać, że Edgar był nieustającym utrapieniem rodziny Allanów. Został wydalony zarówno z uniwersytetu, jak i z West Point, później różnie mu się wiodło, cierpiał biedę.

– Ojczym nic mu nie zostawił w testamencie – tłumaczył Herring. – Mój kuzyn musiał sobie radzić sam, a sprawy nie zawsze szły po jego myśli. Wszystko się zmieniło, gdy zaczął pracować jako dziennikarz, a potem odnosić sukcesy pisarskie. – Pan Herring zamilkł, jakby dla nabrania powietrza. Ponieważ lekarz nie odezwał się ani słowem, wciąż patrząc na niego badawczo, podjął rozpoczęty wątek:

– Ożenił się ze swoją młodą kuzynką, która zresztą zmarła na gruźlicę, będącą prawdziwym przekleństwem tej rodziny. Starszy brat Edgara także umarł na tę chorobę, wycieńczony nałogiem alkoholowym. Sam Poe za dużo pił i nadużywał środków odurzających. Śmierć Virginii zupełnie go załamała i doprowadziła do skrajnej desperacji... – Kuzyn pacjenta, schylił głowę i znowu zatopił się w milczeniu.

– Alkoholik, ot co! – mruknął doktor Moran, dla którego opowieść gościa stanowiła tylko dowód, że nie pomylił się w diagnozie. Nie interesowała go przeszłość tego pożałowania godnego człowieka. Jego kuzyn także wyglądał na

nadużywającego trunków. To rozbiegane spojrzenie, nieświeży wygląd...

– Czy chce pan odwiedzić krewnego? – zapytał, a tamten wzdrygnął się z przerażenia.

– Nie... ja tylko przyszedłem tutaj przynieść mu zmianę bielizny. – Wskazał ręką na tobołek, którego doktor nie zauważył wcześniej.

– Dobrze zatem – powiedział zniecierpliwionym głosem, bo niespodziewany gość zaczął mu działać na nerwy. – Każę pani Porridge, by dostarczyła te rzeczy do pokoju pańskiego kuzyna.

– Nie, nie! Niech pan to zrobi osobiście, panie doktorze – zaczął nalegać Herring i schwycił Morana za rękę. Jego dłoń była lepka i lodowato nieprzyjemna, więc lekarz odtrącił ją ze wstrętem.

– Zgoda – powiedział, by pozbyć się natręta. – Sam mu zaniosę tę przesyłkę. Żegnam pana!

– Do widzenia, doktorze – odpowiedział kuzyn i nagle coś w jego twarzy zmieniło się. Spod ciężkich, zaczerwienionych powiek spoglądał na doktora człowiek bystry i przebiegły. Moran dałby sobie rękę uciąć, że na jego ustach pojawił się okrutny grymas zadowolenia z dobrze wypełnionej misji.

Herring wyszedł, a doktor nieuważnym gestem uniósł zawiniątko. Węzeł rozluźnił się i wśród części ubrania, takich jak koszule czy pończochy, Moran zauważył ciemną butelkę i niewielki, starannie zrolowany notatnik.

Zdenerwowany lekarz wydobył te dwa przedmioty. Uważnie przyjrzał się butli. Była mniejsza i smuklejsza niż zwykłe butelki z alkoholem, ale Moran nie miał wątpliwości, co zawiera. Ten zdradliwy kuzyn przyniósł pacjentowi brandy!

Człowiekowi w takim stanie, balansującemu na granicy życia i śmierci, dostarczył alkohol! I w dodatku chciał go przemycić rękami lekarza!

Doktor Moran wprost zatrząsł się z oburzenia na samą myśl o tej niegodziwości.

„A może to laudanum?” – pomyślał i odkręcił butelkę.

Zdziwił się. Wewnątrz znajdowała się jakaś nalewka, ale z pewnością nie było to ani brandy, ani laudanum. Raczej coś ziołowego o dziwnym, piżmowym zapachu. Moran nalał nieco mikstury do kieliszka, a potem obejrzał w świetle lampy. Miała lekko bursztynowy kolor i była dosyć gęsta.

„Jakiś syrop?” – zastanawiał się, kosztując ostrożnie. Smak z niczym mu się nie kojarzył. Może to jakieś nieznanne lekarstwo na nerwy? Trudno powiedzieć, czym leczono tego biedaka z jego nałogu...

– Panie doktorze, doktorze Moran! – rozległo się naraz wołanie pani Porridge.

Lekarz szybko odstawił kieliszek z niedopitym napojem i schował butelkę do szafki.

– Co się stało? – zapytał wzburzoną kobietę, która właśnie wtargnęła do pokoiku.

– Ten pacjent, doktorze, ten z wieży... Coś dziwnego się z nim dzieje. Dusi się, piana mu idzie z ust, jak wściekłemu psu...

Lekarz odtrącił kobietę i pędem wybiegł na najwyższe piętro. Pacjent leżał już na łóżku spokojnie, zmęczony atakiem drgawek. Szpitalną koszulę miał przepoconą, a w kącikach ust spienioną ślinę. Oczy o dziwnie rozszerzonych źrenicach patrzyły jednak bystro i przytomnie.

– Światło... – powiedział z wysiłkiem, a doktor zrozumiał, że razi go mdły blask

ulicznej lampy wpadający przez okno. Aby ulżyć choremu, zaciągnął zasłony; w pokoju zapanował kompletny mrok.

– Pani Porridge! – krzyknął lekarz. – Proszę przynieść lampę z mojego pokoju i zmianę bielizny dla pana Poe...

– A więc wie pan, kim jestem? – zainteresował się pacjent.

Doktor skinął głową.

– Dwaj dżentelmeni, którzy tutaj pana przywieźli, wymienili pańskie nazwisko. Zresztą był tu chwilę temu pański kuzyn...

– Kuzyn?! – Chory gwałtownie podniósł się na łóżku, ale natychmiast, osłabiony, opadł na posłanie. – Jak wyglądał ten człowiek?

Moran wyjaśnił, że mężczyzna, który przedstawił się jako Henry Herring, nie wyróżniał się niczym szczególnym, może tylko tym, że był dosyć zaniedbany.

– Ale przyniósł panu trochę ubrań. – Lekarz docenił troskliwość Herringa, pomijając milczeniem butelkę dziwnego napoju i rulon notatek.

– Ubrań? – spytał z niedowierzaniem tamten, a doktor skinął głową. – Tylko ubrań?

Moran zdecydował się wyjawic tajemnicę butelki z syropem, przyznając jednocześnie, że podejrzewał, iż jest w niej alkohol – tak zgubny dla chorego w jego obecnym stanie.

– Alkohol... – z dezaprobatą powiedział pacjent, patrząc na lekarza podejrzliwie. – Czy pan uważa, że mój stan to efekt działania trunków?

Doktor potwierdził, że w istocie jest o tym przekonany. Drętwienie ciała, niewyraźna mowa, przywidzenia, a nawet przypominające epilepsję drgawki to wystarczające symptomy, by stwierdzić delirium.

– Oczywiście! – powiedział Poe ze zdenerwowaniem. – On chce, żeby pan tak myślał... Żeby wszyscy tak myśleli... Chce mnie skompromitować, ubezwłasnowolnić, ośmieszyć, a wreszcie wydrzeć mi moje utwory, moją sławę...

– Niech się pan uspokoi – mitygował lekarz, widząc, że wzburzony pacjent prawie całkiem opadł z sił.

Moran pochylił się nad chorym. Ten schwycił go kościstą dłonią za połą czarnego lekarskiego tużurka i przyciągnął do siebie. Lekarz poczuł oddech mężczyzny i jego rozgorączkowane słowa.

– On mnie chce zabić, doktorze!

– Niechże pan odpocznie trochę. – Moran odepchnął dłoń pacjenta i odsunął się od niego z wyraźną niechęcią. – Pański kuzyn chce pana zabić? W jaki sposób?

– Widzę, że mi pan nie wierzy... – powiedział ze smutkiem nieszczęśnik. – Mam jednak nadzieję, że nie pił pan tego syropu, bo sam znajdzie się pan w niebezpieczeństwie...

Moranowi zrobiło się nieprzyjemnie. Niby nie wierzył w ani jedno słowo pacjenta, ale z drugiej strony skosztował tego dziwnego napitku. Tak, to był błąd, lecz zrobił to z naukowej ciekawości. Z drugiej strony, nawet gdyby napój był zatruty, tak niewielka ilość, naparsteczek zaledwie, bo przecież prawie od razu nadeszła pani Porridge, nie mogła mu zaszkodzić... Zresztą nie odczuwa przecież żadnych skutków. Z tego, co czytał o truciznach, zazwyczaj działają one błyskawicznie. Oczywiście, zazwyczaj...

Moran wzdrygnął się, ale po chwili skarcił sam siebie. „Pacjent jest szalony, to rzecz pewna. To prawda, że ten dziwny kuzyn nie budził zaufania, ale niby z jakiego powodu miałyby go truć?”. Doktor widywał już deliryków z manią prześladowczą. Uważali, że każdy dybie na ich nędzne życie i usiłuje wydrzeć im jakąś wielką tajemnicę. Postanowił jednak wysłuchać pacjenta.

– Proszę się o mnie nie martwić. Nie piłem tego syropu – uspokoił chorego Moran. – Powąchałem go tylko.

– To dobrze, doktorze, to dobrze – zapewnił go żarliwie pacjent. – Ten napój jest na pewno zatruty. Już od dłuższego czasu ten człowiek, a właściwie demon, bo nie jest on człowiekiem, usiłuje mi szkodzić. Nastaje na moje życie, podrzuca mi trucizny w jedzeniu, zaprawia napoje... Zawsze w taki sposób, by wydawało się, że jestem szalony i niespełna rozumu...

„Tak jak myślałem, to wariat” – stwierdził lekarz i skinąwszy choremu głową, przysunął sobie krzesło do jego łóżka. Uspokojony tym pacjent podniósł się nieco na poduszkach i gestykulując od czasu do czasu, ciągnął swoją opowieść:

– Jego celem jest skompromitowanie mnie, sprawienie, by ludzi uznali mnie za niepoczytalnego alkoholika, godnego co najwyżej pogardy. Chce mnie doprowadzić do śmierci i upodlenia. Wybiera zatem takie trucizny, które działają podobnie do alkoholu i laudanum... Widoczne tu objawy, to efekt zatrucia *conium maculatum*, którego wywar dodał mi, jak sądzę, do wina w Filadelfii, parę dni temu...

Doktor Moran przyjrzał mu się uważnie. Dobrze znał roślinę, o której mówił Poe, była popularnym, choć bardzo niebezpiecznych chwastem o białych baldaszkowatych kwiatach. Popularnie nazywano ją szaleniem lub psią pietruszką; istotnie, jej pędy i korzenie były silnie trujące.

– Mówi pan, że pański kuzyn, ten Henry Herring, dodał panu szalenia do wina w Filadelfii? – zapytał w zdumieniu Moran, bo ta historyjka nie brzmiała dla niego prawdopodobnie.

Chory obruszył się, wyraźnie zdenerwowany.

– Mówiłem już panu, że to nie jest mój kuzyn! To znaczy człowiek, o którym mówię, nie jest moim kuzynem. Być może wyglądał jak on, ale z pewnością to nie jest Henry...

– Nic nie rozumiem. – Moran pokręcił głową. – Mówi pan tak niejasno...

Poe znowu poderwał się z poduszek i zbliżył wynędzniałą twarz o szalonych, rozpalonych oczach do twarzy lekarza.

– Proszę mnie posłuchać! Próbuję panu wytłumaczyć, że człowiek ten, którego ja znam jako Reynoldsa, prześladowa mnie od wielu, wielu lat. Od czasów uniwersyteckich... Niszczy mnie, podrzucając zdradliwe trucizny... Teraz już wszystko rozumiem, bo zasięgnąłem w Filadelfii opinii słynnego chemika, profesora Trochkilda. On mi wyjaśnił, że objawy, których doświadczam, są charakterystyczne dla powolnego zatrucia *conium maculatum*. Gdy opisałem profesorowi inne dolegliwości, dokuczające mi przez ostatnie lata, stwierdził, że mógł mnie podtruwać również cykutą i daturą. Stąd moje dziwne stany pobudzenia, omamy wzrokowe i słuchowe, dezorientacja i wreszcie straszne napady szału. Wszystko to miało na celu zszarganie mej reputacji i ustalenie powszechnego przekonania, że jestem nałogowym alkoholikiem i narkomanem, a wreszcie przywiedzenie mnie do

godnej pogardy śmierci...

Moran pokręcił z niedowierzaniem głową. To prawda, znał działanie opisanych przez Poego roślinnych trucizn. Doprowadzanie kogoś do stanu nieczytalności za pomocą ziołowych mikstur to plan iście szatański, ale przecież bardzo trudny do przeprowadzenia. No i wreszcie komu i po co chciałoby się tak trudzić? Sposobów wyprawienia kogoś na tamten świat jest wiele i to zdecydowanie prostszych niż ekstrahowanie wyciągów z trujących roślin. Dużo łatwiej jest pchnąć przeciwnika nożem czy strzelić doń z rewolweru. Destylowanie wymyślnych mikstur to naprawdę niepotrzebna strata czasu.

– Nie wierzy mi pan, doktorze? – zapytał z niepokojem chory, a Moran ponownie w zadumie pokręcił głową.

– To takie nieprawdopodobne, proszę mi wybaczyć... Trudno to zrozumieć, skąd taka zajadłość u owego Reynoldsa?

Pacjent ponownie opadł na poślanie. Dyszał ciężko, jego czoło znowu pokrył pot.

– To zły człowiek – powiedział wreszcie cichym, przerywanym głosem. – Demon. Nienawidzi mnie od dawna. Gdy zerwałem pakt, który nas łączył...

– Pakt? – zdziwił się lekarz. Chciał podać choremu trochę wody, ale ten odtrącił jego rękę ze wstrętem.

– Tak! To się zaczęło podczas moich niefortunnych studiów uniwersyteckich. Mój ojczym, pan Allan, był człowiekiem surowych zasad i ciężkim w obejściu. Nie rozumiał mnie i moich potrzeb, uważał, że człowiek winien sam sobie wszystko wypracować w wielkim trudzie. Ja też tak sądzę, ale żeby na coś zapracować, trzeba mieć solidne podstawy. A on wysłał mnie na Uniwersytet Stanu Wirginia ze stoma dolarami w kieszeni, podczas gdy na najpotrzebniejsze rzeczy, w tym zakwaterowanie, wyżywienie, wpis na zajęcia i umundurowanie, potrzebowałem pięć razy tyle. Zacząłem grać w kości i karty, początkowo fortunnie, potem z coraz mniejszym szczęściem. Wtedy też po raz pierwszy spotkałem tego szatana wcielonego, moją Nemezys, Reynoldsa. Pożyczał mi pieniądze i powoli uzależniał od siebie...

Chory znowu opadł z sił, chwilę leżał, oddychając ciężko, wpatrzony w ścianę. Jego usta bezgłośnie szeptały niesłyszalne słowa. Lekarz zwilżył jego spieczone wargi wodą. Po chwili ocknął się z letargu i zaczął mówić:

– Po moim odejściu z uczelni stosunki z ojczymem stały się więcej niż burzliwe. Doszło do tego, że napisał obraźliwy list, w którym nazwał mnie niewdzięcznym nikczemnikiem. Postanowiłem zerwać z nim na zawsze. W tym też czasie zacząłem myśleć o poezji, wydałem nawet własnym sumptem niewielki tomik wierszy, który niestety nie przyniósł mi rozgłosu. Pracowałem wówczas jako kancelista i miałem się różnych zajęć, by tylko utrzymać się na powierzchni. Nie miałem właściwie pomysłu, co ze sobą zrobić. Wpadłem na koncept kariery wojskowej. Na krótko zaciągnąłem się, by potem rozpocząć studia w West Point. Myślałem, że teraz wszystko się ułoży, zapracuję sobie na uczciwe, dostatnie życie. Ale nie, skądże, znowu go spotkałem...

– Reynoldsa? – zapytał lekarz, a chory skinął twierdząco głową.

– Teraz podszył się pod jednego z mych kolegów kadetów. Zaczął mi dowodzić, że wojsko to nie miejsce dla mnie i że powinienem pisać. Zadeklarował się nawet, że

zbiere wśród kolegów pieniądze na wydanie mojej kolejnej poetyckiej książki. Napisałem kilka wesołych i frywolnych wierszyków, które spotkały się z uznaniem moich kompanów. Reynolds jednakże namówił mnie, by w projektowanym zbiorze nie dawać żadnego z tych humorystycznych utworów. Jakież więc było zdziwienie braci kadeckiej, gdy okazało się, że zasubskrybowali tom ponurych liryk o smutku i przemijaniu.

– Sądzę, że nie byli zadowoleni – potwierdził lekarz, doskonale rozumiejący, jakim typem wrażliwości dysponują młodzi wojskowi.

– Tak. Wkrótce zresztą opuściłem wojsko, podżegany przez mojego demona. Nie mogłem wytrzymać dyscypliny i powtarzalności koszarowego życia, które wydawało mi się nudne, głupie i jałowe. Reynolds odszedł ze szkoły razem ze mną. Pojechaliśmy do Nowego Jorku i tam człowiek ów obiecał mi, że uczyni ze mnie największego pisarza Ameryki, jeśli tylko będę go słuchał i pisał według jego wskazówek. Powiedział mi, że zna historie i opowieści tak straszne i barwne, że nikt się im nie oprze. Wszyscy będą czytać jak zaczarowani i pragnąć kolejnych historii. „Będiesz tylko spisywał to, co ci opowiem – powiedział do mnie. – Potrafisz ubrać w fascynujące słowa wszystkie moje niezwykle baśnie”.

Nie podobało mi się to, nie chciałem tworzyć z nikim na spółkę. Wtedy po raz pierwszy użył przeciwko mnie swej demonicznej siły; być może już wówczas zadał mi któreś ze swoich trucizn. Zapadłem na dziwną chorobę – byłem pobudzony, podekscytowany do granic neurozy, dostałem też dziwnej infekcji ucha, która prawie pozbawiła mnie słuchu. Napisałem więc opowiadanie *Rękopis znaleziony w butli* wedle jego podpowiedzi i odniosłem błyskawiczny sukces. Znienawidziłem jednak Reynoldsa – mojego wroga i prześladowcę. Gdy słuchałem jego sugestii i realizowałem jego pomysły, wszystko układało się pomyślnie, dla niego i dla mnie. Gdy jednak próbowałem się buntować...

Chory zamilkł i chwilę leżał w ciszy, oddychając płytko i chrapliwie. Doktor Moran także nie odzywał się, patrząc na niego ze współczuciem. „Biedny człowiek!” – pomyślał, a wtedy pacjent ponownie przemówił:

– Gdy się buntowałem, karał mnie. Pojawiał się w moim życiu nieoczekiwanie, pod różnymi postaciami i osobami, wiele robił, żeby mnie omamić i zmylić. Zawsze jednak w końcu pokazywał swe prawdziwe oblicze. Karał mnie za nieposłuszeństwo. Zdarzały mi się nerwowe załamania i stany wielkiej desperacji. To on je powodował swymi machinacjami i umiejętnie podsuwanymi truciznami. Trwało to długi czas, aż wreszcie wpadłem na pewien pomysł... Zrozumiałem, że mogę go przechytryć i pokonać jego własną bronią.

– W jaki sposób? – nie rozumiał doktor Moran. – Przecież mówił pan, że ten człowiek był praktycznie nieuchwytny, pokazywał się wciąż w nowych postaciach.

Chory skinął głową i znowu zapatrzył się na ścianę, po której przesuwały się zwiewne cienie; doktor Moran był prawie pewien, że słyszy na korytarzu coraz głośniejsze szepty i śmiechy. Odwrócił się nawet w kierunku drzwi, ale nie dostrzegł, by ktokolwiek się zbliżał. Nawet pani Porridge nie patrolowała swoim zwyczajem korytarza, bo nie słyszał jej charakterystycznych ciężkich kroków i człapania zniszczonego obuwia. „Co się tutaj dzieje?” – przemknęło mu przez myśl. Szpital wydawał się zupełnie obcym i nierzeczywistym miejscem, otchłanią pełną

niesamowitych dźwięków i obrazów.

– Panie doktorze? – usłyszał głos chorego, który wyrwał go z tej dziwnej zadumy.

– Tak, panie Poe, słucham pana – odparł Moran już zupełnie przytomnym głosem.

– Mówił pan, że znalazł pan sposób na machinacje Reynoldsa i przechytrzył go...

– Tak mi się wówczas zdawało – wyjaśnił pacjent. – Postanowiłem napisać opowiadanie, w którym go zdemaskuję, bo przejrzałem jego okrutną grę. Chciał przejąć mój talent, zawładnąć nim i wykorzystywać do swoich celów, budzić we mnie i w czytelnikach strach i szaleństwo.

Napisałem to opowiadanie i wydrukowałem je. Traktuje o człowieku, który pojawił się w małym holenderskim miasteczku i zburzył jego spokój. Człowiek ten okazał się diabłem.

– I co na to Reynolds? – zapytał drżącym głosem doktor.

– Zaczął mnie prześladować i mścić się na mnie i moich bliskich. W krótkim czasie rozchorowała się i zmarła moja biedna żona, cudowna kobieta, której straty nigdy nie przeboleję. Ja sam popadałem w coraz większe nieszczęście, a on wciąż mnie ścigał i dręczył. Starłem się z nim walczyć, próbując demaskować go w coraz to nowych moich tekstach. Wszystko na nic. Nikt nie usłyszał mego głosu, a on postanowił mnie unicestwić. Pojawiał się w chwilach mej słabości i podsuwał mi trucizny, bym wydawał się ludziom pijanym szaleńcem, z którego słowami nie warto się liczyć. Ostatni raz spotkałem go w gospodzie w Filadelfii. Niewiele pamiętam z pobytu w tym mieście, bo postanowiłem zabić Reynoldsa.

– Na miły Bóg! – powiedział lekarz z przerażeniem. – Udało się to panu?!

Chory patrzył na niego udręczonym wzrokiem. Pokręcił przecząco głową, a w kącikach jego oczu pojawiły się łzy.

– Kiedy tam przybyłem, głównie po to, by zasięgnąć opinii profesora Trochkilda i potwierdzić dręczące mnie od pewnego czasu podejrzenia, okradziono mnie. Zaginęła walizka, której szukałem przez kilka kolejnych dni. W końcu ją odnalazłem, ale nie było w niej najważniejszego – rękopisu opowiadania, którym chciałem zadać ostateczny cios Reynoldsovi. Wiem, do tej pory nikt mi nie ufał, nie rozumiał mego cierpienia i udręki, ale teraz miało się to zmienić. Postanowiłem opisać wszystko, całą tę misterną intrygę diabelskiego wysłannika, ujawnić go jako truciciela, a potem zabić. Opowiadanie zestawione ze śmiercią tej kreatury wyjaśniłoby światu całą zagadkę. Nieprzypadkowo umieściłem akcję w rajskim ogrodzie, gdzie wszystko wydaje się idealne, ale pod tym pozorem kryje się przerażająca prawda o trucicielu, wykorzystującym piękne kwiaty do zadawania śmierci. To miał być ostatni sztych, wykończenie mojej zemsty. Niestety...

– Co się stało? – zapytał Moran, ponownie zwilżając usta wycięczonego pacjenta wodą.

– Nie rozpoznałem Reynoldsa w gospodzie. Jak zwykle udało mu się pomieszać mi szyki, próbowałem zabić zupełnie innego człowieka, na szczęście mi się to nie udało. Uciekłem stamtąd, ścigany przez szaleństwo... A on, prawdziwy Reynolds, wyszydził mnie i upokorzył... Wiem, że dodał mi trucizny do wina w tawernie i doprowadził do tego stanu. Czuję się coraz gorzej, jestem pewny, że mój koniec nadchodzi, widzę go w tych przerażających cieniach na ścianie, słyszę go w szeptach na korytarzu... Boże, Boże, dopomóż mojej biednej duszy!

Chory zaczął bełkotać, rzucać się na nędznym posłaniu jak w malignie, półprzytomny. Doktor przyglądał mu się przez chwilę, a później sięgnął do pojemnika po strzykawkę i igłę.

– Belladonna – wyjaśnił, choć pacjent nie mógł go słyszeć. – Inaczej pokrzyk wilcza jagoda. Dawka jest tak dobrana, że nie poczujesz, drogi przyjacielu, żadnych przykrych skutków takich jak szal czy pobudzenie. Od razu zapadniesz w śpiączkę, a potem stracisz przytomność i umrzesz. Cóż, będzie to śmierć w niesławie, bo wszyscy dowiedzą się, że cierpiełeś na zapalenie mózgu spowodowane alkoholizmem... Dobrze, że planów nie pokrzyżował mi ten twój pożałowania godny kuzyn, Henry Herring, i przyniesiona przez niego odtrutka z taniny. Jak widać, profesor Trochkind nie ustawał w swych badaniach i postanowił cię ratować. Zaufanie mu i przekazanie cennego rękopisu było jednak błędem; tyle trudu sobie zadałeś, żeby go odszukać, gdy skradłem ci walizkę. Profesor za wcześniej uwierzył, że uda ci się mnie zabić, i wysłał odtrutkę wraz ze zdeponowanym u niego opowiadaniem... A biedny Herring przyniósł wszystko do szpitala, gdy tylko dowiedział się, że tu jesteś. Taki był wasz plan... Ale mój – przyznasz to, przyjacielu – był lepszy, prawda?

Człowiek, którego Edgar Allan Poe nazywał Reynoldsem, wyciągnął zza pazuchy zrolowany notatnik i zatopił się w lekturze. Po chwili na jego twarzy pojawił się okrutny i złośliwy uśmiech.

– Co za wspaniały tytuł: *Artysta pejzażu!* Pozwolisz, przyjacielu, że trochę przerobię to opowiadanie? Usunę z niego te wszystkie nieprzyjemne historie o truciznach, a zostawię same bajeczne opisy przyrody... Cudownie nieudane i przegadane opowiadanie, które krytycy zaliczą do twoich najbardziej chybionych dzieł, niewartych poważniejszego zainteresowania...

Chwilę patrzył na konającego mężczyznę i odchodząc, położył jeszcze dłoń o długich lśniących paznokciach na jego czole. Chory wzdrygnął się, jakby przeszył go mroźny dreszcz.

– Nie bój się, przyjacielu – z czułością wyszeptał Reynolds. – Nie pozwolę zapomnieć o tobie ani o naszych wspólnych dziełach... A teraz czas wołać prawdziwego doktora Morana, którego zamknąłem w jego nędznym gabinecie... Pacjenci udający lekarzy... Jak w *Systemie doktora Smoły i doktora Pierza*, w którym tak ładnie przedstawiłeś pewną moją historyjkę. Cóż, gdybyś tylko mógł, przyznałbyś mi rację, że niezwykle trafnie wymyśliłem całe twoje życie i opisałem je w twych opowiadaniach.

Zaśmiał się straszliwym chichotem przypominającym uderzenia kropli deszczu o blachę.

Na schodach rozległy się kroki. Najwyraźniej pani Porrigde odnalazła już doktora Morana.

„Jeszcze zdąży odprowadzić swego pacjenta na miejsce wiecznego spoczynku” – pomyślał Reynolds, znikając za drzwiami. W ręku wciąż ścisnął skradziony rękopis.



# Marcin Rusnak

## NIEZWYKŁE ŚLEDZTWO DOKTORA JUNGA

*Rok 1906.*

*Teatr im. Wilhelminy Planer, Monachium*

Chyba jako jeden z pierwszych zrozumiałem, że coś poszło nie tak. Poderwałem się z miejsca, zanim jeszcze opadła ciężka kurtyna, zanim pierwsze głosy odważyły się przełamać pełną napięcia ciszę.

– O mój Boże – szepnęła jakaś kobieta. – O Boże...

Pospieszyłem nawą w kierunku sceny. Zza grubej, pluszowej zasłony dobiegł głuchy huk czegoś tłukącego we wzmacniane szkło. Pierwszy, drugi, trzeci. Przezroczysta ścianka jak na złość musiała trzymać mocno; szkło kruszyło się, pokrywało pęknięciami, ale wciąż trzymało. Zegar w mojej głowie odmierzał drogocenne sekundy. Ile już minęło? Minuta dwadzieścia? Minuta trzydzieści? Kto tyle wytrzyma pod wodą?

Za długo.

Dopadłem schodków w tej samej chwili, w której zbiornik poddał się z ogłuszającym brzękiem, a woda chlusnęła na scenę, wyciekając pod kurtyną. Tłum ryknął z przejęciem, na scenie ktoś krzyczał, jakiś głos powtarzał: „Aneta! Aneta, mów do mnie!” niczym część litanii, jak indyjską mantrę.

Nożownik, który występował godzinę wcześniej, zastąpił mi drogę.

– Jestem lekarzem – warknąłem.

Obejrzał mnie krytycznie, jakby w poszukiwaniu czarnej skórzanej torby, ale ustąpił.

Trafiłem za kurtynę w dwie minuty po tym, jak Aneta Silberberg, największa gwiazda Magicznego Teatru Olivera von Griena, rozpoczęła swoją słynną sztuczkę z ucieczką ze zbiornika z wodą.

Sztuczkę, która tym razem nie miała skończyć się gromkimi brawami.

Dwie minuty. Za długo.

Jednak gdy stanąłem na scenie, kobieta leżała w kałuży wody, obejmowana przez samego szefa trupy, Olivera von Griena.

Krztusiła się, prychała i rzeziła, ale żyła.

Wszędzie leżały kawałki szkła z rozbitego cylindra, woda powoli uciekała przez szpary w scenie. Wokół niedoszłej ofiary zebrał się cały zespół.

– Carl! – Moja kuzynka Elfi zauważyła mnie pierwsza i natychmiast rzuciła mi się na szyję. Była w trupie asystentką nożownika i to za jej sprawą trafiłem na monachijski występ Magicznego Teatru. – Boże, Carl, dobrze, że tu jesteś.

Pociągnęła mnie zaraz do przemoczonej iluzjonistki. Kobieta coraz pewniej łapała oddech, ale trzęsa się jak osika, dłonie zaciskała kurczowo na ramieniu von Griena, jakby trzymała się ostatniej deski na wzburzonym morzu. Bez przerwy

płakała i nie reagowała na pytania.

Szok.

– Jestem lekarzem – powiedziałem. – Zajmę się nią.

Von Grien przytaknął, zdaje się, dość ochoczo. Najpewniej nie miał pojęcia, co począć z rozhisteryzowaną niedoszlą topielicą.

– Przynieście koce, byle szybko! Zaparzcie też herbaty. Elfi, podaj lampę.

Zrobiłem, co mogłem, żeby się uspokoiła. Sprawdziłem reakcje źrenic, zmusiłem kobietę, by podała mi swoje imię i policzyła do pięciu. Reagowała z opóźnieniem, ale uznałem to za efekt wstrząsu. Po kilku minutach byłem już w stanie stwierdzić, że nic poważnego raczej jej nie dolega.

– Miała mnóstwo szczęścia – oceniłem, obracając się ku trupie zebranej w nieregularnym półkolu. Oprócz mojej rudowłosej kuzynki, nożownika o skandynawskiej urodzie oraz von Griena pojawił się ostatni członek zespołu – karzeł, którego występ poprzedzał sztukę ze zbiornikiem.

– Wyjątkowo dużo – syknęła Elfi, patrząc na kierownika trupy, jakby ten był wszystkiemu winien. W życiu nie widziałem jej tak wściekłej, a swego czasu spłatałem jej kilka autentycznie paskudnych figli. – To nie może dłużej trwać, Oliverze.

– Elfi, doprawdy... – zaczął nożownik, ale zamknęła mu usta samym spojrzeniem. Nagle przypomniałem sobie, że nazywał się Mikkael. Pisała o nim w listach, czasami w taki sposób, że z trudem panowałem nad rumieńcami zażenowania.

– Do tej pory to było tylko gadanie – powiedziała dziewczyna. – Ale dzisiaj Aneta omal nie zginęła. To nie są żarty.

– Nie będziemy o tym rozmawiać przy obcym – uciął von Grien.

– Właśnie że będziemy! Ten obcy to mój kuzyn i szanowany w całej Republice Szwajcarii lekarz psychiatra, doktor Carl Jung.

To zrobiło na nich wrażenie. Umilkli, zaczęli mnie oceniać znacznie uważniej niż wcześniej. Najwyraźniej wypadłem z szufladki z napisem „lekarz” i zastanawiali się, jaką nową etykietką mnie opatrzyć.

– Nie jesteśmy w Szwajcarii, a jej problem chyba nie dotyczy głowy – zauważył karzeł, głosem nieproporcjonalnie basowym jak na osobę tak drobnej budowy. Uśmiechnął się i to wystarczyło, żebym poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz. Jak, do diabła, można się uśmiechać w takiej sytuacji?!

– Panie Jung, doceniam pańskie... – znowu włączył się von Grien.

– On tutaj zostanie – powiedziała z naciskiem Elfi. Rozbawiłoby mnie to ubezwłasnowolnienie, gdyby nie fakt, że pod pozorami spokoju wyczułem w jej głosie tembr przerażenia.

– Elfi...

– Dość – zawyrokowała. – Albo on tutaj zostaje, albo idę po policję.

Atmosfera natychmiast zgęstniała. Nikt nie powiedział ani słowa, ale czuło się, że wizyta monachijskich stróżów prawa nikomu nie jest na rękę. Wszystko to coraz bardziej mnie intrygowało, ale przyznam, że czułem się też nielicho zagubiony. Co takiego znowuż się stało? Iluzjonistka omal nie przepłaciła sztuczki życiem? Cóż, zdarza się.

– Elfi – zacząłem raz jeszcze. – Wybacz, ale niewiele z tego rozumiem. Pannie

Silberberg, zdaje się, nic nie będzie. W czym rzecz?

Kobieta popatrzyła po zebranych, jakby czekając, aż któryś z nich zabierze głos. Gdy wciąż panowała cisza, prychnęła cicho i powiedziała:

– Rzecz w tym, drogi kuzynie, że to nie był wypadek. Ktoś chciał ją zabić. A skoro wszyscy pilnowaliśmy, żeby nikt obcy nie majstrował przy rekwizytach...

Milczeliśmy. Nie znałem ich. Nie chciałem ferować wyroków. Ponure twarze nie skłaniały zresztą do artykułowania myśli, których można by później żałować.

– Jesteś pewna, że...

– Tak – odparła Elfi. – To któreś z nas chciało ją zabić.

\* \* \*

Pokój przesłuchań zorganizowaliśmy w miejscu, które członkowie trupy nazywali „zapleczem”. Było to zagracone, ciemne pomieszczenie znajdujące się pod sceną, pełne hydraulicznych podnośników, sprężynowych mechanizmów sterujących zapadniami, przesycone zapachem kurzu, terpentyny i smaru. W jednym kącie stały nieduże organki parowe pokryte kobiercem pajęczyn; w innym piętrzyły się jedna na drugiej zapomniane kukły. Długi żelazny wieszak ugiął się pod ciężarem ubrań, których pierwotni właściciele dawno obrócili się w proch.

Na koślawym stoliku postawiłem lampę naftową, podkręciłem knot, żeby dał więcej światła.

Na pierwszą rozmowę poprosiłem von Griena. Bez kolorowych świateł, bez masywnego dźwięku organów parowych podkreślającego każdy ruch – nie przypominał już półboga, którym jawił się na scenie. Tutaj był po prostu szalenie przystojnym mężczyzną tuż przed czterdziestką, atrakcyjnym szatynem w nieprzyzwoicie drogim fraku. Przemoczone rękawy kleiły mu się do ramion.

– To idiotyzm – ocenił, siadając naprzeciw mnie.

– Owszem – przyznałem mu rację. – Proszę pamiętać, że to nie był mój pomysł.

Von Grien uśmiechnął się łagodnie. Każdy jego gest miał swój specyficzny urok. W mężczyźnie było coś z dżentelmena, ulicznika, donżuana oraz maga... jakiś wyjątkowy czar, magnetyzm, które nie pozwalały przejść obok niego obojętnie.

Nic dziwnego, że występy jego i jego trupy przyciągały tłumy.

– Proszę mi najpierw opowiedzieć o samej sztuczce. Czemu Elfi twierdzi, że to nie był wypadek?

Von Grien z początku wymawiał się koniecznością dochowania tajemnicy. Zmienił zdanie, gdy obiecałem, że zabiorę jego sekret do grobu.

– Dobra sztuczka magiczna polega na wytworzeniu u publiki wrażenia, że obcuje z niemożliwym – wyjaśnił. – W tym przypadku Aneta trafia do dwumetrowego szklanego cylindra pełnego wody. Nogi i ręce ma skute kajdanami, które wcześniej zakładają jej wywołani z widowni ochotnicy. Ochotnicy, panie Jung, nie podstawieni asystenci, jak u niektórych naszych kolegów po fachu. Kiedy Aneta ląduje w zbiorniku, automat sprężynowy zamyka wieko cylindra, kłódka sama wskakuje na skobel. Nieduża zasłona zakrywa zbiornik przed wzrokiem widowni. Światła i muzyka oszukują zmysły, większości publiki wydaje się, że mija nie więcej niż trzydzieści sekund. W rzeczywistości Aneta ma dokładnie minutę, żeby wyciągnąć

schowaną we włosach spinkę i otworzyć kajdany. Później musi uchylić przesłone ukrytą w wieku zbiornika, przełożyć przez nią dłoń ze spinką i poradzić sobie z kłódką. Wreszcie otwiera wieko, wydostaje się na zewnątrz i staje obok cylindra w chwili, gdy muzyka przestaje grać i zasłona odjeżdża na bok.

– Sześćdziesiąt sekund to chyba bardzo mało czasu.

– Aneta codziennie ćwiczy otwieranie zamków. Potrzebuje średnio trzynastu sekund, żeby pozbyć się kajdanek, oraz kolejnych dziewięciu na kłódkę.

– Cóż za precyzja.

– W tej robocie, panie Jung, brak precyzji oznacza śmierć.

– Co w takim razie poszło źle?

– To. – Obrócił w palcach nieduży metalowy trzpień. – Ktoś wcisnął to w szczelinę obok przesłony w wieku i ją unieruchomił. Aneta nie mogła przełożyć przez nią dłoni i otworzyć kłódki.

– Kto mógł to zrobić?

– Cóż... Każdy, jeśli mam być szczery. Aneta na pewno sprawdzała swoje rekwizyty przed występem, ale później każde z nas mogło z łatwością wsadzić to – wskazał na trzpień – w niewłaściwe miejsce. Elfi, Smalik, Mikkael, ja.

– Wspominał pan o ochotnikach z widowni.

– Podejrzewa pan, że to mogła być ich sprawka? Nic z tego. Osobiście śledzę każdy ich ruch. Nawet nie spojrzeli na wieko zbiornika, nie wspominając o zbliżaniu się do niego.

Skinąłem głową. Nie dziwiłem im się. Smukła blondynka w obcisłym trykocie, z kajdanami na rękach i nogach, jej pełne, czerwone ustach drżące w teatralnej manifestacji przerażenia... Nie, na pewno nawet nie spojrzeli na zbiornik.

– Pracownicy teatru?

– Bileterzy i woźni. Nikt z nich nie miał szans dostać się na scenę ani w jej okolicy. Smalik i Mikkael o to zadbali.

– Czyli zostaje wasza czwórka.

– Skoro tak pan stawia sprawę... tak. Ale, panie Jung, ja ufam moim artystom. To dziwni ludzie, prawda. Ale jestem przekonany, że żadne z nich nie życzyło Anecie śmierci.

Zamilkliśmy. Von Grien czekał, a ja obracałem w dłoniach kapelusz.

– Pan Smalik – zacząłem, przypominając sobie występ karła – wydaje się mieć... ciekawe zainteresowania.

– Pan Smalik lubi zadawać sobie ból – powiedział von Grien. – Dziwna pasja, przyznaję, ale nie czyni go od razu mordercą. W każdym razie nie bardziej niż pozostałych, panie Jung. Jeśli już szuka pan motywu, zdradzę, że Mikkael i Aneta często się kłócili, a Elfi była o nią zazdrosna. Co czyni z nas wszystkich podejrzanych.

– Zazdrosna? Z powodu urody?

Von Grien zaśmiał się cierpko.

– Urody, młodości, popularności. Aneta ucieka ze zbiorników z wodą, panie Jung. To jest coś. Od Elfi wymaga się tylko, żeby nie krzyczała, gdy Mikkael bierze zamach.

– Proszę mi opowiedzieć o pannie Silberberg – zmieniłem temat.

Mówił, choć niechętnie, jakby odkrywanie cudzych kart sprawiało mu fizyczny ból. Wspomniał o jej dzieciństwie wśród niewielkiej społeczności włoskich Żydów w

Mantui, o tym jak w wieku trzynastu lat stała się sierotą, gdy jej rodzice stanęli twarzą w twarz z epidemią cholery i bynajmniej nie wyszli z tej próby zwycięsko. Krótco opisał jej włóczęgę, lata życia na granicy ubóstwa i wreszcie odmianę fortuny, gdy trafiła do cyrku Mattiasa Kolberga.

– Stary Kolberg mówił, że zawsze będzie ją taką pamiętał – powiedział von Grien.  
– Chudą czternastolatkę z twarzą czarną od brudu, słabą jak najmniejszy szczeniak w miocie. Przyszła do niego, niemal błagając o pracę, a na ramieniu miała torbę wypchaną żydowskimi książkami jej rodziców. Pewnie nawet nie przeszło jej przez myśl, że mogłaby je sprzedać i kupić sobie coś do jedzenia. – Mężczyzna pokręcił głową z niedowierzaniem i uśmiechnął się raz jeszcze. – Cóż, Kolbergowi wystarczyły trzy lata, żeby zrobić z niej gwiazdę. Niedługo później zmarł.

Ostatnią część historii von Grien przedstawił skrótowo. Do Magicznego Teatru dołączyła rok temu i z miejsca stała się jego główną atrakcją. Młoda, piękna, niebywale utalentowana, a do tego z niewidzialnym, ale podskórnie wyczuwalnym piętnem tragicznej przeszłości...

Aneta Silberberg była skazana na sukces.

\* \* \*

Po rozmowie z von Grienem przyszła pora na Mikkaela i Elfi. Nożownik pozbył się fraka, w którym występował, i mogłem przyjrzeć się skomplikowanemu systemowi przekładni, zębatek i sprężyn. Mechanizm oplatał jego korpus i sięgał aż po szerokie bransolety na przedramionach, gdzie w specjalnych łożyskach tkwiły noże do rzucania.

Mikkael Evertsen nie był pierwszym techno-cyrkowcem, którego występ widziałem, ale żadnego wcześniej nie miałem na wyciągnięcie ręki. Jednak z bliska wyglądał jak przeciętny Skandynaw – wysoki jak dąb, blady blondyn o pocziwej twarzy wikinga wciśniętego w karby cywilizacji.

Usiedli obok siebie, zbyt blisko jak na zwyczajnych współpracowników. Moment później Mikkael wziął Elfi za rękę.

– Wcześniej powiedziałaś von Grienowi, że do tej pory to było tylko gadanie – przypomniałem kuzynce. – Co miałaś na myśli?

– Podejrzewam, że Oliver nie mówił o listach?

– Ani słowa.

Elfi pokiwała głową, jakby dokładnie tego się spodziewała.

– Aneta od jakiegoś czasu dostawała listy – wyjaśniła. – Krótkie anonimy z pogrózkami. Zazwyczaj ograniczały się do jednego lub dwóch zdań.

– Czy to były ostrzeżenia?

– Nie wydaje mi się. Brzmiały raczej, jakby ktoś oskarżał ją o coś, co zrobiła. Były bardzo ogólne.

– Mógłbym zobaczyć jeden z nich?

– Zaraz przyniosę – zaoferował się Mikkael.

Milczeliśmy, póki nie zniknął na schodach.

– Wygląda na porządnego człowieka – zauważyłem, wskazując za nim.

– Jest porządnym człowiekiem – zgodziła się.

– Poza tym, że zarabia na życie, rzucając w ciebie nożami.

– Póki mu płacą za to, że nie trafia, nie mam nic przeciwko.

Parsknąłem śmiechem, a Elfi też nieco się rozpogodziła. Lubiłem tę moją zwariowaną kuzynkę, niech cała reszta rodziny mówi sobie, co chce.

– Cieszę się, że cię widzę, kuzynko. Szkoda, że w takich okolicznościach.

Zmarkotniała natychmiast. Na schodach rozległy się kroki.

– On tego nie zrobił – syknęła do mnie. – Jeśli mi ufasz, kuzynie, zaufaj także jemu.

W tym momencie Mikkael wrócił ze starannie złożonym na czworo liścikiem.

– To ostatni, pojawił się przedwczoraj – oznajmił.

Papier był tani, szary, nieprzyjemny w dotyku. Słowa skreślono czarnym atramentem, sądząc po kształcie liter, dość pospiesznie.

*Śmierć wzywa przed swoje oblicze, προδότης.*

Niżej widniała samotna litera A oraz trójkąt równoboczny z szóstką wpisaną w każdy z wewnętrznych kątów.

– Każdy z tych listów był tak podpisany? – zapytałem.

– Tak. Zawsze litera A i ta piramida. Masz jakieś pojęcie, co to oznacza, kuzynie?

Skinąłem głową.

– To uproszczony symbol lucyferian. Potrójna szóstka jest powszechnie kojarzona z Szatanem, piramida natomiast stanowi odniesienie do *novus ordo seclorum*, nowego porządku wieków, który ma nadejść z narodzinami Antychrysta.

Popatrzyli na siebie, nagle jakby spłoszeni.

– Lucyferianie? Jesteś pewien? – spytała Elfi.

– Najzupełniej. Co się stało?

– To... to może sporo wyjaśniać – oznajmił niepewnie Mikkael. – Co prawda to nic pewnego, ale swego czasu krążyły plotki o tym, jakoby Oliver w młodości należał do lucyferian.

– Plotki czy nie, o ile to możliwe, unika policji – dodała Elfi.

– To interesujące – zauważyłem. – Ale nie wyjaśnia obecności litery A.

Kolejne porozumiewawcze spojrzenie.

– Drugie imię Olivera to Albert – wyjawiała moja kuzynka.

No proszę. Jak starannie dopasowana układanka.

– Kiedy zaczęły pojawiać się te listy?

– Mniej więcej trzy tygodnie temu – odparli po namyśle. – Po naszym występie w Norymberdze.

– Ale Aneta już wcześniej zachowywała się dziwnie – zauważył Mikkael.

– Dziwnie? Co to znaczy?

– Była rozkojarzona, przygaszona... W jednej chwili tryskała entuzjazmem, w innej pogrążała się w myślach. Wcześniej była inna. Bardziej... zrównoważona.

– Owszem – zgodziła się Elfi. – Ale to pewnie wina Bayreuth. W takich okolicznościach to zrozumiałe.

– Bayreuth? – spytałem.

– Parę dni przed Norymbergą odwołaliśmy występ w Bayreuth. Tamtejsza ludność dopiero co dokonała... samosądu... właściwie małego pogromu. Głośna

sprawa w tym rejonie. Podpalono kilka domów, zginęła jakaś żydowska rodzina... Aneta bardzo to przeżyła.

– Często widywała się z innymi Żydami?

– Czy ja wiem... – Elfi, zaskoczona pytaniem, popatrzyła na Mikkaela. Nożownik wzruszył ramionami. – Nie, chyba nie. Nie wydaje mi się, żeby jakoś szczególnie ją do nich ciągnęło.

– Unikała ich?

– Może trochę... Trudno mi ocenić. Wcześniej nie myślałam o tym w ten sposób. Pokiwałem głową.

– Ostatnie pytanie. Czy panna Silberberg miała jakichś wrogów? Ktoś jej źle życzył?

Namyślali się długo i jeszcze zanim odpowiedź padła, wiedziałem, jak będzie brzmiała.

– Nie. Nikt.

Chodzący ideał, można by pomyśleć. Tylko, że ktoś chciał ten ideał zabić.

\* \* \*

Publiczność Magicznego Teatru Olivera von Griena dzieliła się na trzy rodzaje ludzi. Jedni przychodzili tu w poszukiwaniu dreszczyku, którego dostarczał widok zabójczych ostrzy mknących w stronę Elfi przywiązanej do obrotowej tarczy albo skrępowanej Anety Silberberg tonącej w szklanym cylindrze. Inni, żeby nacieszyć oczy: czy to zwinną niczym kobra sylwetką nożownika, czy krągłościami iluzjonistki opiętymi w cienki, miejscami ażurowy trykot.

Była też trzecia grupa. Ludzie, którzy w innych okolicznościach mogliby stać się moimi pacjentami.

Ci, którzy przychodzili dla karła Smalika.

Smalik był artystą na swój pokraczny sposób. Artystą niekonwencjonalnym. Jego sztuka polegała na widowiskowym samookaleczeniu – przypalaniu skóry, przebijaniu ciała gwoździami, poddawaniu się wstrząsom elektrycznym, połykaniu rozżarzonych węgli. Nie było w tym żadnej magii, żadnej mistyfikacji i udawania. Tylko ból w najczystszej postaci.

Karzeł stanął przede mną tak blisko, że mogłem dokładnie obejrzeć sobie miedziane płytki wszyte w jego skórę w miejscach przeżartych przez kwas. Mogłem podziwiać różowawe, trochę jakby galaretowate plamy śladów po oparzeniach i białe blizny po ranach ciętych, kłutych i szarpanych. Ale wcale nie patrzyłem na metalowe wstawki, oparzenia i szramy.

Patrzyłem na główkę gwoździa, który tego wieczora Smalik wcisnął sobie w czoło.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Pan się nie martwi, doktorze – uspokoił mnie karzeł. – Mój lekarz mówił, że w moim przypadku to zupełnie bezpieczne.

W życiu się tak nie cieszyłem, że szaleństwo nie jest zaraźliwe.

– Niech mi pan odpowie tylko na jedno pytanie, panie Smalik. Ma pan jakieś podejrzenia, kto mógł życzyć śmierci panie Silberberg?

– Mam. Ale się te podejrzenia panu doktorowi nie spodobają.

– A czemuż to?

– Bo myślę, że to Elfi chciała ją załatwić.

– Elfi? Skąd ten pomysł?

– Widzi pan doktor, Elfi i Mikkael są jakby parą. – Skinąłem głową. – A ja widziałem jednego dnia, po występie, jak Mikkael i Aneta ten... no... no wie pan, doktorze...

Spojrzał na mnie trochę bezradnie, trochę wstydliwie. Nie sądziłem, że kiedyś spotkam kogoś, kto czuje się komfortowo, wsadzając sobie trzycalową szpilę w głowę, a czerwienieje na myśl o seksie.

– Kochali się? – podpowiedziałem. – Pan Evertsen i panna Silberberg? Jest pan pewien?

– No, pewien nie jestem. Było ciemno, a ja się nie kwapiłem, żeby im pod derkę zaglądać. Ale widziałem Anetę, no a u Olivera paliło się światło, znaczy się był u siebie. Wypada więc na Mikkaela.

Zastanowiłem się nad tym.

– Sugeruje pan, że Elfi ich nakryła i teraz się mści?

– Z ust mi to pan doktor wyjął.

– Kiedy to miało miejsce? Czy przypadkiem nie po występie w Norymberdze?

Smalik wybałuszył na mnie oczy.

– Skąd pan doktor...

– To mi wystarczy, panie Smalik. – Uśmiechnąłem się tajemniczo. – Czy byłby pan tak łaskaw i poprosił do mnie raz jeszcze pana von Griena? Ach! – Zatrzymałem go, gdy już się zbierał do opuszczenia piwnicy. – Jeszcze jedno. Gdyby się pan kiedyś zdecydował na leczenie... gdyby chciał się pan przekonać, że bez bólu da się całkiem przyjemnie żyć...

Podąłem mu wizytówkę. Uśmiechnął się, spojrzał na karteczkę, po czym nagle zmarszczył brwi.

– To nie jest pańskie nazwisko – zauważył.

– Nie – przyznałem. – Mój kolega to prawdziwy fachowiec, w dodatku mieszkaniec Cesarstwa. Z pewnością chętnie panu pomoże.

Postanowiłem nie mówić Smalikowi, że sam biorę tylko tych pacjentów, w których wyleczenie choć trochę wierzę.

\* \* \*

– Myślałem, że teraz będzie pan chciał porozmawiać z Anetą – rzekł von Griem, stając w kręgu światła.

– Chciałem wcześniej ustalić kilka drobiazgów. Proszę wybaczyć niedyskrecję, ale czy po występie w Norymberdze doszło do czegoś między panem i panną Silberberg?

Zatkało go.

– Skąd...

– Pan Smalik was widział. Choć, prawdę powiedziawszy, pomylił pana z panem Evertsenem. Czy wybaczy mi pan, jeśli zapytam, jak to się stało?



– Czy to ważne?

– To zależy. Może to tylko fałszywy trop. A może, wręcz przeciwnie, klucz do zagadki.

Von Grien siadł ciężko na podstawionym zydlu i potarł skronie. Musiał być na nogach od jakichś dwudziestu godzin, miał prawo odczuwać zmęczenie.

– Sam nie wiem, jak do tego doszło. Chyba za sprawą alkoholu. Wypiliśmy sporo wina. Ale to nie wszystko, pamiętam, że Aneta była jakaś nieswoja, jakby rozbita. Upiła się szybko i dużo się śmiała, ale to był sztuczny śmiech, jakby zmuszała się do dobrej zabawy. Seks był taki sam: sztuczny i wymuszony.

– Jakby chciała oderwać od czegoś myśli?

– Tak, wydaje mi się, że tak.

– Czy panna Silberberg wspominała później ten... incydent?

– Nie. Prawdę powiedziawszy, sądzę, że to ja powinienem był poruszyć ten temat, ale żaden moment nie wydawał się stosowny... Cóż, przyznaję, zwyczajnie stchórzyłem. Było mi na rękę zapomnieć o tym wszystkim.

Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem, a von Grien natychmiast uśmiechnął się ponuro.

– Tak, to oczywiście niezwykle atrakcyjna dziewczyna – odpowiedział na pytanie, którego nie zadałem. – Śliczna. Tyle że jest także gwiazdą naszych pokazów, która przyciąga ludzi. Jeśli chcę, byśmy pozostali jednym z najlepszych teatrów osobliwości w Cesarstwie, nie mogę każdego wieczora drżeć ze strachu o to, czy moja ukochana wydobędzie się ze zbiornika.

Musiałem przyznać, że jego wytłumaczenie miało sens.

– Doskonale. Proszę mi jeszcze powiedzieć coś o tym symbolu – wskazałem piramidę z trzema szóstkami na dole listu.

Von Grien skrzywił się i popatrzył na mnie spod zmrużonych powiek. Natychmiast rozgryzł moje badawcze spojrzenie.

– Pan mnie podejrzewa? – zapytał. – Nigdy bym...

– Proszę mi odpowiedzieć, panie von Grien. Co to za symbol?

– To znak lucyferian. I tak, uprzedzając pańskie pytanie, to prawda, że mam pewne powiązania z tym stowarzyszeniem. Z dawnych czasów mojej krnąbrnej, szalonej i bardzo ekscytującej młodości. Ale nie jestem takim idiotą, żeby kierować podejrzenia na samego siebie. Ktokolwiek za tym stoi, ktokolwiek źle życzy Anecie, chce mnie pograć!

– Bez paniki, panie von Grien. Lucyferianie mają swoich sympatyków nie tylko na terenie Cesarstwa, jeśli wie pan, co mam na myśli. – Mrugnąłem do niego porozumiewawczo. – Synowie Baala i Bafometa dbają o siebie nawzajem, nieprawdaż?

Znieruchomiał, później powoli uniósł brwi. Niezupełnie zapanował nad drżącym głosem, kiedy pytał:

– Pan doktor... także...?

– Ani słowa więcej, panie von Grien. – Uśmiechnąłem się porozumiewawczo. – Koniec tematu. Proszę mi natomiast odpowiedzieć na ostatnie pytanie. Czy pamięć mnie zawodzi, czy też występ panny Silberberg poprzedzał wybuch sztucznych ogni?

– Zgadza się, pokaz Smalika zawsze wieńczy eksplozja fajerwerków. Oczywiście

mamy wszystko pod kontrolą, nie istnieje zagrożenie zaprószenia ognia w teatrze. To wszystko sztuczki, panie doktorze. Sugestywne i widowiskowe, ale tylko sztuczki.

– Oczywiście. Panie von Grien, myślę, że to mi wystarczy. Czy mógłbym prosić, aby za kwadrans cała pańska trupa spotkała się ze mną na scenie?

\* \* \*

Byli zmęczeni, ale jeszcze nie na tyle, żeby popaść w odrętwienie. Denerwowali się – zdradzały to ich gesty, mimika, spojrzenia przenoszone z punktu w punkt. Elfi głaskała wierzch dłoni Mikkaela, trochę jak matka obawiająca się o syna. Aneta, wciąż blada i opatulona kocami, drżała, jakby miała gorączkę. Smalik gryzł ustnik zgaszonej fajki, a von Grien przechadzał się wte i wewte po scenie, póki nie poprosiłem go, żeby usiadł.

– Szanowni państwo – zacząłem, stając przed nimi. – Wydaje mi się, że usłyszałem od was dość, by wyrobić sobie w miarę klarowny obraz całej sytuacji. Zanim przedstawię swoją wersję wydarzeń i wskażę tę osobę, która winna jest próby zamordowania panny Silberberg, pozwolę sobie zadać jej dwa pytania. W waszej obecności. Panno Silberberg – zwróciłem się do Anety. – Nie ma pani nic przeciwko?

Popatrzyła na swoich współpracowników, jakby spodziewała się, że któreś z nich będzie próbowało ją do tego pomysłu zniechęcić. Nic takiego nie nastąpiło, więc popatrzyła na mnie i przytaknęła krótkim, niezbyt zdecydowanym ruchem.

– Proszę – powiedziała.

– Panno Silberberg, czy przypomina sobie pani, jak wyglądali ochotnicy, którzy dzisiaj zakładali pani kajdanki?

Przygryzła górną wargę, uciekła wzrokiem w bok. Zmarszczyła czoło, wymruczała pod nosem kilka niewyraźnych słów.

– Oni... byli zwyczajni – bąknęła.

– Zwyczajni? Co pani przez to rozumie? Średniego wzrostu? Krótko ostrzyżeni? Byli przysadziści czy raczej drobnej budowy?

Nie odpowiedziała. Zerknęła bezradnie na von Griena, ale mężczyzna zachował kamienną twarz. W końcu pokręciła głową.

– Chyba może nam pani przynajmniej powiedzieć, czy to było dwóch mężczyzn, czy kobieta i mężczyzna? A może dwie damy?

– Chyba... chyba dwóch mężczyzn.

– Chyba? Nie jest pani pewna?

– Ja... nie pamiętam.

– Rozumiem. W takim razie drugie pytanie. Czy mówi coś pani nazwisko Hartmann Feuerbach?

Na dźwięk tego nazwiska Aneta Silberberg najzwyczajniej w świecie zemdląca. Zanim to się stało, dojrzałem błysk przerażenia w jej spojrzeniu i dłonie kurczowo ściskające materiał koca.

Wiedziałem już, że trafiłem w sedno.

– Co pan chciał w ten sposób osiągnąć, do diabła?! – warknął von Grien, pochylając się nad iluzjonistką.

– Otrzymać odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Chyba po to tu jestem,

nieprawdą?

Ocuciliśmy ją parę minut później. Dziewczyna odzyskiwała przytomność powoli, z trudem, jakby sen uwięził ją na podobieństwo grząskich piasków.

– Najmocniej panią przepraszam – powiedziałem i ukloniłem się pokornie, gdy tylko była w stanie zogniskować na mnie wzrok. – Z chęcią oszczędziłbym pani podobnych wstrząsów, ale obawiam się, że ta historia może to skutecznie uniemożliwić. Czy miałaby pani coś przeciwko temu, żebym ją zahipnotyzował?

Aneta sama okazała się praktykującą hipnotyzerką, więc nie odniosła się do mojego pomysłu tak nieufnie, jak pozostali artyści trupy von Griena. Zgodziła się, gdy wszyscy zapewnili, że będą mi patrzeć na ręce i zadbają o jej bezpieczeństwo.

Wyciągnąłem z kieszeni złotego franka nanizanego na rzemień. Zawsze korzystałem z tej monety i tym razem też mnie nie zawiodła. Po dziesięciu minutach Aneta Silberberg miała zamknięte oczy i twarz o obojętnym wyrazie.

– Panie i panowie, pozwólcie, że pokażę wam pewną sztuczkę – powiedziałem wtedy. – Otóż moim zdaniem w tej chwili nie ma między nami osoby, która usiłowała zamordować pannę Silberberg. Zanim jednak skończę swoją opowieść, zamachowiec będzie już pośród nas.

– Panie Jung, to nie najlepszy czas na żarty – zauważył Mikkael.

– Ależ ja nie żartuję. Proszę teraz o ciszę i wstrzymanie się z pytaniami, póki nie skończę.

– Zaczniemy od wyjaśnienia sobie paru faktów. Po pierwsze symbol, który wszyscy widzieliście na listach, owa piramida z trzema szóstkami, to oczywiście znak sekty lucyferian. Sekty, z którą, co istotne, nikt na tej scenie nie miał wiele do czynienia.

Von Grien naraz przybrał wyraz twarzy, jakby ktoś go spoliczkował. Zmrużył złowieszczo oczy.

– Co pan... – zaczął.

– Prosiłem, żeby mi nie przerywać – przypomniałem uprzejmie, ale stanowczo. – Pan von Grien lubi obnosić się ze swoimi rzekomymi powiązaniem z tą tajemniczą sektą. Oczywiście, dodaje to jego osobie swoistej diabelskiej charyzmy, pomaga stworzyć aurę tajemniczości i buntu, które to cechy tak sprawnie przyciągają tłumy. Pan von Grien nie ma jednak pojęcia o lucyferianach, którzy w rzeczywistości stanowią gnostyckie towarzystwo filozofów i uczonych, bractwo mędrców poszukujących zakazanej mądrości. Wielu moich szanowanych kolegów – pozwolę sobie przemilczeć nazwiska – należy do tej grupy i, proszę mi wierzyć, są oni w równym stopniu zainteresowani czarnymi mszami, rytualnym oddawaniem czci Baalowi i topieniem Bogu ducha winnych iluzjonistek, co pan Smalik poezją antyczną.

Karzeł parsknął śmiechem, bądź to na widok miny von Griena, bądź też zadowolony, że o nim wspomniałem.

– Choć lucyferianie nie odgrywają w tej historii większej roli – kontynuowałem – odgrywają ją Żydzi i jedna ze szkół ich wiary: Kabała. Otóż we włoskim mieście Mantua, z którego nie całkiem przypadkowo pochodzi panna Silberberg, wydrukowana została po raz pierwszy słynna księga *Zohar*. Jest to jeden z głównych tekstów kabalistycznego obrządku, a jego pierwsze, włoskie wydanie stanowi dla

nielicznych posiadających go kolekcjonerów bezcenny skarb. I moim zdaniem właśnie owo niezwykle rzadkie pierwsze wydanie *Zohar* trafiło do panny Silberberg w chwili śmierci jej rodziców.

– Panna Silberberg ruszyła w świat. Księga wciąż znajdowała się w jej posiadaniu, a wpojony przez rodziców szacunek dla wiary i świętego tekstu kazał jej obchodzić się z nim nadzwyczaj ostrożnie. Do czasu. W pewnym momencie bowiem przynależność do żydowskiej gminy stała się zwyczajnie niebezpieczna. Z całą pewnością dały jej do myślenia liczne pogromy żydowskich rodzin mające miejsce na terenie Cesarstwa w minionych latach. Jeśli się nie mylę, zdarzenia z Bayreuth okazały się kroplą przepełniającą czarę. Panna Silberberg zdecydowała się pozbyć niebezpiecznej księgi i podczas pobytu w Norymberdze zgłosiła się do antykwariusza powszechnie znanego ze względu na fascynację mistycznymi tekstami: Hartmanna Feuerbacha. Czy wszystko do tej pory się zgadza, panno Silberberg?

Czekaliśmy kilka sekund, a Aneta milczała. Widać było, jak drżą jej mięśnie szczęki, jak długie rzęsy trzepocą niby skrzydła motyla złapanego w pajęczą sieć. Jakby jakaś jej część chciała udzielić odpowiedzi, podczas gdy inna wybrała milczenie.

– Tak – odpowiedziała wreszcie.

– Pożegnanie z cenionym woluminem, najdroższą pamiątką po rodzicach, musiało ją wiele kosztować. Emocjonalnie rozchwiana, spróbowała utopić rodzące się wątpliwości i wyrzuty sumienia w alkoholu i miłości z człowiekiem, którego nie kochała. – Zerknąłem w stronę nagle czerwonego von Griena. – To częsty mechanizm w przypadku osób, które stają przed równie trudnymi, radykalnymi wyborami. Brytyjczycy mają taki frazes, który doskonale oddaje ten dylemat: *all or nothing*. Wszystko albo nic. Oddając powierzona jej księgę, Aneta zdecydowała się wyrzec całego żydowskiego dziedzictwa.

– Wtedy na scenie pojawił się nowy gracz. Ktoś bardzo niezadowolony z jej decyzji i dający wyraz temu niezadowoleniu w listach. Ktoś tytułujący ją *προδότης*, co po grecku oznacza zdrajcę. Teraz pytanie do państwa: co łączy symbol rozkochanych w mądrości lucyferian, grekę oraz literę A – czyli trzy elementy składające się na podpis listu?

Pokręcili bezradnie głowami. Na kartce papieru napisałem jedno słowo i pokazałem wszystkim po kolei.

– ANETA? – bez zrozumienia zapytał Smalik.

– Czytane od tyłu daje wyraz ATENA, czyli imię greckiej bogini mądrości. Otóż moim zdaniem w chwili sprzedania woluminu silne emocje doprowadziły do rozszczepienia osobowości Anety Silberberg. Od tamtej pory, co pewien czas w jej ciele pojawiał się ktoś inny: jej alternatywne ja, żarliwie dbająca o tradycję i rodzinne sekrety Żydówka, strażniczka mądrości. Osoba, która obiecała sobie zabić tchórzliwego zdrajcę. I niemal dopięła swego, gdy wybuch fajerwerków kończący występ pana Smalika doprowadził do uaktywnienia się tej drugiej osobowości tuż przed szalenie niebezpieczną sztuczką.

Milczeli, przerażeni i zafascynowani. Dopiero po chwili ktoś oderwał ode mnie wzrok i popatrzył na Anetę, wciąż pogrążoną w hipnozie. Obojętny wyraz jej twarzy

wyparował, zastąpiony ostrymi rysami osoby bezwzględnej i okrutnej.

– Co pani na to, panno Silberberg? Ateno Silberberg? – spytałem. – Czy nie chciała pani zamordować Anety i zrzucić oskarżenia na pana von Griena, na mężczyznę, który skalał jej... przepraszam, waszą cześć?

Zacięty wyraz twarzy, drżenie oczu poruszających się szybko pod przymkniętymi powiekami. I głos: ostry, surowy.

– Chciałam – powiedziała. – Miałam dziesiątki okazji, żeby ją zabić, ale wciąż się wahałam. Ale teraz, kiedy podjęłam już decyzję, prędzej czy później zrobię to raz jeszcze. I wtedy nie popełnię błędu.

Zapadła cisza. Wszyscy, nawet Smalik, wpatrywali się we mnie z niedowierzaniem i strachem.

A ja – cóż miałem zrobić? – ukloniłem się i ruszyłem do schodków prowadzących ze sceny. Role się odwróciły. Pokazałem im sztuczkę. Rozwiązałem zagadkę. Tak jak oni podczas pokazów – byłem mądrzejszy od swojej publiczności. Tyle że tym razem nie było braw, ukłonów i promiennych uśmiechów.

Tylko gorzka świadomość klęski.

# Agnieszka Hałas

## TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIE BERNADETY

*And I wonder who's to blame*

*As I sleepwalk in the rain*

*Avantasia, Sleepwalking*

*Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób i zdarzeń jest przypadkowe.*

Jak to się stało, że zakochałem się w Bernadecie Skalskiej?

Przysięgam, że nie wiem. Ślepy los. Fatum. Plamy na słońcu i ruch skrzydeł motyla.

Mówię: zakochałem się, choć uczciwiej byłoby powiedzieć: zauroczyłem. A jeszcze lepiej: zauroczyła mnie. Zaczarowała.

Ale nie uprzedzajmy faktów.

Zaczął się od tego, że pod koniec lipca pilnie szukałem opiekunki do dziecka. Bernadeta zadzwoniła w odpowiedzi na ogłoszenie, które rozkleiłem na osiedlu. Była świeżo po maturze, nie dostała się na wymarzoną romanistykę, planowała od października zacząć studia zaoczne i szukała jakiegoś płatnego zajęcia.

Miała łagodny, ciepły głos, który od razu mi się spodobał – pomyślałem, że Daniel pewnie polubi dziewczynę z takim głosem. Trochę niepokoił mnie jej wiek, ale deklarowała, że ma już doświadczenie w opiece nad dziećmi, a kandydatki, które dzwoniły wcześniej, zupełnie nie budziły mojego zaufania. Wstępnie ustaliliśmy warunki – pięć dni w tygodniu od dziewiątej do siedemnastej – i kwotę. Od razu zaznaczyłem, że podpiszemy umowę; nie stać mnie na kłopoty ze skarbówką.

Kiedy przyszła w poniedziałek rano, pierwsze, na co zwróciłem uwagę, to uroczy uśmiech, a sekundę później skonstatowałem, że cała reszta – czerwona kurteczka, apaszka w białe grochy, długie ciemne włosy i okrągła, lekko śniada buzia – jest równie urocza. Zanim jeszcze zdążyliśmy wymienić powitalne uprzejmości, zauważyłem, że spojrzenie Bernadety pobiegło w stronę szram na mojej twarzy oraz poblížnionej ręki z brakującymi palcami, i jej uśmiech nieco przybladł. Szybko odwróciła wzrok, jak większość ludzi nauczona, że nie należy się gapić.

Daniel wyglądał z ciekawością zza framugi kuchennych drzwi, ale wstydził się podejść, więc podprowadziłem go za rączkę. Trzymał kciuk w buzi i boczył się.

Bernadeta od razu przykucnęła, żeby mówić do malca z jego poziomu.

– Jestem ciocia Betka, będę się tobą zajmowała, kiedy tata pracuje – powiedziała miękko tonem, od którego aż mnie coś ukłuło w sercu, bo przed oczami stanęła mi Marta. – Dogadamy się, prawda, Danielku?

A mały urwis wyjął palec z ust, uśmiechnął się rozbrajająco i odpowiedział:

– Ciak.

Bernadeta okazała się osobą o anielskiej cierpliwości, a zarazem na tyle stanowczą, że moje prawie trzyletnie diablątko nie doprowadziło jej błyskawicznie do rozpacz, czego w skrytości ducha się obawiałem. Ja zaś, no cóż, już pod koniec pierwszego tygodnia zdałem sobie sprawę, że wpadłem jak śliwka w kompot. Zadurzyłem się jak głupi w dziewczynie młodszej o jedenaście lat.

Samo w sobie nie byłoby to może niczym szokującym, ale rozsądek szeptał, że Bernadeta dopiero wchodzi w dorosłe życie i ostatnie, czego jej potrzeba do szczęścia, to wdowiec z małym synkiem, nawalającym zdrowiem oraz bagnem niezaleczonej żałoby w głowie. Dlatego, jak na trzeźwo myślącego człowieka przystało, starałem się niczego nie dać po sobie poznać.

Zamknięty w drugim pokoju wytrwale klepałem w klawiaturę, tropiąc i poprawiając błędy w kodzie. Kiedy Bernadeta wyprowadzała Daniela na plac zabaw albo na spacer, cisza sprzyjała skupieniu, ale skrycie wolałem, kiedy byli w domu, bo wtedy zza ściany słyszałem ich śmiechy. Co jakiś czas pod pretekstem zrobienia sobie herbaty zaglądałem do kuchni, gdy Bernadeta akurat podgrzewała Danielowi zupkę „made by babcia” albo namawiała go, żeby grzecznie zjadł bananka. Pożerałem ją wzrokiem, mając nadzieję, że nie jest tego świadoma.

Jej biodra w dopasowanych džinsach. Zgrabny biust pod obcisłym sweterkiem – mógłbym się założyć, że nosi ten sam rozmiar stanika co Marta. To, jak czasem zerknęła kątem oka, przyglądając włosy; śniada, słodka i śliczna, z długimi rzęsami, z pieprzykiem na policzku. Cienki złoty łańcuszek na szyi i kolczyki w uszach, zawsze te same – złote biedronki.

Kiedy któregoś dnia zapytała o moje blizny, opowiedziałem jej o wypadku, podając złagodzoną wersję. Słuchała z wyrazem przerażenia na twarzy. Nie zapytała, kto prowadził auto; przypuszczalnie założyła, że ja.

Wam powiem prawdę, zresztą to nie tajemnica. Prowadziła Marta, zawsze była lepszym kierowcą niż ja. Padał deszcz, a my jechaliśmy dość szybko, choć z dozwoloną prędkością, ale bezpośrednio zawinił drugi kierowca, który nagle wyjechał z podporządkowanej drogi.

Parę tygodni wcześniej kupiliśmy dla Danielka fotelik dziecięcy za kwotę, którą moja matka uznała za zupełne szaleństwo. Okazał się wart każdego grosza. Nasz roczny syn wyszedł z wypadku właściwie cało, z lekkim wstrząsem mózgu, otarciami, sińcami i stłuczoną śledzioną.

Marta nie miała tyle szczęścia. Z obrażeniami wewnętrznymi, z rozerwaną aortą wykrwawiła się na śmierć, zanim jeszcze przyjechała karetka.

Wóz, z którym się zderzyliśmy, wylądował w rowie, dachował i zaczął się palić. Zanim dojechały karetki i straż, płonął jak pochodnia. Kierowca wylądował w Łęcznej na oparzeniówce, ale nie uratowali go.

O wszystkim dowiedziałem się dopiero w szpitalu, kilka dni później, gdy już w miarę doszedłem do siebie po trzech operacjach. Lekarze dokonali cudu – uratowali mielonkę, w którą zmieniała się moja prawa dłoń, poszatkowana przez blachy karoserii. Straciłem dwa palce; kciuk na szczęście ocalał. Musiano mi powsadzać w

kości tytanowe śruby, odtworzyć fragmenty ścięgien, a na wierzch przeszczepić płat skóry z brzucha. Ale jedenaście miesięcy później, po dwóch dalszych operacjach i długiej, bolesnej fizjoterapii, było już prawie dobrze. Mogłem oburącz stukać w klawiaturę, a nawet obierać ziemniaki.

Na twarzy, pokaleczonej szkłem, zostało trochę śladów i mocno utykałem – o ile chirurdzy, którzy ratowali mi rękę, spisali się na medal, o tyle ortopeda, który zajmował się połamaną kostką, pokpił sprawę. W środku zaś czułem się, co tu dużo mówić, niczym potwór Frankensteina, pozszywany z krwawych strzępów i ochłapów. Mówili, że wspomnienia z wypadku mogą wracać, że PTSD dotyka jakiś tam procent ofiar, objawiając się jako flashbacki i złe sny. I rzeczywiście, koszmary nawiedzały mnie prawie co noc. Za każdym razem śniło mi się, że to my dachujemy i się palimy, uwięzieni w zmiażdżonym wozie.

Samego wypadku tak naprawdę nie umiałem odtworzyć, nawet na terapii, gdzie kazano mi wracać do niego pamięcią, krok po kroku. W moim umyśle zapisał się przede wszystkim moment, gdy wsiadamy do auta po wizycie u znajomych w Jastkowie. Ta scena prześladowała mnie później jak zły sen na jawie. Wciąż miałem przed oczami obraz, gdy Marta przypina Daniela w jego foteliku, siada na miejscu kierowcy i przekręca kluczyk w stacyjce.

Ze szczupłego, wysportowanego faceta zmieniłem się w szkielet. Przez pół roku grzecznie chodziłem na znienawidzoną psychoterapię; czasem tylko okłamywałem terapeutkę, bo nie zawsze byłem w stanie powiedzieć prawdę na głos, na przykład opisać jej w szczegółach, co mi się śni. Leki przepisane przez psychiatrę odstawiłem po miesiącu, bo zamulały mnie tak, że nie szło żyć. Pić nie mogłem, codziennie łykałem środki przeciwbólowe – w potrzaskanych, poskładanych kościach dłoni oraz w stawie skokowym rwało jak cholera, zwłaszcza pod wieczór, a zmiany pogody przewidywałem skuteczniej niż najlepszy barometr. Wszystkie domowe zabiegi zalecone przez fizjoterapeutę pomagały o tyle o ile.

Nie wiem, co by było, gdyby nie pomoc mojej matki. Rodzice Marty, mieszkający w Chełmie, mieli własne problemy w postaci bezrobotnego, pijącego syna; po pogrzebie ograniczyli się do okazjonalnych telefonów z pytaniem, jak się miewa wnuk. Wnuk, rozpieszczany przez babcię, miał się dobrze, a ja skupiłem wszystkie siły na tym, żeby powrócić do stanu pozwalającego samodzielnie funkcjonować. Własnoręcznie zapinać guziki, ogolić się jak człowiek, pozmywać naczynia, obrać te cholerne ziemniaki. Doprowadzenie prawej dłoni do stanu używalności trwało tak długo, że do pracy ostatecznie wróciłem prawie rok po wypadku. Po paru tygodniach na wdrożenie, później pracowałem już zdalnie, z domu, choć to akurat nie wynikało z moich ograniczeń zdrowotnych, tylko z polityki firmy. Żeby wreszcie odciążyć matkę, z której zdrowiem też nie było różowo, musiałem zainwestować w nianię, i tym sposobem w naszym życiu pojawiła się Bernadeta.

Zauważyłem, że w rozmowach nigdy nie wspominała o swoich rodzicach, za to dość często przewijało się „ciocia Iwona to, ciocia Iwona tamto”. Podczas któregoś spotkania zacząłem ją delikatnie podpytywać i ze zdziwieniem dowiedziałem się, że Beti, jak ją nazywali znajomi, jest sierotą. Jej ojciec zginął potrącony przez samochód, kiedy była mała, a mama, nałogowa palaczka, zmarła dwa lata temu na wczesny zawał. Bernadeta mieszkała teraz z ciotką, urzędniczką, właścicielką dwóch



rasowych kotów – syjamskiego i ragdolla (oba zdobywały nagrody na wystawach).  
Dziewiętnaście lat. Młodziutka dziewczyna, całe życie przed nią.  
Myślałem o niej, o Marcie i znów o niej. Jedno i drugie bolało.

\* \* \*

Minął wrzesień, nadeszły chłodniejsze dni, wypadki na plac zabaw następowały rzadziej i trwały krócej. Daniel nie wychodził z fazy buntu dwulatka – grymasił przy jedzeniu, awanturował się, rzucał zabawkami, aż Bernadeta musiała mnie czasem wołać, żebym interweniowałam. Od października studiowała zaocznie swoją upragnioną romanistykę na UMCS-ie i parę razy wspomniała mimochodem, że szuka normalnej pracy. Bałam się, że niedługo będę musiał znaleźć inną opiekunkę, która na dokładkę okaże się droższa (już teraz pomoc Beti kosztowała mnie jedną trzecią miesięcznej wypłaty), no a przede wszystkim bolała mnie myśl, że nie będzie to już nasze śniade słoneczko. Coś tam bąkałam, że szkoda, Daniel bardzo się do niej przywiązał i tak dalej, ale nie sądzę, aby zrozumiała ukryty przekaz.

Jednego dnia, na początku października, Beti zjawiała się rozchichotana.

– A pani szanownej co tak wesoło? – spytałem. Ja nie miałem powodów do wesołości. Mój szef leżał w szpitalu po operacji woreczka żółciowego, człowiek, który go zastępował, był idiotą, z firmy Orange dobijali się do nas z pretensjami, czemu aplikacja jeszcze niegotowa, a poprzedniego dnia ortopeda na kontroli postraszył mnie, że moją kostkę najdalej za dwa lata trzeba będzie operować i permanentnie usztywnić.

– A bo ciocia ma absztyfikanta – palnęła. Zdziwiłem się, że w ogóle zna to staroświeckie słowo. – Poznała go na wystawie kotów. Mieszka w Puławach i przyjechał do niej z wizytą.

– Ale to coś poważnego? – spytałem z zainteresowaniem. Ciocia Iwona miała około pięćdziesięciu lat i na podstawie opowieści jawiła mi się jak skrzyżowanie mamuśki Gargamela z tygrysem szablastozębnym.

– Nie no, żartuję sobie. On jest od niej z dziesięć lat młodszy. Przyjaźnią się po prostu. Patryk jest fryzjerem i hoduje ragdolle, handluje kociakami.

Nazajutrz pojawiła się z dziwną, fantazyjną fryzurą – jej włosy zostały splecione w gruby warkocz złożony z mniejszych warkoczyków.

– Patryk mnie tak uczesał – wyjaśniła, znowu chichocząc. – A jaką fryzurę zafundował cioci!

Wyjęła telefon i pokazała mi zdjęcie. Ciocia Iwona wyglądała zupełnie inaczej, niż się spodziewałem – wyobrażałem ją sobie jako korpulentną damę, a zobaczyłem panią o pociągłej, dystygowanej twarzy i dużych ciemnych oczach, podobnych do oczu siostrzenicy. Ekstrawagancka asymetryczna fryzura z włosów pofarbowanych na kolor gorzkiej czekolady, z ukośnie ściętą grzywką, paradoksalnie całkiem jej pasowała.

Beti pokazała mi jeszcze zdjęcia obu kotów ciotki oraz samego Patryka, który okazał się niemalże sobowtórem filmowego MacGyvera, z blond czupryną włącznie. Może nieco podpasionego, ale poza tym – słowo daję, Richard Dean Anderson jak żywy.

– O proszę, MacGyver – stwierdziłem. Nie uśmiechnęła się, najwyraźniej nie załapała. Westchnąłem w duchu; no tak, luka pokoleniowa.

– A może wy byście nas kiedyś odwiedzili? – zmieniła temat Bernadeta, chowając telefon. Na „ty” przeszliśmy jeszcze w sierpniu. Kucnęła przed Danielem, który dobrał się do jej buta i bawił się zamkiem. – Daniel, chciałbyś przyjść do cioci Beci i zobaczyć kotki?

– Ciak! – odpowiedziało radośnie diablątko, łapiąc ją za warkocz.

Wykręciłem się brakiem czasu. Bałem się, że pani Iwona swoim kobiecym szóstym zmysłem wyczuje, jaki jest mój stosunek do Bernadety, i każe jej rozwiązać umowę.

\* \* \*

Rano w dniu Wszystkich Świętych moja mama uporządkowała grób ojca, a ja – grób Marty. Po zmierzchu wybraliśmy się na cmentarz z Danielkiem, który lubił patrzeć na morze płonących lampek.

– Cieńka – powiedział, kiedy zapaliłem dwa duże znicze i jeden mniejszy – po jednym od każdego z nas. – Cieńka mamy?

– Tak, synku. – Poprawiłem mu szalik, ignorując palącą wilgoć w oczach. – Świąteczka są dla mamy, bo mama jest w niebie.

Wieczorem oprócz ibuproenu łyknąłem leki nasenne, przepisane przez psychiatrę do brania doraźnie. Gdy w końcu zapadłem w sen, przyśniło mi się, że to ja umarłem i snuję się jako niewidzialny duch, a Marta, Bernadeta i Daniel kładą kwiaty na moim grobie. W tym śnie Bety miała tylko dwanaście lat i była moją córką.

\* \* \*

Nadszedł listopad. Deszcze, deszcze, deszcze, błoto na placu zabaw, wielka kałuża na przystanku rozbryzgiwana przez hamujące autobusy, rwący ból w dłoni i w stawie skokowym, ibuproen łykany jak cukierki. Projekt, nad którym dotąd pracowałem, został zamknięty; przeniesiono mnie do innego zespołu, z której to okazji musiałem się zameldować w siedzibie firmy po raz pierwszy od prawie kwartału. Cały następny dzień spędziłem, przesiadując na zebraniach i spotkaniach organizacyjnych. To był trzynasty listopada, środa.

A czternastego, w czwartek, stało się coś nieprzewidzianego.

Kwadrans po piątej, jak zwykle, pożegnaliśmy z Danielem Bernadetę. Daniel wyseplenił „Cieść, ciociu Betko” i koniecznie chciał jej wcisnąć na pożegnanie batonika, którego dostał od babci. Nie wzięła, śmiała się tylko.

Zapamiętałem ją roześmianą, w białym szaliku i rękawiczkach, z czapką w rękę. Tego dnia ścisnął mróz, kałuże pozamarzały.

Powiedziałem „Do następnego razu”, zamknąłem za nią drzwi i spytałem synka, czy ma ochotę zbudować z lego wielki lotniskowiec. Godzinę później zjawiała się moja mama, żeby zająć się Danielem przez ten wieczór, a ja wróciłem do komputera, by doksztalcać się na temat oprogramowania, które mieliśmy ulepszać.

Kwadrans po dwudziestej pierwszej, kiedy Daniel już grzecznie spał w swoim łóżeczku, a mama szykowała się do wyjścia, w mojej kieszeni zaczęła dzwonić

komórka. Odebrałem.

– Dobry wieczór, z tej strony Iwona Gładysz, ciotka Bernadety – powiedział miły kobiecy głos. – Czy moja siostrzenica była dzisiaj u pana?

– Była – potwierdziłem. – Wyszła kwadrans po piątej.

– A nie mówiła, dokąd planuje pójść? Bo jeszcze jej nie ma, nie odbiera telefonu i trochę się martwię...

– Nie, nie mówiła.

Pani Iwona podziękowała i rozłączyła się. Pożegnałem mamę, zamknąłem za nią drzwi i, tknięty niepokojem, zadzwoniłem na komórkę Bernadety.

Cztery, pięć, sześć sygnałów... Cisza. Aż w końcu włączyła się poczta głosowa. Rozłączyłem się. Pół godziny później spróbowałem ponownie.

I po kolejnej półgodzinie też.

O dwudziestej trzeciej – to samo.

Pomyślałem, że Beti pewnie zasiedziała się gdzieś u znajomych, a w jej komórce rozładowała się bateria. Dodałem panią Iwonę Gładysz do listy kontaktów, po czym zawahałem się, czy nie wysłać SMS-a z prośbą, żeby dała znać, kiedy siostrzenica wróci do domu, ale uznałem, że nie ma co przesadzać.

Deszcz bębnił w szyby i nagle, jakoś tak kompletnie bez związku, pomyślałem o tamtym wieczorze, kiedy w Jastkowie wsiadaliśmy do samochodu. Marta zapięła Daniela w foteliku, usiadła na miejscu kierowcy i uruchomiła silnik.

Przeszedł mnie dreszcz.

Tuż przed północą, gdy szykowałem się do snu, mój telefon zadzwonił ponownie.

– Panie Pawle, bardzo przepraszam, że pana niepokoję o tej porze. – Tym razem w głosie pani Iwony wyraźnie słyszałem zdenerwowanie. – Nie ma pan żadnego pomysłu, gdzie może być Bernadeta? Nie wspominała, dokąd się wybiera?

– Nie wróciła?

– Nie wróciła, nie odbiera telefonu, a ja nic nie wiem, no i wie pan, martwię się. Ona zawsze uprzedza, jeśli ma wrócić późno, i nie chodzi z wyłączoną komórką.

Wyteżyłem pamięć, ale nie – nie miałem zielonego pojęcia, dokąd Beti mogła się wybrać. Nie wspominała nic o planowanym wyjściu do kina, na zakupy czy na imprezę. W ogóle, prawdę mówiąc, niewiele wiedziałem o jej znajomych i życiu towarzyskim. Miałem wrażenie, że Bernadeta jest raczej z tych spokojnych, mało imprezowych – jak Marta i ja.

– Nie wiem, co zrobię, jeśli Betka nie wróci na noc – kontynuowała pani Iwona coraz bardziej roztrzęsionym tonem.

„Będzie pani musiała zgłosić zaginięcie” – chciałem odpowiedzieć, ale ugryzłem się w język. Wszystko na pewno skończy się na strachu, Bernadeta wróci po północy do domu i pokornie zbierze burę. Wprawdzie okres nastoletniego buntu miała już raczej za sobą, ale nieprzewidziane wyskoki mogą się zdarzać osobom w dowolnym wieku.

Pani Iwona jeszcze raz przeprosiła mnie za niepokojenie telefonami o północy i zakończyła rozmowę. Wyłączyłem komórkę i położyłem się do łóżka.

Długo nie mogłem zasnąć, przewracałem się nerwowo z boku na bok. Kiedy w końcu zmorzył mnie sen, znów przyśnił mi się koszmar o wypadku, ale tym razem zamiast Daniela na tylnym siedzeniu auta siedziała Bernadeta.

Ocknąłem się mokry od potu, w uszach wibrowało mi echo jej krzyku. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że z dworu dolatuje modulowane wycie – któremuś z sąsiadów włączył się alarm w samochodzie. Świtało. Wiedziałem, że już nie zasnę, więc wstałem, ubrałem się, zrobiłem sobie kawy i uruchomiłem komputer, żeby sprawdzić pocztę, nim Daniel się obudzi. Zdążyłem przeczytać dwa maile, zanim mój synek, który widocznie usłyszał, że się krzątam w kuchni, pojawił się w drzwiach, przecierając oczy i ciągnąc za sobą sfatygowanego misia.

Zaserwowałem mu śniadanie, dzielnie znosząc kaprysy hrabiątka, które najpierw zażądało jajecznicy, a potem stwierdziło, że jednak jej nie chce. Jajecznicę zjadłem sam, a hrabiątko nakarmiłem płatkami z jogurtem owocowym i posadziłem na nocniku.

Kiedy przed dziewiątą rano przypomniałem sobie, że powinienem włączyć komórkę, zobaczyłem cztery nieodebrane połączenia od pani Iwony Gładysz i poczułem chłodny ucisk w brzuchu. Wiedziałem już, co usłyszę, kiedy do niej zadzwonię.

Bernadeta nie wróciła na noc do domu, a jej telefon pozostawał wyłączony.

\* \* \*

Pani Iwona stanęła na wysokości zadania, to musiałem jej przyznać. Zaskoczyła mnie sprawnością w korzystaniu z mediów społecznościowych – lub też dobrze dogadywała się z młodszymi od siebie. Wydarzenie na Facebooku pojawiło się w piątek wieczorem, a w sobotę rano twarz Bernadety uśmiechała się już z niezliczonych portali internetowych.

*Zaginęła studentka UMCS, Bernadeta Skalska.*

*Gdzie jesteś, Bernadeto? 19-letnia studentka romanistyki nie wróciła w czwartek do domu.*

Na stronie *Kuriera Lubelskiego* pojawił się artykuł podający najważniejsze informacje; inne portale powielały tę samą treść, pomijając niektóre szczegóły.

***Zaginęła 19-latka z Lublina. Kto widział Bernadetę?***

*Policja poszukuje 19-letniej Bernadety Skalskiej, która zaginęła w czwartek po południu.*

*Bernadeta Skalska studiuje zaocznie romanistykę na UMCS i pracuje jako niania na osiedlu Górki. Czternastego listopada krótko po siedemnastej wyszła z mieszkania swojego pracodawcy, pana Pawła. Miała pójść prosto na przystanek i przyjechać do domu, na Aleje Racławickie. Nie dotarła tam, a jej telefon pozostaje wyłączony.*

*Bernadeta ma 160 cm wzrostu, waży ok. 45 kilogramów, jest szczupłej budowy. Ma długie ciemne włosy, piwne oczy i śniadą cerę. Znaki szczególne: pieprzyk na lewym policzku. W dniu zaginięcia miała na sobie džinsy, kremowy sweter, czarny zimowy płaszcz, biały szalik, białą czapkę z pomponem i czarne kozaki. Na szyi nosi złoty łańcuszek z krzyżykiem, a w uszach złote kolczyki w kształcie biedronek.*

*Wszyscy, którzy mogą pomóc w odnalezieniu Bernadety, proszeni są o kontakt z jej*

\* \* \*

W sobotę z własnej inicjatywy poszedłem na policję złożyć wyjaśnienia. Rozmawiali ze mną uprzejmie, ale wyczuwałem czujność. Ja także byłem spięty, bo wiedziałem, jaki jest ich tok rozumowania – ostatni mężczyzna, który widział zaginioną młodą kobietę, automatycznie staje się osobą, której trzeba się bardzo dokładnie przyjrzeć. Krok po kroku opowiedziałem, jak wyglądał nasz czwartek.

Bernadeta przyszła, jak zwykle, koło dziewiątej rano. Ja pracowałem, ona zajmowała się Danielem. Oglądali razem telewizję, wyprowadziła go na spacer. Zjadła u nas obiad i wyszła po siedemnastej. Wydawała się w dobrym humorze, wesoła.

Czy zwrócił pan uwagę na coś niezwykłego w jej wyglądzie, zachowaniu? Nie.

Nie mówiła, dokąd planuje pójść? Nie. Zakładałem, że pojedzie z powrotem do domu, ale pewności nie mam.

Od dawna pracowała dla pana? Od początku sierpnia. Dobrze ją pan znał? No, trochę rozmawialiśmy przy różnych okazjach. Sympatyczna dziewczyna.

Na jej laptopie są pana zdjęcia.

To mnie zaskoczyło, muszę powiedzieć. Potem przypomniałem sobie, o jakie zdjęcia chodzi. Kiedyś rozmawialiśmy z Bernadetą o podróżach, napomknęła coś o tym, że strasznie chciałaby się wybrać do Włoch; wysłałem jej potem na maila kilka fotek z Sycylii. Pojechaliśmy tam z Martą krótko po ślubie, kiedy Daniela jeszcze nie było na świecie.

Wiedział pan, że jej rodzice nie żyją? Tak, wiedziałem.

Co pan robił tamtego dnia po tym, jak Bernadeta wyszła?

Byłem w domu, w ogóle nie wychodziłem na zewnątrz.

Wiedziałem, że można to łatwo zweryfikować. W naszym bloku, przy drzwiach wejściowych na klatkę, zaledwie miesiąc wcześniej zainstalowano monitoring. Żeby niepostrzeżenie wydostać się na dwór, musiałbym wejść do któregoś z mieszkań na parterze i wyleźć oknem.

Miałem nadzieję, że kiedy policja przejrzy nagrania kamer z komunikacji miejskiej, wypatrzą Bernadetę, jak cała i zdrowa wsiada po siedemnastej do autobusu. Na razie udostępnili publicznie filmik pokazujący, jak Beti (w czarnym płaszczyku i białej czapce z pomponem) wychodzi przez drzwi wyjściowe w moim bloku, które zatrząskują się za nią o siedemnastej dwadzieścia jeden.

W komentarzach pod wydarzeniem, które pani Iwona założyła na fejsie, aż huczało od plotek i domysłów. Wiedząc, że policja na pewno śledzi te wpisy, przezornie nie włączałem się do dyskusji. Pojawiła się pewna liczba podejrzliwych wypowiedzi pod moim adresem, co mnie nie dziwiło. Ale były też hipotezy, które czytałem z zainteresowaniem. Również dlatego, że w ten sposób dowiadywałem się o Bernadecie zupełnie nowych rzeczy.

„Najlepsza przyjaciółka Betki z liceum mieszka teraz w Krakowie. Próbowaliście się z nią skontaktować?” – pisała dziewczyna o nicku Lady Godzilla, której zdjęcie profilowe przedstawiało dinozaura nabazgranego ręką dziecka.

(Odpowiedź pani Iwony: „Tak, nic nie wie. Nie kontaktowały się od października”.)

Staszek Wasiak (na zdjęciu profilowym – wesoły chłopak w kasku, na rowerze górskim):

„Nie wiem, czy wiecie, ale Beti parę razy pisała w statusach, że chciałyby zrobić coś szalonego, co będzie wspominać na starość. Mówiła, że marzy o podróży do Włoch... Wiem że to zabrzmiało głupio, ale czy rozważacie możliwość, że po prostu z dnia na dzień spakowała się i pojechała?”.

(Odpowiedź pani Iwony: „Staszku, oczywiście bierzemy pod uwagę każdy scenariusz, ale nie sądzę, żeby wybrała się za granicę bez paszportu i karty do konta”.)

Pod tą wypowiedzią wywiązała się krótka dyskusja o tym, że dzisiaj można już podróżować po Europie bez paszportu, tylko z dowodem osobistym, i ile kosztuje spontaniczny wypad do Włoch.

„Ostatnio była widziana na Górkach, tak? Słuchajcie, jutro niedziela, skrzyknijmy się i zorganizujemy poszukiwania na osiedlu i w wąwozie” – proponował niejaki Andrzej Kostrzewa (na zdjęciu – długowłose młodzian w czerni). Kilkanaście osób od razu wyraziło chęć uczestniczenia w akcji. Kwadrans później Andrzej umieścił pod wydarzeniem Bernadety nowy wpis:

„Uwaga! Wszystkich, którzy mogą wziąć udział w poszukiwaniach Beti, proszę, żeby czekali jutro o 9:00 na skrzyżowaniu Jana Pawła II i Nadbystrzyckiej, koło zejścia ze Szczytowej. Kto może, niech wydrukuje plakaty i ulotki i przyniesie je”.

Zaintrygowany, obejrzałem jego profil, a to, co znalazłem, lekko mnie zmroziło. Andrzej, który nie podawał na Facebooku żadnych szczegółów na temat swojego wykształcenia i pracy, był fanem death metalu i obrazów Beksińskiego. Prześledziłem jego oś czasu – tak jak przypuszczałem, z upodobaniem linkował ponure piosenki i mroczne teledyski, a jako zdjęcie w tle ustawiony miał kadr z pierwszej ekranizacji *Batmana*, z uśmiechniętym, pokiereszowanym, martwym Jokerem po upadku z katedry.

Facet zafascynowany ciemnością, bólem i śmiercią śledził sprawę Beti z demonstracyjnym wręcz zaangażowaniem. Miałem nadzieję, że policja zwróciła na niego uwagę.

\* \* \*

W niedzielę około czterdziestu osób, głównie studentów, przeszukało osiedle Górki, okolice ulic Jana Pawła II i Nadbystrzyckiej oraz wąwóz wzdłuż Jana Pawła II, rozklejając wydrukowane naprędce plakaty i rozdając przechodniom ulotki ze zdjęciem Bernadety. Nie wziąłem udziału w akcji, bo bałem się, że zostanę rozpoznany (pamiętałem komentarze z fejsa w rodzaju: „Ej, a sprawdzono tego gościa, dla którego ona pracowała? Podobno ten facet to totalny dziwak, jest po wypadku, a jego żona nie żyje!!!!”) i że reakcje mogą być rozmaite.

Korzystając z tego, że mama przyszła zająć się Danielem, wydrukowałem sobie kilka egzemplarzy plakatu i poszedłem je rozkleić wzdłuż trasy, którą Beti pokonałaby, idąc na przystanek. Pod wpływem impulsu zajrzałem do znajdującej się

po drodze Stokrotki, gdzie czasem, jak wiedziałem, robiła zakupy. Kasjerki od razu rozwiały moje złudzenia – nie było w ludzkiej mocy, aby po kilku dniach pamiętały pojedynczą klientkę. W znajdującej się obok aptece miałem więcej szczęścia.

Niemłoda magister farmacji o włosach utlenionych na kolor masła, z centymetrowymi odrostami, uważnie obejrzała zdjęcie na plakacie i zapytała:

– To była młoda, sympatyczna dziewczyna, tak? Z taką jakby cygańską urodą? Lubiła dzieci?

Serce zabiło mi szybciej.

– Pamięta ją pani?

– Tak mi się wydaje. – Zmarszczyła czoło. – W piątek... nie, w czwartek była tutaj duża kolejka i taka miła dziewczyna z długimi ciemnymi włosami pomagała innej pani posadzić dziecko w wózek. Miała czarny płaszcz i białą czapkę. – Zniżyła głos. – Zapamiętałam ją, bo chwilę później kupiła u mnie prezerwatywy.

Zesztywniałem.

Moją pierwszą myślą było, że farmaceutka na pewno się pomyliła, w końcu wiele dziewcząt ma cygańską urodę i lubi dzieci. Czarny płaszcz i białą czapkę mogła sobie dośpiewać po fakcie, zasugerować się opisem na plakacie.

Ale jeśli nie...

– W piątek czy czwartek? – naciskałem. – Niech pani sobie przypomni, to ważne.

– W czwartek, proszę pana. Na pewno w czwartek, bo w piątek miałam dyżur tylko do drugiej. W czwartek przed osiemnastą.

Poprosiłem, żeby koniecznie zadzwoniła z tą informacją na policję, i zostawiłem jej egzemplarz plakatu z nadzieją, że dzięki temu nie zapomni. Do domu wróciłem z mętlikiem w głowie.

Nic nie wiedziałem o prywatnym życiu Bernadety. Naiwnie zakładałem, że go nie miała – nawet w obecnych czasach nie każdy młody człowiek wchodzi w pierwsze związki w wieku nastoletnim. Ale prezerwatywy...

Jeżeli to była ona.

Godzina by się zgadzała. Ubiór się zgadzał.

Ale w informacjach, które udostępniła policja, nie było mowy o tym, żeby Bernadeta miała chłopaka. A taki trop na pewno sprawdziliby w pierwszej kolejności.

Kiedy wszedłem do mieszkania, powitał mnie dobiegający z kuchni wrzask; babcia usiłowała nakarmić Daniela zupką, a on się opierał.

– Mamo, nie zmuszaj go. Będzie głodny, to zje – powiedziałem zmęczonym tonem, wiedząc, że to nie poskutkuje. Nalałem sobie wody i łyknąłem ibuprofen – moja kostka miała zły dzień, po krótkim spacerze bolała już jak wściekła. Utykając, poszedłem do swojego pokoju i na wpół machinalnie uruchomiłem komputer.

Na Facebooku wrzało. Ktoś rzekomo widział Bernadetę w autobusie linii 2, w zupełnie innej części miasta; ktoś inny twierdził, że mignęła mu na dworcu PKP, „ale była ubrana inaczej, niż piszą”. Kilka osób sugerowało, żeby w następnej kolejności przeszukać niezabudowane tereny między Bystrzycą a ulicą Ciepłą oraz las Stary Gaj. Jednak największe zainteresowanie wzbudził biały szalik, brudny i nasiąknięty wodą, który znaleziono w krzakach nad rzeką, zaraz za wiaduktem kolejowym, i oddano policji. Andrzej Kostrzewa, który zorganizował nieoficjalną akcję

poszukiwawczą, wstawił na Facebooku zdjęcie szalika i odpowiadał na pytania. Szalik wyglądał na damski – długi, z grubej włóczki. Był podobno zaplątany w gałęziach prawie na wysokości lustra wody, tak jakby zniósł go nurt.

\* \* \*

Pani Iwona rozpoznała szalik jako niemal na pewno należący do Bernadety. Nazajutrz odbyły się szeroko zakrojone, trwające do wieczora poszukiwania. Do akcji ruszyła policja z psami tropiącymi, wspierana przez helikopter z kamerą termowizyjną i całą armię ochotników. Przeszesano oba brzegi Bystrzycy, niezabudowane tereny między rzeką a ulicami Krochmalną i Ciepłą oraz okolice torów kolejowych. Bez efektu.

We wtorek od samego świtu kontynuowano akcję. Helikopter latał nisko nad osiedlem Górki, wzdłuż rzeki, torów i nad lasem – słyszałem go aż do późnego popołudnia. Płetwonurkowie sprawdzili tamę na Zalewie Zemborzyckim i przyległe partie dna, a policja z psami i ochotnicy przeszukali brzegi. Nic nie znaleziono.

W środę od rana padał ulewny deszcz. Akcja policyjna została wstrzymana. Andrzej Kostrzewa i kilkanaścioro najwytrwalszych ochotników ponownie ruszyli na miasto, żeby raz jeszcze przeszukać okolice Nadbystrzyckiej oraz wąwóz przy Jana Pawła II, rozdając przechodniom ulotki, ale po paru godzinach oni także zrezygnowali. A w czwartek po południu kobieta spacerująca z psem nad Bystrzycą, w pobliżu ścieżki rowerowej, zauważyła pływające w wodzie zwłoki i powiadomiła policję.

Ja o odnalezieniu Bernadety dowiedziałem się w piątek rano, z Facebooka. Link do artykułu wstawiła pani Iwona. Czytałem jak odrętwiały, nie wierząc własnym oczom.

### ***Zaginiona Bernadeta Skalska została zamordowana.***

*Poszukiwana od tygodnia 19-latką z Lublina nie żyje. Jej ciało w czwartek wyłowiono z Bystrzycy w pobliżu ulicy Nałkowskich. Ciotka dziewczyny zidentyfikowała zmarłą.*

*Zwłoki unoszące się w przybrzeżnej wodzie znalazła spacerowiczka, a właściwie jej pies. Ciało zaplątało się w gałęzie zwałonego drzewa. Killkadziesiąt metrów dalej przebiega ścieżka rowerowa.*

*W czasie wstępnych oględzin na ciele dziewczyny znaleziono ślady obrażeń, które wskazują, że jej śmierć jest wynikiem działania osób trzecich.*

*– Już wiadomo, że to było morderstwo – mówi ciotka Bernadety, Iwona Gładysz. Policja nie podaje żadnych dalszych szczegółów.*

Pod artykułem widniał prawdziwy wysyp komentarzy. Większość internautów pisała to, co i mnie od razu przyszło na myśl. Telefon Bernadety milczał już w dniu jej zaginięcia. Jeśli nie została zabita nad rzeką – a po piątej raczej nie wybrała się na spacer w okolice Bystrzycy, było już ciemno, zaś jej trasa do domu wiodła dokładnie w przeciwnym kierunku – to morderca prawdopodobnie poruszał się autem. Zatrzymał się gdzieś w pobliżu rzeki, najpewniej nocą, i wyrzucił ciało do wody.

Odpaliłem Google Maps, wybrałem widok z satelity i odszukałem miejsce, gdzie



według artykułu znaleziono zwłoki. Rzeka tutaj zakręcała, otoczona gęstymi zaroślami. Do tamy na Zalewie Zemborzyckim był stąd spory kawał, a miejsc po drodze, gdzie można byłoby podjechać, zaparkować auto i niepostrzeżenie zejść nad wodę – mnóstwo.

Przygotowałem się mentalnie na to, że zostanę ponownie wezwany na policję, nie nastąpiło to jednak, ani tego dnia, ani następnego. Walczyłem z chęcią zadzwonienia do pani Iwony, żeby pod pretekstem złożenia kondolencji wypytać ją o szczegóły, ale wiedziałem, że po pierwsze byłoby to niestosowne, a po drugie – prawdopodobnie zakazano jej podawania informacji, które mogłyby zaszkodzić śledztwu. W szczególności byłem ciekaw, jakie obrażenia znaleziono na ciele Bernadety.

Nie mogłem przestać o niej myśleć. O tym, jak zginęła i czy bardzo cierpiała. Przyłapywałem się na nadziei, że kiedy rano otworzę oczy, okaże się, że cała sprawa to jakaś piramidalna pomyłka i Beti żyje.

W kolejnych dniach obsesyjnie przeglądałem sieć w poszukiwaniu jakichkolwiek nowych informacji, tych jednak nie było. Policja milczała. Portale z braku wieści były pianę, odgrzewając i serwując ponownie wiadomości podane wcześniej. Kilka razy odbierałem telefony od dziennikarzy – diabli wiedzą, skąd wytrzasnęli mój numer – ale za każdym razem twardo odmawiałem rozmowy.

W końcu media znalazły sobie nowy gorący temat i sprawa Bernadety przycichła. Ja jednak nie odpuszczałem, śledziłem komentarze na Facebooku i myszkowałem w Google, aż natrafiłem na wypowiedź niejakiego patryka\_70 na forum Gazeta.pl, w temacie: „Zwłoki Bernadety S. wyłowiono z Bystrzycy – policja szuka mordercy”.

„Znałem Bernadetę – czemu nikt nie mówi głośno, że ta dziewczyna się źle prowadziła? Spotykała się potajemnie z dwoma mężczyznami, policja powinna sprawdzić ten wątek”.

Komentarzy (w większości gniewnych), które posypały się w odpowiedzi, nie raczył już skomentować, zniknął jak rasowy troll. Ale coś mi podpowiadało, że to nie był troll, tylko człowiek, którego znałem ze słyszenia. Widziałem nawet jego zdjęcie. Imię się zgadzało, rocznik 1970 też mógł pasować. Nie miałem tylko pojęcia, co go ugryzło, żeby się wypowiadać publicznie w sposób nieżyczliwy o ofierze. Byłem ciekaw, co konkretnie wie na temat życia prywatnego Bernadety. Wspomnienie rozmowy, którą odbyłem z farmaceutką, nie dawało mi spokoju.

Z kim spotkała się Bernadeta wieczorem czternastego listopada, po tym, jak najprawdopodobniej zaopatrzyła się w prezerwatywy w osiedlowej aptece?

Tknęło mnie, żeby przeszukać mieszkanie – a nuż gdzieś został jakiś ślad, kartka z zapisanym adresem czy numerem telefonu, wydruk mapki z Google Maps, cokolwiek. Teraz przypomniało mi się, że parę razy widziałem, jak Beti czytała książkę, kiedy Daniel spał po obiedzie, albo pisała coś w zeszycie. Natomiast nigdy nie sprawdzała poczty na moim komputerze, a szkoda.

Po pracy gruntownie przegrzebałem odwieczny bałagan w pokoju Daniela. Wśród rozrzuconych zabawek natrafiłem na dwie skarpetki nie do pary, swój krawat i złotówkę, a spod łóżka wyciągnąłem misia z rozprutym brzuchem oraz zaginioną książeczkę o krecie, któremu ktoś narobił na głowę, lecz na tym lista znalezisk się skończyła. W przedpokoju w szafce zostały tylko fioletowe kapcie Beti (szczegół w sam raz do jakiegoś łzawego reportażu, nic, tylko się podzielić z pismakami).

W połowie grudnia media przypomniały sobie o Bernadecie. Policja przerwała milczenie, podając do wiadomości publicznej informacje, które wcześniej trzymali w tajemnicy – między innymi wyniki sekcji. W *Kurierze Lubelskim* ukazał się stosunkowo obszerny artykuł. Czytałem go z zapartym tchem.

### ***19-latka z Lublina została uduszona. Policja szuka mordercy.***

*Znamy wyniki sekcji zwłok Bernadety Skalskiej, której ciało w listopadzie wyłowiono z Bystrzycy. Przyczyną śmierci było uduszenie.*

*Bernadeta studiowała zaocznie romanistykę na Uniwersytecie im. Marii Curie-Skłodowskiej i pracowała jako niania na osiedlu Górki. Czternastego listopada po południu wyszła z mieszkania swojego pracodawcy przy ulicy Wyżynnej. Do domu już nie dotarła, a jej telefon pozostawał wyłączony. Nazajutrz rano ciotka zgłosiła zaginięcie dziewczyny.*

*Policja początkowo przyjmowała, że 19-latka mogła wyjechać za granicę, jednak znajomi w to nie wierzyli i na własną rękę zorganizowali poszukiwania. Siedemnastego listopada w krzakach nad Bystrzycą znaleźli szalik Bernadety. Wtedy rozpoczęła się dwudniowa policyjna akcja poszukiwawcza, w której wykorzystano psy tropiące oraz helikopter z kamerą termowizyjną. Niestety bez skutku.*

*Dwudziestego pierwszego listopada przypadkowa spacerowiczka znalazła zwłoki. Ciało znajdowało się w wodzie, blisko brzegu, zaplątane w gałęzie. Było ubrane tylko w bieliznę, ale kilkaset metrów dalej w trzinach znaleziono czarny zimowy płaszcz Bernadety oraz jej sweter. Policja przypuszcza, że ciało i ubrania zostały wyrzucone do rzeki oddzielnie, niekoniecznie z tego samego miejsca. Bardzo możliwe, że morderca poruszał się samochodem.*

*Sekcja zwłok wykazała, że 19-latka została uduszona. Inne obrażenia znalezione na jej ciele powstały już po śmierci. W organizmie studentki nie znaleziono śladów alkoholu ani środków odurzających. Zgon nastąpił najprawdopodobniej jeszcze w dniu zaginięcia; zwłoki spędziły w wodzie około tygodnia. Śledztwo trwa.*

*– Sprawdzamy i weryfikujemy różne hipotezy, koncentrując się na najbliższym otoczeniu Bernadety – mówi Piotr Skaryszewski, rzecznik lubelskiej policji. – Zabezpieczyliśmy m.in. jej laptop oraz bilingi z jej telefonu.*

*Nie chciał jednak odpowiedzieć na pytanie, czy krąg podejrzanych udało się zawęzić do konkretnych osób.*

*Wiadomo natomiast, że w tygodniach poprzedzających zaginięcie w bilingach z telefonu komórkowego Bernadety często przewijają się połączenia z jednym numerem. To telefon typu pre-paid, na kartę, który można kupić anonimowo. Właściciela jak dotąd nie udało się zidentyfikować. Czy to możliwe, aby był nim morderca?*

*Pod wydarzeniem na Facebooku, które znajomi dziewczyny założyli zaraz po jej zaginięciu, trwają ożywione dyskusje.*

*– Po raz ostatni rozmawiałem z Bernadetą dziewiątego listopada – pisze Andrzej Kostrzewa, który przez trzy dni pomagał w poszukiwaniach. – Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że więcej jej nie zobaczę, postukałbym się w głowę. Kochani, wróćcie pamięcią do tygodni przed jej zaginięciem, może ktoś coś sobie przypomni, jakąś*

*rozmowę z nią, rzucone przypadkiem słowo, jakikolwiek trop... cokolwiek...*

*– Betka była moim słoneczkiem, moim oczkiem w głowie – mówi ze łzami w oczach ciotka dziewczyny, pani Iwona Gładysz. – Mam żal do policji. Działają opieszale. Przez ostatni miesiąc tak naprawdę niewiele zrobili w jej sprawie.*

*Pani Iwona zwraca też uwagę na ważny szczegół:*

*– Bernadeta zawsze nosiła na szyi złoty łańcuszek z krzyżykiem, a w uszach złote kolczyki w kształcie biedronek. Jednak przy zwłokach nie znaleziono ani jednego, ani drugiego. Może morderca zabrał sobie jej biżuterię na pamiątkę?*

*Ktokolwiek posiada informacje mogące pomóc w ujęciu sprawcy tej zbrodni, proszony jest o kontakt z policją.*

Artykuł zilustrowano wakacyjnym zdjęciem Bernadety na tle jeziora. Uśmiechała się promiennie, z włosami założonymi za ucho. Obok, w kwadracie, umieszczono w powiększeniu sam wykadrowany kolczyk w kształcie biedronki. Podpis brzmiał:

*Te kolczyki Bernadeta miała na sobie w dniu zaginięcia.*

Niżej widniało również zdjęcie ciotki z syjamskim kotem na rękach, podpisane:

*Pani Iwona Gładysz mówi, że śmierć siostrzenicy to „rana, która nigdy się nie zagoi”.*

Pani Iwona pozbyła się już ekstrawaganckiej asymetrycznej fryzury. Była teraz bardzo krótko ostrzyżona, pod oczami miała sine worki i wyglądała o dziesięć lat starzej, niż zapamiętałem.

Kiedy czytałem artykuł po raz trzeci, olśniło mnie, że chyba wiem, czemu po znalezieniu zwłok policja raptem przestała się interesować moją osobą. Z układu sińców na gardle Beti przypuszczalnie wywnioskowano, że sprawca musiał posiadać dwie sprawne dłonie i dziesięć palców.

Kilka godzin później zauważyłem, że na forum Gazeta.pl w wątku Bernadety pod linkiem do artykułu o wynikach sekcji ponownie uaktywnił się patryk\_70: „Mam nadzieję, że policja ma na oku tego Andrzeja! To nie byłby pierwszy raz, kiedy morderca interesuje się śledztwem, składa kondolencje rodzinie i bierze udział w poszukiwaniach!”.

Tym razem nie mogłem nie przyznać mu racji.

Tknęło mnie, żeby zajrzeć na profil Andrzeja Kostrzewy na fejsie. Tam, jakżeby inaczej, figurował świeżo zalinkowany oficjalny teledysk do *Everything Dies Type O Negative*. Bez opisu, ale nie mogłem się oprzeć myśli, że wiem, co Kostrzewa chciał obwieścić światu. I że bez względu na to, czy miał coś wspólnego ze śmiercią Bernadety, jedno jest pewne – Beti nie była mu obojętna.

W kolejnych dniach znów musiałem spławiać wydzwanających dziennikarzy. Jeden, szczególnie bezczelny, próbował mnie nawet zaczepić przed wejściem na klatkę, i to kilka razy. Straciłem w końcu cierpliwość i zwyzywałem go od hien na oczach sąsiadów, którzy ciekawie zerkali zza firanek.

\* \* \*

– Źle wyglądasz – powiedziała następnego dnia moja mama. – Ciągłe myślisz o tej biednej dziewczynie, prawda?

Mruknąłem coś wymijająco. Oboje znaleźliśmy odpowiedź.

– Słuchaj – kontynuowała – zostanę dzisiaj dłużej z Danielkiem, a ty po pracy idź się przewietrzyć. Dobrze ci to zrobi.

Zrozumiałem niewerbalną sugestię – mieliśmy ponad trzydzieści lat doświadczenia, gdy chodzi o wzajemne komunikowanie się bez słów. Poszedłem za jej radą i około osiemnastej pojechałem na cmentarz.

Wkroczyłem przez bramę w ciszę i ciemność głównej alei; teraz, w grudniu, na grobach płonęło bardzo niewiele światełek. Wysoko w górze migotały gwiazdy – równie zimne i odległe od tego, co tu i teraz, jak kościelna obietnica życia wiecznego.

Przy grobie Marty wyrzuciłem do pojemnika zwiędłą wiązaną, wymieniłem wypalone wkłady zniczy na świeże i zapaliłem je. Długo stałem, wpatrując się w dwa spokojne płomyczki. Gdybym był wierzący, pomodliłbym się, ale nie jestem. Postawiłem kołnierz i wsunąłem ręce głęboko w kieszenie – wiał zimny wiatr, ale krytym zniczom nie robiło to żadnej różnicy.

– Marto – zacząłem w końcu, po czym odchrząknąłem. Oczy mi łzawiły, bynajmniej nie od wiatru. – Proszę, jeśli mnie słyszysz... Wstaw się u tego na górze, żeby znaleźli skurwysyna, który zabił Betkę.

Zająknąłem się; gdyby Marta żyła, raczej nie byłaby zachwycona moimi uczuciami w stosunku do Bernadety, ale z drugiej strony, gdyby Marta żyła, w ogóle nie byłoby o czym mówić, prawda? Intuicyjnie czułem, że jeśli – tak jak powtarzałem synkowi – istnieje życie po śmierci, to moja żona doskonale wie, co noszę w głowie i w sercu. Może nawet lepiej niż ja sam.

I właśnie wtedy kątem oka dostrzegłem ruch. Na sąsiednim nagrobku wylądowała wrona. Przespacerowała się po płycie i trzykrotnie uderzyła dziobem w lastryko, po czym przekrzywiła łebek, wlepiając we mnie błyszczące oko. Potem rozpostarła skrzydła i odleciała. Nie jestem przesądny z natury, ale wzdrygnąłem się, jakbym zobaczył ducha...

Tej nocy nie śniło mi się nic.

\* \* \*

Nazajutrz, to znaczy w sobotę, wydarzył się cud. Autentyczny cud, inaczej tego nie nazwę. Wszedłem z kubkiem kawy do pokoju dziecinnego i zobaczyłem, że mój syn maże kredkami po notatniku ze sztywną okładką w tygrysie pręgi. Z całą pewnością nigdy nie posiadałem podobnego.

– Daniel! Co ty tu masz? – Odebrałem mu notatnik, ignorując gwałtowny protest, przekartkowałem. Momentalnie rozpoznałem pismo Bernadety – zaokrąglone, duże, czytelne litery. Zrobiło mi się ciepło. – Gdzie to znalazłeś?

– O tu. – Wskazał parapet nad swoim łóżkiem, gdzie piętrzyły się sterty dziecinnych książeczek, które wcześniej przejrzałem tylko pobieżnie, żeby zobaczyć, czy nie poniewierają się między nimi żadne luźne kartki.

Wystarczyło przewrócić kilka stron, żebym się zorientował, co trzymam w ręku. Nie był to, jak sądziłem, notatnik do zapisywania spraw w rodzaju „kupić żarówkę”.

Między książeczkami i kolorowanymi Daniela Beti zostawiła swój pamiętnik. Trudno powiedzieć, czy tutaj go pisała w wolnych chwilach, czy też wolała go nie trzymać w domu, gdzie ciotka mogłaby do niego zajrzeć, choćby przypadkowo.

Daniel spoglądał na mnie niepewnie. Włączyłem telewizor, by go zająć kreskówkami, i poprosiłem, żeby nie przeszkadzał tacie.

Kiedy usiadłem do lektury, zdałem sobie sprawę, że drżą mi ręce.

\* \* \*

Pół godziny później wiedziałem już wszystko.

Wiedziałem, kto jest właścicielem tajemniczego telefonu na kartę. Z kim Beti umówiła się na spotkanie w dniu swojej śmierci.

Poszedłem do kuchni, nalałem sobie kubek zimnej wody i wypiliśmy duszkiem. Po tym, co przeczytałem, czułem niesmak w ustach, jakbym spróbował skwaśniałego mleka.

Kiedy trochę się uspokoiłem, znalazłem czystą reklamówkę i włożyłem do niej notatnik. Następnie wyłączyłem telewizor i oznajmiłem Danielowi, że wybierzemy się na spacer. Początkowo marudził, że nie chce, ale kiedy powiedziałem, że pójdziemy odwiedzić panów policjantów, ucieszył się prawie tak, jakbyśmy mieli iść na lody.

Na dworze było zimno, prószył śnieg. Dopiero na ulicy zorientowałem się, że zapomniałem rękawiczek. Nadal nie mogłem się otrząsnąć po tym, co przeczytałem.

Trzymając synka za rękę, skierowałem swe kroki na najbliższy komisariat policji, mieszczący się przy ulicy Różanej. Dość długi spacer na zimnie, w tempie dostosowanym do nówek Daniela – w sam raz dosyć, żeby ochłonić przed rozmową, która mnie czekała.

Jak się okazało, los naszykował mi w tym dniu jeszcze jedną – drobną – niespodziankę.

W drzwiach komisariatu prawie zderzyłem się z wysokim, długowłosym mężczyzną w szarej zimowej kurtce. Wyglądał tak znajomo, że obejrzałem się za nim. On również się zatrzymał, jakby skądś mnie kojarzył. Staliśmy tak przez chwilę, gapiąc się na siebie.

Sprawił wrażenie młodszego ode mnie, ale niedużo. Ciemne włosy związane w kucyk, lekkie zakola, okulary z prostokątnymi szklami. Po chwili zdałem sobie sprawę, skąd znam tę twarz. Ze zdjęcia profilowego na Facebooku, choć musiało pochodzić sprzed kilku lat.

– Andrzej Kostrzewa? – spytałem.

– Zaraz... – Zmarszczył brwi, gdy jego spojrzenie pomknęło ku mojej dłoni. – Pan... Paweł, zgadza się? Beti pracowała u pana?

Potwierdziłem.

– Przyszedł tu pan w jej sprawie? Wiadomo coś nowego? – spytał z takim napięciem, że teraz, kiedy już znałem prawdę, coś mnie tknęło.

– Przepraszam, że pytam, ale skąd pan ją znał?

Spuścił wzrok.

– Z uczelni, była w mojej grupie ćwiczeniowej.

A po wyrazie jego twarzy poznałem, że z Bernadetą wiązało go dokładnie to samo, co mnie.

\* \* \*

Przekazałem pamiętnik mundurowym. Żałuję, że nie miałem przy sobie aparatu, żeby sfotografować minę dyżurnego. Sądzę, że nieczęsto zdarza się, aby na komisariat przyszedł utykający, z lekka pobliźniony delikwent, który za jedną rękę prowadzi trzylatka, a w drugiej niesie kluczowy dowód w sprawie morderstwa.

Patryk T., fryzjer i hodowca kotów z Puław, został zatrzymany w poniedziałek.

Dużo później, gdy już zapadł wyrok, *Gazeta Wyborcza* szczegółowo zrelacjonowała całą historię. Pan T. przyznał od razu, że owszem, to on jest właścicielem tajemniczego telefonu pre-paid, i owszem, od października miał z Bernadetą romans. Twierdził jednak, że jest niewinny, a dziewczynę ostatni raz widział dwudziestego ósmego października, i wyglądało na to, że ciężko będzie mu cokolwiek udowodnić. W drogach rodnych Bernadety nie znaleziono obcego materiału biologicznego – nic dziwnego, jeśli ewentualny stosunek przed śmiercią odbył się w prezerwatywie – a obecność DNA Patryka na jej ubraniach i jej DNA w jego samochodzie można było łatwo wyjaśnić, bo każdy człowiek pozostawia włosy i łuski naskórka na wszystkim, czego dotyka. Jednakże podczas rewizji w mieszkaniu pana T. znaleziono złoty łańcuszek z krzyżykiem i złote kolczyki w kształcie biedronek.

Wtedy zmienił front i przyznał się do wszystkiego. Twierdził, że uduszenie nastąpiło przypadkowo w trakcie seksualnej zabawy, po czym – będąc w szoku – czym prędzej pozbył się ciała oraz ubrań, wrzucając je do rzeki.

Mnie wystarczył jeden jedyny wpis na forum, ten o rzekomo złym prowadzeniu się Bernadety, żeby po lekturze pamiętnika wyrobić sobie opinię o panu T. Mordercy chętnie oczerniają swoje ofiary, próbując przerzucić na nie winę.

Pani Iwona (która podkreślała na każdym kroku, że jej własna znajomość z Patrykiem była luźna, związana wyłącznie z tym, że oboje posiadali rasowe koty i jeździli na wystawy) opisywała go później dziennikarzom jako człowieka o niezwykłym uroku osobistym. Z pamiętnika Beti wynikało jasno, że początkowo była Patrykiem oczarowana. Zaczął do niej dzwonić, wysyłać SMS-y, a kiedy zaproponował, żeby spotkali się bez wiedzy ciotki, zgodziła się bez wahania. Okłamała panią Iwonę, mówiąc, że wybiera się na imprezę w klubie studenckim, zaś w rzeczywistości pojechała do Puław. Patryk zaprosił ją do kina, na pizzę, a potem zabrał ją do swojego mieszkania i spędzili razem noc.

„Wiem, że robię straszne głupstwo, on jest tyle lat starszy i w ogóle, ale to silniejsze ode mnie” – zapisała następnego dnia. A wpis z dwudziestego piątego października brzmiał: „Czy ja zwariowałam? W ten weekend znowu jadę do Patryka i cieszę się jak głupia...”.

Krótko potem, w listopadzie, coś się między nimi popsuło. Czy doprowadziła go do wściekłości deklaracją, że chce zerwać ten związek, o ile można było to nazwać związkiem? Może zagroziła, że powie o wszystkim ciotce?

A może było jeszcze inaczej? Podczas procesu Patryk T. nie chciał odpowiedzieć

na pytanie, dlaczego – choć nie posiadał innej partnerki – od początku kontaktował się z Bernadetą przez telefon pre-paid, inny niż ten, z którego korzystał na co dzień.

Może od początku zaplanował sobie, że będzie z nią sypiać przez kilka tygodni, a potem ją zabije? Opracował sobie w głowie taką fantazję, a później ją zrealizował, krok po kroku?

Proces trwał długo, ale Patryk T. ostatecznie został skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia. Za dobre sprawowanie mogą go warunkowo zwolnić po piętnastu.

Koty rasy ragdoll, które hodował, wzięła pod opiekę lubelska fundacja pomagająca bezdomnym zwierzętom. W *Dzienniku Wschodnim* ukazał się nawet artykuł o nich. Podkreślano, że były zdrowe, zadbane i przyzwyczajone do najlepszej karmy – cóż, człowiek to jak widać istota pełna sprzeczności. Jednego z ragdoli adoptował nie kto inny, jak pani Iwona. Zdziwionemu dziennikarzowi wyjaśniła, że koty nic nikomu nie zawiniły.

Od zapadnięcia wyroku minęło trochę czasu. Daniel niedługo skończy pięć lat. Chodzi do przedszkola, rozwija się zgodnie z tabelami i takimi tam, panie go chwala. A ja, no cóż, żyję. Pracuję, gdzie pracowałem. Łykam prochy przeciwbólowe i inne. Kostka nadal uprzykrza mi życie, chodzę teraz o kuli, wkrótce czeka mnie operacja.

Odkąd skazali Patryka T., koszmary przycichły, jakby coś się we mnie wypaliło. Czasem tylko śnią mi się obie, Marta i Bernadeta. Stoją na skraju szosy we mgle i padającym deszczu, machając do nas, a ja i Daniel pędzimy autem przed siebie, w rozmytą szarość, donikąd.

# Patronat medialny:





# Spis treści

Title page

Spis treści

SŁOWO WYJAŚNIAJĄCE

Anna Klejzerowicz

PODWÓJNY TRUP

Marta Guzowska

OKNO NA SKLEP KOMPUTEROWY

Katarzyna Bonda

SUKNIA ŚLUBNA

Adrianna Michalewska

TRUP NA CMENTARZU

Romuald Pawlak

STARY LÓD

I

II

III

Jacek Skowroński

PRZELOTKA

Konrad Staszewski

BILET W JEDNĄ STRONĘ

Alicja Minicka

STRACH

I

II

III

IV

Katarzyna Rogińska

ŚPIĄCY POLICJANT I SAMOBÓJCA

Iwona Mejza

ALIBI

Agnieszka Krawczyk

ŚMIERĆ POETY

Marcin Rusnak

NIEZWYKŁE ŚLEDZTWO DOKTORA JUNGA

Agnieszka Hałas

TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIE BERNADETY